

1985.034 om

**DOKUMENTY**

WŁADYSŁAW BIENKOWSKI

**SOCJOLOGIA KŁĘSKI**

**INSTYTUT**

PARYŻ



**LITERACKI**

1971



DOKUMENTY

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

SOCJOLOGIA KŁĘSKI

INSTITUT LITERACKI

PARIS — BRUXELLES — FRANCO

Éditions Institut Littéraire S.A.R.L.  
21, avenue de l'Opéra, Nord-Jeu  
par BERNARDINI-PAVITTE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 209

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78-MAISONS-LAFFITTE

**DOKUMENTY**

**WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI**

W BIBLIOTECE KULTURY  
TARGA AUTORA  
KRAJOWA

**SOCJOLOGIA KŁĘSKI**

(DRAMAT GOMUŁKOWSKIEGO CZTERNASTOLECIA)

**INSTYTUT**

**PARYŻ**



**LITERACKI**

**1971**

DOKUMENTY

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

TEGOŻ AUTORA  
W BIBLIOTECE « KULTURY »

*Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 29,  
grudzień 1969)

*Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej* (Seria „Dokumenty”,  
Zeszyt 32, październik 1970).

*Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 36, czerwiec 1971)



II 1.985.031  
Dok (12)

Pracę Władysława Bieńkowskiego drukujemy bez wiedzy i zgody Autora.

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1971

1971 W 1703/1

## PRZEDMOWA

*Problemy omawiane w niniejszym studium będą nieodparcie nasuwały czytelnikowi pytanie — czy ludzie stojący u steru są świadomi tego co robią i czy robią to, co zamierzali, co odpowiada ich intencjom — czy też niesie ich tajemnicza fatalna siła niezależnie a może i wbrew ich woli, a u kresu drogi mogą z goryczą powiedzieć: wiemy skąd wyruszamy, nie wiemy dokąd dojdziemy?*

*Na widowisko jakie rozegrało się przed naszymi oczyma, można patrzeć jak na antyczną tragedię, nad bohaterami której zawisły wyroki bogów i cokolwiek by czynili, aby uniknąć przeznaczeń, wszystko zbliża ich do spełnienia się fatalnego losu.*

*Można to pytanie postawić w bardziej współczesnym języku. Jak się to dzieje, że ludzie biorący na siebie brzemień odpowiedzialności za kraj, za społeczeństwo, wiedząc, zdawałoby się, czego się strzec, co wyminąć, aby uniknąć losu swych poprzedników, rozpoczynając nawet drogę w odmiennym kierunku — trafiają przecież na te same wertepy, popadają w te same pułapki, stają się igraszką w rękach tajemniczych sił, które wyrzucają ich w końcu na mieliznę.*

*Trudno się oprzeć wrażeniu, że ludzie trzymający rękę na sterowniczym kole, nie znają mechanizmu, którym im przypało kierować, nie znają tajemniczych połączeń między kołem sterowym a sterem, nie znają prądów znoszących statek z zamierzonego kursu, nie znają siły bezwładności tej ciężkiej maszyny, która potrafi unicestwić wysiłki sternika chcącego wyminąć groźne rafy — nawet gdyby je dostrzegł w porę.*

*Istnieje w naszej wiedzy społecznej dotkliwa luka — wiemy*

bardzo niewiele o dynamice zachodzących wewnątrz społeczeństwa procesów, o własnej wewnętrznej energii stworzonych przez nas form instytucjonalnych (ustrojowych, organizacyjnych). Każda taka forma stworzona po to, aby była giętkim operatywnym narzędziem dla realizacji wytyczonych celów, już po niewielu latach krzepnie, przestaje być giętkim tzn. dającym się przystosować do zmieniających się sytuacji i potrzeb, a potem przestaje być w ogóle narzędziem — staje się sama celem dla siebie i zmusza do podporządkowania tych, którzy chcą jej jako narzędzia użyć. Zachodzi proces odwrotny: ponieważ nie możemy przystosować narzędzi do społeczeństwa, usiłujemy przystosować społeczeństwo do narzędzi — tak jakby nie było ono żywym potokiem lecz przydrożnym głazem. Spójrzmy na nasze polityczne kategorie, na nasz polityczny język — postępujemy się tymi samymi pojęciami i terminami nie zauważając, że albo zmieniły one swoje znaczenie albo nawet w ogóle przestały coś oznaczać. Stworzone przez nas formy instytucjonalne zamieniły nam społeczeństwo, treść jego życia i sens jego pragnień. Można to bez szkieleł powiększających obserwować na naszych formach ustrojowo-organizacyjnych, które zakrępiły w instytucjonalny kształt — można to obserwować na takim organizmie, jakim jest np. partia.

I znów trzeba uprzedzić nieporozumienie. Mówiąc o instytucjach przeważnie myślimy o ludziach, zwłaszcza jeśli ich znamy. Myślimy: jeśli ludzie „dobrzy”, to i instytucja „dobra”. Niestety, te dwie strony zjawisk społecznych niewiele mają ze sobą wspólnego. „Najlepszy” człowiek działający w ramach instytucji (aparatu) będzie robił tylko to, co z logiki, z własnej wewnętrznej dynamiki tej instytucji wynika — albo zostanie z niej wyeliminowany — co się często zdarza marzycielom i niedoszłym reformatorom.

Myśląc o partii, o jej aparacie, autor odczuwa tragizm tego paradoksu. Znając sporą ilość partyjnych aktywistów różnych szczebli można powiedzieć, że w większości to ludzie oddani, ofiarni, subiektywnie uczciwi, mający najlepszą wolę dobrego służenia sprawie. Ale te ich osobiste cechy toną w trybach mechanizmu, w jego wewnętrznych prawidłowościach. Niemiała część z nich nawet zdaje sobie sprawę z tej sprzeczności, że nie zawsze robią to, co by chcieli i co by robić należało.

To rozróżnienie między indywidualnymi cechami ludzi a charakterem instytucji znane było od dawna. Wszak starożytni mówili o rzymskim senacie: *Senatores boni viri — senatus autem mala bestia*.



Bez znajomości mechanizmów instytucjonalnych, zrozumienia samoczynnej ich dynamiki niemożliwe jest sterowanie procesami społecznymi. Bez tej znajomości powtarzać się będzie sytuacja, że zawsze po latach „słusznej” polityki i „uzasadnionych” posunięć — nastąpić będzie nieoczekiwana katastrofa.

Ciężki to przytyk pod adresem naszych nauk społecznych, że tak niewiele zrobiły w tej kluczowej w naszym systemie dziedzinie, nie przyszły z pomocą społecznej praktyce. Prawda, że ich o to nie proszono a nawet intensywnie do takich badań zniechęcano. Ale czy to dostateczne wytłumaczenie dla ludzi za te nauki odpowiedzialnych?

Poddając surowej ocenie minione czternaście lat, autor nie reprezentuje i nie głosi żadnej własnej „ideologii” czy tendencji politycznej. Jedyłą polityką, którą chce głosić to taka, która da się obronić przed sądem zdrowego rozsądku i wytrzymuje konfrontację ze społeczną rzeczywistością. Zarzucano nieraz autorowi niniejszego „liberalizm” — zaiste! Dla miłośników bezmyślnego „zamordyzmu” to groźne odchylenie od jedynie słusznej metody „dyktatury”. Ale kto i gdzie powiedział, że dyktatura musi być bezmyślna i głupia, że trzeba takie same „mocne” uderzenia stosować przy odkuwaniu wátów korbowych i przy konstruowaniu zegarków? Trzeba zdemaskować i przywoździć pokutującą ciągle w maskowanej postaci teorię, że wzniosły cel uświęca stosowane środki — jako pozostałość z najbardziej reakcyjnych epok w ludzkich dziejach. Środki jakie stosujemy może uzasadnić (uświęcić) tylko ich skuteczność — i to nie skuteczność doraźna, na dziś, że dziś pozbedziemy się jakiegoś kłopotu — lecz skuteczność na jutro, to znaczy, że zastosowane przez nas środki stworzą dobrą podstawę dla jutrzejszego rozwoju.

Praca niniejsza nie jest historią czternaście lat, nie opisuje faktów, zdarzeń ani ludzi — jest próbą podsumowania analizy zachodzących wewnątrz społeczeństwa polskiego procesów, analizy zawartej w poprzednich pracach: „Motory i hamulce socjalizmu” (1969 r.), „Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej” (marzec 1970 r.), „Drogi wyjścia” (sierpień 1970 r.)\*. Ogólniejsze założenia metodologiczne sformułowane zostały w pracy: „Problem teorii rozwoju społecznego” (PWN, 1966). Do tych prac autor

\* Wszystkie trzy prace Wł. Bienkowskiego ukazały się w Instytucie Literackim, w serii „Dokumenty”: *Motory i hamulce socjalizmu*: grudzień 1969, tom 183 Biblioteki „Kultury”, cena F. 12; *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej*: październik 1970, tom 193 Biblioteki „Kultury”, cena F. 9; *Drogi wyjścia*: czerwiec 1971, tom 206 Biblioteki „Kultury”, cena F. 10.

odsya czytelnika, któremu nazbyt zwięzłe i sumaryczne ujęcie problemów w niniejszej pracy wyda się nie dość przekonujące.

Aby wskazać, że ujawnione w grudniu 1970 roku zjawiska nie były czymś nieoczekiwanym; o czym by kierownictwo partii nie było uprzedzane — podano w aneksach fragmenty pracy z roku 1963 oraz zacytowano wyjątki z artykułu prof. Michała Kaleckiego z roku 1964. Ponadto załączono dwa listy do Trybuny Ludu z lutego 1971 roku.

Autor będzie wdzięczny czytelnikom za krytyczne uwagi.

W. B.

Warszawa, 5 czerwca 1971 r.

## PYTANIA WSTĘPNE

Wiele przyczyn złożyło się na to, że czternastolecie, jakie upłynęło między październikiem 1956 a grudniem 1970 roku stało się okresem niezwykle ważkim w dziejach socjalistycznej Polski. Z jednej strony był to okres zadziwiających sprzeczności i paradoksów, okres — który przyszłym historykom (i obecnym socjologom) zostawił wiele zagadek do rozwiązania.

Z drugiej — w tych właśnie czternastu latach ukształtowały się główne przesłanki, które na długie lata przesądzą o kierunku dalszego rozwoju. Dotyczy to zarówno naszej ekonomiki, jak i układów struktury społeczno-politycznej, które będą ważyły na metodach rozwiązywania wewnętrznych problemów, decydowały o polityczno-moralnym klimacie kraju.

Można powiedzieć, że dopiero w tym czternastoleciu ostatecznie utrwalił się „model ustrojowy” — a to dlatego, że do 1956 roku trwał stan, który w powszechnym odczuciu był czymś prowizorycznym. Normalny rozwój kraju w ramach nowego, socjalistycznego systemu został od 1949 roku gwałtownie zakłócony wprowadzeniem metod, które nie wynikały ani z logiki wewnętrznego układu, ani z wewnętrznych potrzeb — były w powszechnym odczuciu czymś narzuconym, obcym zarówno logice rozwojowej, jak i całej historycznej, narodowej tradycji.

Rok 1956 ujawnił wielce wymowne zjawisko: oto paroletnia infiltracja stalinowskich metod nie wycisnęła na społeczeństwie, na życiu umysłowym żadnych głębszych śladów. Wystarczyły miesiące ozdrowieńczego powiewu, rozpoczętego w Polsce jeszcze przed XX Zjazdem KPZR, aby społeczeństwo otrząsnęło się, jak otrząsamy się z koszmarnego snu w słoneczny ranek. Przyczyna tkwiła właśnie w tym, że społeczeństwo jako całość systemu sta-

linowskiego nie akceptowało, uważało go za wybryk kapryśnej historii, za dopust — zbyt absurdalny, aby mógł być długotrwały. Nawet głębokie urazy, jakie spora część społeczeństwa z tego okresu wyniosła, nie wyraziły się w ostrych reakcjach, w gwałtownych wybuchach resentymentów — wszystko to zbladło wobec zarysowanej perspektywy zmiany, „odnowy”, zwłaszcza, że istniało wiele przesłanek, że ta odnowa jest rzeczywiście realna.

Mówiąc, że okres stalinowski nie zostawił w naszym społecznym życiu głębszych śladów, dokonaliśmy dwu ważnych przeoczeń. W dwóch dziedzinach ślady te okazały się dostatecznie głębokie i co gorsza — niezwykle trwałe. Najtrwalszym reliktem tamtej epoki okazał się zinstytucjonalizowany system władzy i metody jej sprawowania.

Miłośnicy turystycznych wędrówek zauważyli niezwykłą trwałość wydeptywanych przez ludzi ścieżek wiodących gdzieś na przełaj przez pola. Ścieżki te co roku zaorywane, zasiewane, odradzają się systematycznie, zawsze w tym samym miejscu, trwają stuleciami, dopóki jakieś głębsze przyczyny, zmiana kierunku ludzkich wędrówek — nie uczynią ich zbędnymi. Pierwszy człowiek, który na bezdrożach zostawił ślady swoich stóp, wytyczył drogę, którą będą szły pokolenia doskonaląc ją, przekształcając w trakt, autostradę.

Podobnie w dziejach jest z formami władzy, z metodami rządzenia. Trwałość tych form jest wręcz zastanawiająca. Niemal wszystko, co zdołał w tej dziedzinie wymyślić współczesny człowiek, co uznał za zdobycz swego imponującego rozwoju, wszystko to jest tylko taką czy inną kombinacją wzorów wymyślonych w głębokiej starożytności — zawsze okazuje się że idziemy ścieżką wydeptaną przez odległych przodków.

Drugim dziedzictwem był stan organizacyjnej niewydolności — graniczącej niekiedy wręcz z rozkładem. Poczucie dyscypliny i organizacji na pewno nie należy do naszych narodowych i cywilizacyjnych cech. Zawsze wykazywaliśmy raczej talent improwizatorski — stąd np. piękne sukcesy pierwszego okresu dźwigania kraju z powojennych ruin. Ale system stalinowski narzucił wzory organizacyjne często sprzeczne z elementarnymi zasadami organizacji, wprowadziwszy kryteria dyscypliny społecznej sprzeczne z logiką i psychologią, kryteria — które rozkładały i niweczyły istniejące zarodki poczucia obowiązku, odpowiedzialności, „dobrej roboty” — wycisnął na naszym życiu społecznym wyraźny ślad. Nie idzie o głębokość tego wpływu — przejście od chaosu do organizacji jest zawsze trudne i powolne, natomiast w odwrotnym kierunku może się dokonać bardzo szybko. Idzie o to, że ten czynnik nie został doceniony — a może w ogóle dostrzeżony —

nie zastosowano w tej dziedzinie żadnych przemysłanych remediów, że z tym „kapitałem” weszliśmy w nowy okres wlokąc go jak przywiązaną do nóg kłodę.

Analizując stosunek do październikowego przełomu, od razu natrafimy na dwie strony tego zagadnienia. Masy społeczne otrząsnęły się z narzuconych im więzów, żyły nadzieją, że zapanują nowe normy w stosunkach międzyludzkich. Postulat „prawdy”, „sprawiedliwości”, liczenia się ze społeczeństwem — najkrócej wyrażony w hasle „demokratyzacji” zdawał się czynić zadość tym pragnieniom. Hasło demokratyzacji było dostatecznie ogólne, aby pomieścić szeroki wachlarz oczekiwań i dostatecznie nieokreślone, aby dać władzy swobodę manewru w realizacji podstawowych, stojących przed krajem zadań.

Drugą stroną tego obrazu stanowił zdeorganizowany przez wstrząsy i dezorientowany aparat władzy — aparat partyjny przede wszystkim wraz z jego wykonawczymi przedłużeniami. Ludzie aparatu wszystkie oskarżenia pod adresem minionego okresu odczuwali jako swoją głęboką i niezawinioną krzywdę. Wszak byli tylko wykonawcami gorliwie i ofiarnie wypełniającymi swoje obowiązki w głębokim przekonaniu o słuszności tego, co robili. Wszak oni sami bywali ofiarami systemu, i na nich spadały jego ciosy.

Na pewno aparat partyjny (przynajmniej w swej znakomitej większości) nie był zwolennikiem stalinowskich metod i nie chciał bronić „błędów i wypaczeń”, na pewno sam chciał się uwolnić od wiszącej nad nim groźby terroru. Ale przecież był i chciał zostać aparatem władzy, myślał jej kategoriami, bronił swej pozycji i swego istnienia. Zmienić metody i styl rządzenia? Ale jak? Skoro partia pełniła funkcje jedynej kierowniczej siły, jedynego czynnika skupiającego w swych rękach decyzje i wykonanie — zasadnicza metoda kierowania musiała zostać ta sama. Można było mówić o złagodzeniu zewnętrznych form, o jakiejś politycznej „kurtuazji”, ale utrwalone metody i zinstytucjonalizowane formy musiały zostać te same, ponieważ nie wymyślono innych.

Konflikt między tymi dwoma aspektami październikowej problematyki był konfliktem zasadniczym a jego rozwój i poszczególne epizody wypełniły historię czterdziestolecia.

Władysław Gomułka obejmując w październiku 1956 roku ponownie funkcje pierwszego sekretarza partii przedstawił program wewnętrznych reform sprowadzający się do pięciu zasadniczych postulatów: oparcie rządów o zaufanie mas pracujących i związana z tym demokratyzacja systemu z utrzymaniem kierowniczej roli partii, usunięcie śladów „kultu jednostki”, powrót do norm leninowskich w życiu wewnątrzpartyjnym, ograniczenie inge-

rencji organów bezpieczeństwa w wewnętrznym życiu kraju, zmiana stosunku do informacji, prawo do dyskusji i krytyki.

Na tle bolesnych doświadczeń minionego okresu program ten wydawał się elementarną koniecznością dla wyleczenia najbardziej oczywistych schorzeń i stworzenia krajowi normalnych warunków życia i rozwoju. Również z dzisiejszej perspektywy program ten nie może budzić zastrzeżeń — wszystkie te postulaty, acz z rozmaitym rozłożeniem akcentów, są w różnych sytuacjach powtarzane. — A przecież w ciągu czternastu lat ewolucja wewnętrzna kraju we wszystkich wymienionych punktach poszła w diametralnie przeciwnym kierunku. Władza oddalała się od mas i stopniowo traciła ich zaufanie, państwowe elementy demokracji ustępowały miejsca metodom coraz ostrzej autorytarywnym, biurokratycznym i wreszcie policyjnym, kult jednostki stracił wprawdzie wiele ze swych sakralno-obrzędowych cech, ale utrzymał się w zasadniczej metodzie sprawowania władzy, życie wewnątrzpartyjne nie tylko nie uległo demokratyzacji ale przeciwnie, wyzwołone spod presji stalinowskich form terroru — przybierało charakter zdecentralizowanej klikowości i mafijności, ingerencja organów bezpieczeństwa (przy pewnej zmianie metod) rozrastała się i w końcowej fazie znacznie przekroczyła ramy poprzedniego okresu, — informacje, dyskusje, krytyka zostały stopniowo doszczętnie zlikwidowane.

Narzuca się pytanie — dlaczego? Jakie były przyczyny tego odwrócenia biegu? Jakie siły spowodowały anulowanie sensownego, zdawałoby się, programu i przekształciły w jego przeciwieństwo?

Państwowy zwrot wywołał w społeczeństwie polskim wzbudzenie nadziei — przekonania, że nowa władza potrafi z naszej socjalistycznej drogi usunąć to wszystko, co było jaskrawym zaprzeczeniem już nie tylko socjalizmu ale i zdrowego rozsądku, że znajdzie metody celowego działania i przystosuje do nich formy społecznego życia. Wydawało się, że wynaturzenia okresu stalinowskiego zostały dostatecznie ujawnione i skompromitowane — aby mogły jeszcze próbować odżyć choćby w zmienionym przebraniu. Nigdy w naszych tysiącletnich dziejach żaden przywódca nie miał za sobą tak jednomyślnego poparcia całego narodu, w nim nie pokładano tylu nadziei i nie objawiono takiego entuzjazmu.

Ten ogromny kapitał społecznego zaufania, którego realna wartość co najmniej dorównywała setkom zainwestowanych miliardów, został w ciągu czternastu lat roztrwoniony, zaufanie stopniowo przekształciło się w rozczarowanie, w obojętność i zniechęcenie — aby pod koniec przybrać formy jawnej nieufności i wrogości.

I znów domaga się odpowiedzi pytanie — dlaczego? Co spo-

wodowało, że na zaufanie społeczeństwa i jego wyjątkowe w naszych warunkach zdyscyplinowanie — władza od pierwszej chwili odpowiedziała nieufnością i lękiem, że ogromny potencjał energii, zdolności, wiedzy i inicjatywy drzemiący w milionowych masach nigdy nie został wzięty w rachubę w planach gospodarczych, społecznych, politycznych?

Czternastolecie, które miało być próbą naprawy i odnowy — zakończyło się tragiczną katastrofą w grudniu 1970 roku. Wybuch wulkanu nie był bynajmniej czymś nieoczekiwanym. Od dawna zapowiadały go różne niepokojące objawy. Szczególnie ostrzegawcze były wstrząsy ze swym marcowym epicentrum. Objawy te były przez obserwatorów sygnalizowane — ale w staczającej się po równi pochyłej maszynie nikt już ostrzegawczych sygnałów nie słyszał i słyszeć nie chciał.

Niewykorzystana została szansa skierowania naszej gospodarki na drogę nowoczesności, nadania jej nowej dynamiki. Miliony ludzi z niepokojem i bólem obserwowały jak we współczesnym wyścigu kraj nasz coraz bardziej zostaje w tyle, że koła naszego wehikułu co raz bardziej grzęzną w marazmie. Ci, którzy nie studiowali statystyk mogli to stwierdzać po prostu rozglądając się wokół siebie.

Gdyby dzieje czternastolecia były dramatem jednostki — wódza, który od szczytu staczał się z fatalistyczną nieuchronnością aż na dno — można by cały problem zostawić pisarzom, być może dramaturdzy odkrywaliby analogie z bohaterami tragedii Sofoklesa czy Szekspira — być może powstałby nowoczesny mit Antymidasa, w rękach którego najcenniejsze diamenty rozsypywały się w popiół.

Ale dramat czternastolecia jest dramatem narodu polskiego, dramatem, którego następstwa długo będą ciążyły. Zawiedzione zaufanie nie prędko da się znów obudzić wiara, że słowa i programy coś znaczą, że są rzeczywiście próbą szukania nowej lepszej drogi. Każdemu musi się narzucać pytanie, gdzie tkwi niemożność przekroczenia zaklętego koła — w ludziach, w braku dobrej woli, w niezdolności zrozumienia problemu, czy też jest jakiś konstrukcyjny błąd w systemie, który powoduje — że nawet najlepsze chęci zamieniają się w swe przeciwieństwo.

Praca niniejsza jest próbą znalezienia odpowiedzi przynajmniej na niektóre z postawionych tu pytań.

Czytelnika nawykłego do tradycyjnych poglądów na sytuację kraju autor pragnie uspokoić, że nie ma zamiaru negować czy umniejszać pozytywnych osiągnięć tego okresu. Ani o jeden pro-

cent nie chcemy umniejszyć przeszło dwukrotnego w ciągu czter-nastolecia wzrostu dochodu narodowego, czy blisko trzykrotnego wzrostu produkcji globalnej — ani czegokolwiek przedstawionego w naszych rocznikach statystycznych. Jest jednak czymś naiwnym albo głęboko nieuczciwym odpowiadanie na każdą próbę analizy sytuacji kraju — wymachiwaniem danymi ze statystyk. Sukcesy w produkcji i to nieraz imponujące — rejestrują również kraje o ustroju, który uważamy za znacznie mniej doskonały, znacznie gorzej przystosowany do wykorzystania wszystkich rozporządzalnych sił społeczeństwa. Każdemu, kto by w ten sposób chciał przeciwstawić się naszym wywodom, trzeba przypomnieć, że okres ten zakończył się załamaniem, które przecież nie spłynęło z nieba, że ku niemu zmierzał zawikłany kłęb procesów, których nikt nie śledził, o których nie chciano wiedzieć; dławiono każdy głos, który je przypominał, który ostrzegał — że zbliżamy się do skrajnej przepaści.



## PROGRAM — UTOPIA — CZY MANEWR TAKTYCZNY?

Wyróżniającą cechą „polskiego października” było, iż nie przybrał on charakteru gwałtownych eksplozji, że nad buntownym programem na przyszłość, programu, który by wytyczył sensownego programu na przyszłość, programu, który by wytyczył sensowną drogę rozwoju i stworzył trwałe, instytucjonalne zabezpieczenie przed możliwością nawrotu podobnych schorzeń ustroju. Załamanie się policyjnego systemu po gwałtownym odcięciu jego głowy stopniowo obnażało przed całym społeczeństwem rusztowanie politycznej maszyny, której tajemnic strzegły dotychczas grube kotary z wypisanymi na nich wersetami ze świętych ksiąg socjalizmu.

Demaskacja stalinowskiej anomalii miała przecież i ten pozytywny sens, że otwierała nową perspektywę na możliwości socjalistycznej ideologii i socjalistycznego ustroju. W ciągu lat 1955-56 publicystyka coraz śmielej wykazywała przyczyny wynaturzeń stalinowskiego systemu, podnosiła ogólną świadomość społeczeństwa, podejmowała próby formułowania głównych elementów programu. Czerwcowe demonstracje robotników Poznania i tzw. zajęcia poznańskie wskazywały, że polityczna aktywność nie ogranicza się bynajmniej do grup inteligenckich, że w podstawowych punktach istnieje jedność całego społeczeństwa.

Szczęśliwą okolicznością był fakt, że wszystkie istniejące w społeczeństwie tendencje mogły znaleźć konkretne i przekonujące uosobienie. Wszak Władysław Gomułka, odsunięty przywódca partii, był właśnie ofiarą skompromitowanego systemu, był tym, który się temu systemowi przeciwstawił. W pojęciu szerokich mas nie mogło być lepszego gwaranta, że odtąd pod jego przewodnictwem pójdziemy odmienną drogą, że kierowana przez niego par-

tia znajdzie sensowniejsze metody prowadzenia społeczeństwa do socjalistycznej przyszłości.

Program wytyczony przez Gomułkę na VIII Plenum zarówno w ocenie przeszłości jak i w postulatach reformy odpowiadał szerokiemu odczuciu, był po raz pierwszy otwartym nazwaniem po imieniu negatywnych a boleśnie przez społeczeństwo odczu-tych zjawisk.

Program ten postulował:

### 1. Oparcie rządów o zaufanie mas pracujących.

„Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli dzierżących ster władzy państwowej” (bez zaufania społeczeństwa). „Rządzić krajem można nawet w takich warunkach, tylko rządy będą wówczas złe. Muszą się oprzeć na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemocy”.

### 2. Demokratyzację systemu socjalistycznego.

[dotychczasowy] „system gwałcił zasady demokratyczne i praworządność. Przy tym łamano charaktery i sumienia ludzkie, deptano ludzi, opluwano ich cześć. Oszczerstwo, kłamstwo i fałsze, a nawet prowokacje służyły za narzędzia sprawowania władzy”. „Droga demokratyzacji jest jedyną drogą prowadzącą do budowania najlepszego w naszych warunkach modelu socjalizmu. [...] Na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia i tylko ona”. „W praktyce życia państwowego Sejm nie spełnił swego konstytucyjnego zadania... w programie zamierzeń demokratyzacyjnych podniesienie roli Sejmu do najwyższego organu władzy państwowej będzie posiadać największe bodaj znaczenie”. „Wybory zostaną przeprowadzone w oparciu o nową ordynację wyborczą, która pozwoli ludziom wybierać a nie tylko głosować. Ten kandydat, który cieszyć się będzie największym zaufaniem, zostanie wybrany”.

### 3. Usunięcie śladów „kultu jednostki”.

„Nosiciel kultu jednostki na wszystkim się znał, wszystko umiał, wszystko rozstrzygał. Był on najmądrzejszym człowiekiem, niezależnie od tego, jaką wiedzę, jakie zdolności i jakie osobiste zalety posiadał”. „Przy systemie kultu jednostki partia jako całość mogła działać tylko w ramach podporządkowania się naczelnemu kultowi. Jeśli ktoś próbował te ramy przekroczyć, groziło mu wyklęcie przez jego współtowarzyszy”.

### 4. Zmianę metod sprawowania kierowniczej roli przez partię.

„... wyraźne rozgraniczenie kompetencji aparatu partyjnego i aparatu państwowego, przy zachowaniu kierowniczej roli partii”. „Instancje partyjne stanowiły swoisty 'nadurząd'”. [skład egzekutyw] „prowadził w praktyce do identyfikowania partii z aparatem władzy ludowej... nie stwarzał warunków do wymiany myśli, ścierania się poglądów czelowych działaczy partyjnych”.

### 5. Demokratyzację życia wewnątrzpartyjnego.

[leninowskie normy życia partyjnego] „były w przeszłości głoszone, lecz

jakże często praktyka miała z nimi bardzo mało wspólnego". „Na czoło tych zasad należałoby postawić sprawę wyboru władz partyjnych, prawo zachowania swych poglądów przy zasadzie, że uchwały większości obowiązują wszystkich członków partii". „Istota zagadnienia sprowadza się do tego, aby wszystkie władze partyjne, wszystkie instancje i kierownice ognia partii, od góry do dołu były wybierane w sposób demokratyczny".

## 6. Udział robotników w zarządzaniu.

[...] „rozszerzenie demokracji robotniczej, zwiększenie bezpośredniego udziału założeń w zarządzaniu przedsiębiorstwami".

## 7. Zmianę stosunku do informacji i cenzury.

„Przed prawdą uciec nie można. Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka". „Postuluje zasadę wolności krytyki we wszystkich formach... mamy prawo żądać, aby krytyka była twórcza i sprawiedliwa".

## 8. Ograniczenie zakresu działania organów bezpieczeństwa.

„Zakres zadań organów bezpieczeństwa publicznego zostanie zwężony i ograniczony do zwalczania szpiegostwa, terroru i innej wrogiej działalności skierowanej przeciwko władzy ludowej i interesom państwa".

## 9. Prawa krajów socjalistycznych do szukania najbardziej odpowiednich ich warunkom drogi.

„Różny może być model socjalizmu... Tylko na drodze doświadczeń i osiągnięć różnych krajów budujących socjalizm może powstać najlepszy w danych warunkach model socjalizmu". „...nie wystarczy tylko zmienić tych czy innych ludzi... Trzeba, krótko mówiąc, wymienić wszystkie złe części z naszego modelu socjalizmu, zastąpić je lepszymi"...

Program sformułowany przez Gomułkę zawierał wprawdzie wstrzemięźliwą w słowach ale merytorycznie najostrzejszą chyba krytykę stalinowskiego modelu socjalizmu, jaka z oficjalnych pozycji została wypowiedziana. Wskazywał główne założenia reformy ustrojowej, która miała stworzyć trwałe zabezpieczenie przed możliwością wyemancypowania się władzy spod wpływu społeczeństwa, przed możliwością oderwania się i degeneracji rządzącego aparatu. Nie było w tym programie niczego, co mogłoby stanowić odejście od socjalizmu, uznane za „rewizjonizm". Co więcej — większość postulatów jest nawiązaniem do wskazań Lenina z 1921 roku, a niektóre są ich dosłownym powtórzeniem, jak np. konieczność ograniczenia zakresu działania organów bezpieczeństwa. Lenin wcześniej, bo już na podstawie trzyletnich doświadczeń funkcjonowania radzieckiego systemu dostrzegł podstawowe niebezpieczeństwa dewiacji, ocenił groźbę wyobcowywania się

aparatu władzy i jego rozrostu w tych właśnie kierunkach, które najradzykalniej zrywały więź między nim i masami społeczeństwa.

Mógł istnieć tylko problem realności tego programu. Mógłby dać wiele do myślenia fakt, że w tamtym okresie, kiedy kształtujący się dopiero aparat władzy nie miał jeszcze tak skryształizowanych form, jeszcze nie zakrzepł w tak twardą bryłę toczącą się już własnym bezwładem — głośne ostrzeżenia Lenina pozostały bez echa, a wszystko potoczyło się w kierunku diametralnie przeciwnym jego wskazaniom. Ale system stalinowski dokładnie wytrzebił wszelkie ślady autorefleksji, doszczętnie rozbił i usunął każdy kawałek lustra, w którym mógłby się przejrzeć.

Od pierwszych dni po przedstawieniu społeczeństwu tego programu zaczęło się ujawniać, że dopasowanie go do rzeczywistości jest sprawą bardzo trudną. Wszystkie praktyczne posunięcia szły bądź wymijając poszczególne jego punkty, bądź wręcz im przecząc. Można by wskazać dwa etapy tego odchodzenia — pierwszy trwający mniej więcej do połowy 1958 roku, w którym tezy VIII Plenum były formalnie podtrzymywane mimo wyraźnej rozbieżności między nimi i utrwalającą się praktyką, i następny, w którym już wyraźnie odgradzano się od październikowego programu a najwymowniejszym tego dowodem była czujność cenzury nie dopuszczającej do cytowania poszczególnych jego punktów. Przebieg wydarzeń, wszystkie zachodzące w tym okresie procesy szły dokładnie w przeciwnym kierunku. Dokonywało się to przy tym bynajmniej nie wbrew autorowi tego programu, przeciwnie — on sam był w większości przypadków inicjatorem, sam ulegając „dialektyce” władzy, wywoływał groźne siły, uruchamiał procesy, które miały się przekształcić w lawinę staczającą się z coraz większą szybkością — skazując swego twórcę na bezradne szamotanie się w fikcyjnym, istniejącym tylko w jego wyobraźni świecie.

Pierwszym i chyba decydującym dla dalszego rozwoju symptomem było odejście od zasady, że społeczeństwu trzeba mówić prawdę, że konieczna dla socjalizmu jest swoboda krytyki. Już w pierwszych tygodniach spadły na prasę ostre ograniczenia i represje — a organizacje partyjne po prostu usuwały tych członków, którzy zbyt dosłownie zrozumieli potrzebę dyskusji. Postulat demokratyzacji, zwiększenia roli ciał przedstawicielskich z Sejmem na czele, po prostu uwiadł sam, nie znalazłszy gleby, w którą mógłby zapuścić korzenie. W życiu partyjnym hasło „powrotu do norm leninowskich” pozostało (już na stałe) rytualnym zwrotem nie wymagającym żadnej konfrontacji z rzeczywistością. Organy bezpieczeństwa nie tylko nie doznały żadnych ograniczeń, ale wręcz przeciwnie — stworzono im cieplarniany klimat, w którym bujnie rozkwitły, przysłaniając swym cieniem całe polityczne życie

kraju. Kult jednostki wprawdzie stracił wiele ze swej obrzędowej dekoracji, ale pod względem merytorycznym nie ucierpiał wcale — a dobrym, promieniującym przykładem służył tu sam przywódca partii. Alienacja aparatu władzy, jego oddzielanie się od społeczeństwa, od mas pracujących coraz głębszą przepaścią — była finalnym efektem całego kompleksu zachodzących w kraju procesów.

Wielu zadawało sobie — i chyba do dziś zadaje — pytanie, czym był październikowy program: nieporozumieniem, utopijną mrzonką, wybiegiem taktycznym? Jeśli stwierdzamy, że odpowiadał on powszechnemu odczuciu — był w zwięzłym skrócie podsumowaniem wniosków z doświadczeń minionego okresu, godził w węzłowe punkty, w których zrodziły się anomalie i zwyrodnienia systemu — to jakie przyczyny zadecydowały, że tak szybko stał się nierealny, kłopotliwy i wstydliwie wymijany? Nie można poważnie traktować wyjaśnienia, iż od kierunku wytyczonego przez październikowe Plenum trzeba odejść, ponieważ elementy „rewizjonistyczne” i w ogóle antysocjalistyczne chciały zrobić z niego odskocznię do „drugiego etapu” tzn. do przywrócenia kapitalizmu. Powtarzający ten argument (a są między nimi i niektórzy specjaliści od nauk społecznych) raczyli przeczytać, że odgrywał on wyłącznie rolę osłony dla procesów zmierzających w diametralnie przeciwnym kierunku tzn. powrotu w stare koleiny — do wypróbowanego systemu policyjnego, że w świetle wyników całego czternastolecia twierdzenie o „rewizjonistycznym zagrożeniu” było zwyczajnym szalbierstwem. Zresztą nawet przyjęcie tego argumentu w żadnym stopniu nie może nam wyjaśnić kierunku ewolucji całego politycznego systemu.

Niektórzy w dociekaniach swych podkreślają sprzeczność między październikowym programem a charakterologicznymi cechami jego autora. Gomułka już w czasie swej poprzedniej kadencji na stanowisku przywódcy partii dał się poznać jako człowiek o zdecydowanych skłonnościach autokratycznych, człowiek nie znoszący i co więcej, nie potrzebujący dyskusji. Wynikało to z jego skłonności do monomanii — uporczywego przywiązania do własnych koncepcji — wprawdzie nieraz interesujących, ale nie znoszących konfrontacji z krytyczną analizą, co w wielu przypadkach prowadziło do wypaczania nawet trafnych pomysłów. W zestawieniu z tymi cechami charakteru i umysłu (potwierdzonymi z całą jasnością w następnych latach) niektóre oceny przeszłości zawarte w przemówieniu na VIII Plenum mogły brzmieć jak samokrytyka własnej poprzedniej postawy i własnych metod. Program demokratyzacji, podkreślenie potrzeby krytyki, surowa ocena następstw kultu jednostki — mogły w oczach optymistów oznaczać

zapowiedź, że sam Gomułka zrozumiał, iż socjalizm trzeba budować innymi metodami.

Inną próbą wyjaśnienia sprzeczności jest twierdzenie, iż mamy tu do czynienia z posunięciem o charakterze taktycznym. Program październikowy tkwił w całej społecznej atmosferze kraju — podjęcie go było jedynym środkiem mogącym uchwycić żywiołowy społeczny ruch, nie dopuścić do przekształcenia się go w niekontrolowane i niebezpieczne dla kraju odruchy. Ujęcie tego ruchu w łożysko kontrolowane przez partię pozwoliło zapobiec groźnym rozlewiskom, skierować jego bieg w pożądanym kierunku. Zdaniem niektórych nie Gomułka był inicjatorem „liberalnego”, anty-stalinowskiego ruchu lat 1955-56, inicjatorem był lud. Gomułka został wciągnięty w ten ruch w połowie 1956 roku i doszedł do jego przywództwa jako oponent i ofiara Stalina, był jedynym człowiekiem mającym jakąś szansę uspokojenia zarówno reformatorów jak i obaw radzieckich przywódców. Doszedłszy do władzy Gomułka przyjął program reform, z wielu punktami którego się nie zgadzał, a odniósłszy sukces przeszedł do modyfikowania tych punktów, które mu nie odpowiadały.

Interpretacja ta, ujęta w kategorii konwencjonalnych politycznych manewrów, nie uwzględnia szczególnej osobistej sytuacji samego Gomułka. Najistotniejszym źródłem jest punkt widzenia, społeczna pozycja, z której wywodził się październikowy program. Ocena stalinowskiego systemu dojrzała w Gomułce w okresie odsunięcia na daleki margines życia, z którego już tylko krok dzielił go od losu niektórych innych przywódców. Mechanizm systemu oglądał przez kraty więzienia, które mają jednak wiele cech soczewek ujawniających szczegóły niedostrzegalne dla ludzi z drugiej strony tych krat. Zarówno wtedy jak i po uwolnieniu — jako zwykły pokrzywdzony mieszkaniec jednej z peryferyjnych ulic, był człowiekiem znajdującym się w ostrej opozycji wobec władzy, wobec jej metod, wobec całego rozbudowanego systemu, który właśnie wtenczas po XX Zjeździe ujawniał swą brzydotę i swoją słabość maskowaną pozorami siły. Znalazł się w identycznej sytuacji co i przytłaczająca większość społeczeństwa, widział od dołu rozkład i degenerację aparatu władzy. Z tej pozycji poszukiwanie dróg wyjścia musiało prowadzić w tym samym kierunku, w jakim szła społeczna intuicja — reformy systemu i metod rządzenia. Postulat demokratyzacji musiał się nasunąć jako jedyne lekarstwo na głęboką chorobę, której najgroźniejszym następstwem była przepaść między rządzącymi i rządzonymi. Jako „rządzony” musiał odczuwać pustkę i kłamliwość frazeologii, którą bezskutecznie usiłowano przysłonić społeczną i gospodarczą rzeczywistość. Stąd też tak mocne sformułowanie o prawdzie,

przed którą nie można uciec i która zatajona wraca w postaci „widma wściekającego się”.

Oceny i programowe postulaty w przemówieniu na VIII Plenum traktował Gomułka nie tylko serio ale i z całą właściwą mu pasją. Był w tym zresztą i osobisty rozrachunek. Tym, którzy chcieliby dopatrywać się taktycznego manewru, można przypomnieć, że przemówienie to wygłaszał człowiek, który w obradującym zespole znalazł się jako ktoś z zewnątrz — aby wytoczyć przed kierowniczą instancją akt oskarżenia władzy.

Natomiast zespół ludzi stanowiących tę instancję zachował się typowo taktycznie — ugiął się przed potężnym naciskiem całego społeczeństwa, któremu wobec rozkładu aparatu władzy nie było czego przeciwstawić. Sytuacja nie pozostawiała żadnego alternatywnego rozwiązania. Dla tych ludzi poparcie programu, który mógł zadowolić masy, odsuwało bezpośrednio niebezpieczeństwo, dawało czas do manewru. Jedyne wyjście było złożenie kierownictwa w ręce Gomułki.

I oto w ciągu jednego dnia dokonana się metaforfoza — człowiek patrzący na rzeczywistość, na zachodzące procesy oczyma „zwykłego” obywatela — musiał na nie spojrzeć z wysokości najwyższej kierowniczej instancji. Fakt, że kiedyś on sam już tę funkcję sprawował nie tylko nie złagodził przeskoku, ale przeciwnie — zaostrzał, ponieważ jako znający kulisy władzy, znalazłszy się w opozycji do niej — tym ostrzej mógł oceniać i potępiać. Już następnego dnia okazało się, że program wygłoszony z pozycji „rządzonego” obywatela, jest nieprzydatny dla tego, kto ma tę władzę uosabiać, co więcej, ma ją dźwignąć z głębokiego rozkładu. Byłoby, oczywiście, przesadą posądzanie restytuowanego przywódcy partii o tak rozwiniętą samoświadomość. Niektóre posunięcia i zamierzenia z pierwszych miesięcy wyraźnie wskazują, że myślał on o jakimś pogodzeniu sprzeczności tych dwóch punktów widzenia: doraźnego interesu władzy z długofalowym interesem systemu<sup>1</sup>.

W konflikcie tym musiały zwyciężyć potrzeby doraźne — w tym kierunku działała przemożna presja jedynej siły, której poparcia potrzebował: starego aparatu. Przy pierwszych próbach stabilizacji okazało się, iż odbudować aparat można tylko na starych fundamentach a uruchomić go tylko po utworzonych starych koleinach.

1. Charakterystycznym przyczynkiem może być fakt, że równocześnie z ograniczeniem swobody prasy i zaostreniem cenzury Gomułka czuł potrzebę utrzymania choćby na użytek władzy jakiejś swobody dyskusji. W początkach 1957 roku dyskutowano projekt stworzenia wewnętrznego pisma, które drukowałyby materiały bez cenzury. Powołano nawet komitet redakcyjny z udziałem członków Biura Politycznego. Do tego się te poczynania ograniczyły.

Pierwszą potrzebą władzy jest oparcie — a tego właśnie nie miał nowowybrany sekretarz partii. W samym łonie Komitetu Centralnego, a więc zespołu, który jego powrót zatwierdził, akceptował nawet buntownicze przemówienie, niewielu było ludzi, którzy by się z tym stanowiskiem rzeczywiście solidaryzowali. Zakomita większość uważała je za „zapasowe” wyjście, z którego korzysta się tylko w przypadku niebezpieczeństwa, kiedy „właściwe” drzwi zostaną przez katastrofę zablokowane. Nikt nie myślał przecież, aby z tego przymusowego wyjścia uczynić frontową bramę dla nadchodzącej fazy rozwoju. Jeśli tak patrzyła czołowa grupa centralnych działaczy, znacznie więcej nieufności, obaw, a nawet wręcz wrogości musiał przejawiać aktyw terenowy — on bowiem z racji o wiele bliższej styczności z masami społeczeństwa ponosił całe polityczne i moralne odium minionego okresu a w październikowym programie widział bezpośrednie zagrożenie swojej pozycji, swego osobistego losu.

Zdarza się słyszeć twierdzenie, iż Gomułka obejmując władzę mógł mieć pełną swobodę działania, mając za sobą poparcie społeczeństwa tak jednomyślne, jakiego nie miał żaden z przywódców w naszych dziejach. Ogromny, nieograniczony niemal kredyt zaufania stwarzał możliwość nawet tak trudnych posunięć politycznych, jak próba modernizacji aparatu partyjnego, wdrożenia mu nowych metod działania, nowych form kierowania społeczeństwem.

Jest w takim rozumowaniu zasadnicze nieporozumienie. Poparcie społeczeństwa może mieć ważne a w pewnych sytuacjach decydujące znaczenie w toku walki o władzę. Natomiast dla jej sprawowania i umocnienia jest nie tylko mało przydatne, ale może się stać wręcz niebezpieczne. To nieustrukturuowana, nie ujęta w żadne ramy organizacyjne lawa ludzka stwarzała groźbę presji mogących prowadzić w nieprzewidzianych kierunkach i przybierać nieoczekiwane formy. Dla władzy, szczególnie dla władzy socjalistycznej, która z założenia ma charakter dyktatury, poparcie mas jest przydatne dopiero wtedy, kiedy wyraża się poprzez zorganizowany aparat władzy i oznacza akceptację tego aparatu. Nie idzie tu bynajmniej o to — jakby sądzili niektórzy — że masa społeczna składała się z różnych elementów, że istniały w niej elementy klasowo obce, czy nawet wrogie socjalizmowi. W takim samym stopniu odnosiło się do klasy robotniczej, bezpośrednia konfrontacja z którą zawsze stanowiła dla władzy nie osłoniętej jeszcze pancierzem okrzepłego systemu ryzykowną próbę. Obserwując Gomułkę w pierwszych miesiącach po październiku można było wyraźnie odczuć, iż to co stanowiło największą siłę — powszechne społeczne poparcie — było zarazem głównym źródłem jego obaw. Między



innymi właśnie dlatego, że społeczne poparcie dzieliło go od aparatu, który chciał pozyskać.

Pozostaje jeszcze rozważyć, czy program akceptowany przez VIII Plenum był realny? Historia dała już odpowiedź na to pytanie. Ale czy przy innej, mniej przypadkowej, bardziej przemyślanej taktyce możliwe było ocalenie czegoś z tych postulatów, utworzenie systemowi jakiejś nieco odmiennej drogi, ukształtowanie nieco innych metod sprawowania władzy? Dwa twierdzenia z referatu Gomułki na VIII Plenum: „Droga demokratyzacji jest *jedyną* drogą do zbudowania najlepszego w naszych warunkach modelu socjalizmu” i „Na czele procesu demokratyzacji staje nasza partia i *tylko ona*” — pozostają w stosunku do siebie w bardzo zawiłym związku. Nie ma między nimi sprzeczności — sprzeczność może tkwić *implicite* tylko w drugim zdaniu: że sprawująca dyktatorską władzę partia ma kierować, „tylko ona”, procesem demokratyzacji. Można by tę sprzeczność usunąć tylko w jeden sposób: traktując to zdanie jako postulat — partia ma tak zmienić swoją strukturę, tak przeobrazić swoje metody działania, by możliwe było przeprowadzenie przez nią demokratyzacji systemu. Ale tu już wkraczamy w dziedzinę utopii. Co zmienić, jak zmienić, jaki ma być postulowany model, a przede wszystkim  *kto*  ma zmienić? Sam aparat? Tylko baron Münchhausen sam za kołnierz wyciągał się z błota. Aparat partyjny myślał przede wszystkim o odparciu zagrożenia, o odrzuceniu od siebie winy za stalinowskie „błędy i wypaczenia”, żądał rehabilitacji za rzucane nań oskarżenia, przekonany był, że on jeden może być gwarantem socjalizmu. Hasło demokratyzacji mogło być tylko albo propagandowym ozdobnikiem, pustym słowem, albo groźnym rewizjonistycznym zamachem na samo jądro socjalistycznego systemu — kierowniczą rolę partii, tzn. jego aparatu. Taki sam sens miał tak często w różnych sytuacjach powtarzany postulat „powrotu do norm leninowskich” w wewnętrznym życiu partii, wewnątrzpartyjnej demokracji. Dla aparatu mocno już osiadłego w zhierarchizowanym i biurokratyzowanym systemie przywrócenie leninowskich norm, których podstawą jest wybieralność wszystkich stanowisk i funkcji — oznaczałoby za jednym zamachem podcięcie ustabilizowanej pozycji ludzi aparatu, uzależniłoby ich losy od woli „kaprysów” wyborczych partyjnych konferencji, egzekutyw itd. Od leninowskich czasów wiele się zmieniło. Nikt nie ośmielił się tego tak nazwać, ale próba przywrócenia leninowskich norm w życiu partyjnym byłaby najgroźniejszym „rewizjonizmem”.

Czy oznacza to zasadniczą immanentną niepodatność socjalistycznego systemu na ewolucję w kierunku „demokratyzacji”? Czy nad dalszą przyszłością wisi jakaś fatalistyczna alternatywa?

Nie sądzimy, aby niepodatność ta tkwiła w koncepcji socjalizmu — tkwi ona w cywilizacyjnym zacofaniu źródeł utrwalonych form. Na to, aby systemy socjalistyczne mogły wyzwolić się ze starych skamieniałych, hamujących rozwój form, trzeba aby „dyktatura proletariatu” nie tylko *celami* ale i *metodami* zasadniczo różniła się od wszelkich innych znanych dotychczas dyktatur, które wszak są zawsze widomą pozostałością wcześniejszych faz rozwoju. Trzeba, aby pojęcie „kierowniczej roli partii” mniej przypominało przewodzenie biernym i bezwolnym masom a zbliżyło się do organizowania społeczeństwa, którego świadomość i wola staje się głównym czynnikiem wyzwalania twórczej energii.

## GOSPODARCZE BEZDROŻA

Można uważać za dramat socjalistycznego systemu, że nie może on — a przynajmniej nie mógł dotychczas — w szerszej mierze korzystać ze zdobyczy nauki, nie może w swych decyzjach kierować się opiniami rzeczoznawców. Na przeszkodzie stoją tu: charzmatyczny charakter władzy oraz to, co można by nazwać „polityczno-policyjnym” stosunkiem do nauki i naukowców. (Ściślej byłoby powiedzieć: politycznym stosunkiem do nauki i policyjnym stosunkiem do naukowców). Zjawisko to, znane i w krajach kapitalistycznych — dopiero w ustroju socjalistycznym pociąga za sobą skutki katastrofalne, ponieważ tu zakres ingerencji władzy politycznej we wszystkie dziedziny życia jest o wiele dalej idący, jest to bowiem ustrój, w którym, w zamierzeniu przynajmniej, wszystko dzieje się według planu. Jeśli w naszym systemie przedstawiciel władzy odwoływał się do opinii fachowców, szukał u nich nie krytycznej analizy a potwierdzenia swoich koncepcji.

Podkreślić trzeba, że nie wynikało to tylko z niedoceny nauki, zarozumiałstwa czy braku dobrej woli — przyczyny tkwią znacznie głębiej. Polityka, która w wielu zasadniczych punktach opiera się na kryteriach od dawna nie konfrontowanych ze zmieniającą się rzeczywistością, polityka, w której nazbyt często dominującą wytyczną jest doraźnie rozumiany interes władzy — odchodzi stopniowo coraz dalej od racjonalnych kryteriów, jakimi rządzą się poszczególne dziedziny życia. Powstaje sytuacja, w której zrywa się więź między poglądem specjalisty a stanowiskiem władzy — sytuacja, w której władza nie może skorzystać z opinii specjalisty, gdyż to uwarunkowane byłoby zmianami nieraz głęboko sięgającymi w istniejący układ. Specjalista zapytany o zdanie bardzo często staje bezradny — z jednej strony zdaje sobie sprawę,

że jego wiedza i jego pomysły nie bardzo pasują do przedstawionych koncepcji — a ich realizacje wymagałyby spełnienia wielu uprzednich i towarzyszących warunków, co czyni je wręcz nierealnymi. Z drugiej zaś strony, nie ma możliwości porozumienia się, ponieważ obie strony myślą innymi kategoriami i mówią innymi językami. Jedyne co mu pozostaje — jeśli się nie chce narazić, to (z grzeczności albo dla kariery) przytakiwać władzy. (Fachowcy bywający na naradach w KC opowiadają o często powtarzającej się sytuacji: po zagajeniu Gomułki, następowało milczenie przerywane przez niego oświadczeniem — skoro nie możecie mi pomóc, muszę sam rozwiązać ten problem).

Po zdemaskowaniu „kultu jednostki”, który w wielu węzłowych punktach przejawiał się jako kult niekompetencji, uświadomiono sobie potrzebę zbliżenia władzy do nauki, stworzenia instytucji fachowych ciał doradczych. Bezpośrednio po październikowym zwrocie przejawiono w tym kierunku sporo inicjatywy — przy szeregu wydziałów KC powołano komisje z udziałem rzeczoznawców a największe nadzieje obudziło stworzenie, przy prezydium Rządu, Rady Ekonomicznej z udziałem najwybitniejszych specjalistów tej dziedziny, w tym i takich, którzy cieszyli się światowym rozgłosem, byli doradcami rządów wielu krajów (Lange, Kalecki).

Losy Rady Ekonomicznej są bardzo pouczające. Już w kilka miesięcy później władze przestały się interesować jej pracami a potem i jej istnieniem — opracowywane plany reformy gospodarczej nigdy nie stały się przedmiotem rozważań władz, a przewodniczący Rady nigdy nie doczekał się rozmowy z przywódcą partii. Rada Ekonomiczna pozbawiona nie tylko wpływu ale nawet słuchacza, który by chciał się zapoznać z jej propozycjami, zmarła śmiercią naturalną — władze nawet nie musiały jej rozwiązywać. Podobny los spotkał i inne ciała doradcze — okazały się po prostu systemowi już nie potrzebne.

Poruszone tu zjawiska trzeba mieć na uwadze, kiedy rozpatruje się problem znaczenia czterdziestolecia dla naszego rozwoju gospodarczego. Już z tego wynika, że gospodarka ta miała charakter „bezrefleksyjny”, że i pod względem kierunku i stosowanych metod wpadła w stare koleiny, szła po linii najmniejszego oporu — tzn. linii nie wymagającej ani myślenia, ani inicjatywy, przede wszystkim zaś nie wymagała żadnych zmian. Jakby na przekór temu, słowo „reforma” było przez całe czterdziestolecie niezwykle popularne, odzywało się niemal w każdym oficjalnym wystąpieniu i zapełniało szpalty gazet. Istotnie, dokonywano wiele razy różnego rodzaju reorganizacji i posunięć, którym nadawano miano „reformy gospodarczej”, „reformy zarządzania przemysłem” itp. Wszystkie te koncepcje zmierzały do tego, aby dokonać „zasad-

niczej zmiany” niczego nie zmieniając — w konsekwencji pogłębiały one dezorganizację, przybliżały widmo ostrego kryzysu. Ostatnie dwie takie reformy („system bodźców” i „regulacja cen”) stały się bezpośrednią przyczyną załamania tej gospodarczej polityki i katastrofy grudniowej.

Sytuację gospodarczą kraju u progu 1957 roku specjaliści zgodnie oceniają jako dość pomyślną. Złożyły się na to zarówno pierwsze efekty dużych inwestycji poprzedniej 6-letki, efekty i realne perspektywy szybkiego wzrostu produkcji rolnej po wycofaniu się z przymusowej kolektywizacji, do tego doszły okoliczności dodatkowe, jak zwrot zaległych od Związku Radzieckiego i pożyczka amerykańska. Pozwoliło to władzom na zaspokojenie najpilniejszych konieczności w dziedzinie płac oraz stwarzało względną swobodę dla „manewru”, pod którym należało rozumieć przede wszystkim reformę systemu gospodarczego, przystosowanie „modelu” do nowej sytuacji i potrzeb.

Najważniejszą jednak cechą tej sytuacji było, iż gospodarka nasza stanęła wobec konieczności podjęcia zasadniczej decyzji co do kierunku jej dalszego rozwoju. Po niewątpliwych sukcesach okresu rekonstrukcji, po dokonaniu poważnych inwestycji stwarzających podstawę przemysłu ciężkiego — trzeba było dokonać wyboru jednej z dwu możliwości. Albo: w oparciu o istniejącą już bazę położyć główny nacisk na rozbudowę przemysłu przetwórczego — maszynowego, chemicznego, elektrotechnicznego i elektronicznego, tzn. przemysłu wymagającego nakładów wysoko kwalifikowanej pracy, a tym samym postawić na szybkie unowocześnienie naszej produkcji, na techniczne i technologiczne doganianie krajów wysoko rozwiniętych. Albo: wybrać kierunek tradycyjny z szerokim zaangażowaniem w gospodarkę surowcową — górnictwo i hutnictwo — w eksploatację bogactw naturalnych, złóż węgla, siarki, miedzi — po to, aby stworzyć surowcową podstawę dla *przyszłego* rozwoju przemysłu przetwórczego.

Niewątpliwie kierunek surowcowy wydawał się znacznie łatwiejszy dla kraju średnio uprzemysłowionego i mocno technicznie zacofanego. Szczególnie kusząca była perspektywa najmniej ryzykownego eksportu takiego surowca jak węgiel a w przyszłości (istniała nadzieja) również siarki i miedzi. Oczywiście było, że zdobycie rynków, zwłaszcza zachodnich przez „techniczny skok” w przemyśle maszynowym, elektrycznym, chemicznym a nawet tekstylnym i spożywczym było zadaniem o wiele trudniejszym, wymagało poza „materialnymi” warunkami również śmiałej inicyjatywy i organizacyjnej sprawności.

Nie ulega wątpliwości, że w sytuacji Polski surowce naturalne

stanowią poważny atut, który wykorzystać należy. Ale stwierdzając to, trzeba natychmiast postawić pytanie: *jak*, w *jakiej proporcji* do pozostałych działów gospodarki oraz *kiedy*, tzn. jaka powinna być kolejność naszego inwestycyjnego zaangażowania.

Wydaje się, iż ludzie podejmujący decyzje o kierunku i proporcjach inwestycji szli po prostu po linii najmniejszego oporu — nie zdając sobie sprawy z głównych następstw tych decyzji. Inwestycje surowcowe mają dwie cechy, o których się na ogół pamięta i jedną, o której się zapomina. Pamięta się, że są kapitałochłonne, że stanowią dla całej gospodarki wielkie obciążenie. Wiadomo również, że są z reguły długotrwałe i wolno rentujące się. W rezultacie obciążają kraj zmniejszając efektywność i operatywność gospodarki, pozbawiają możliwości szybkiego reagowania na powstające sytuacje, hamują wzrost stopy życiowej — ze wszystkimi społecznymi tego konsekwencjami. Ale jest jeszcze jedna cecha takiej gospodarki, o której się na ogół nie chce wiedzieć. Ta oto, że szerokie zaangażowanie surowcowe musi nieuchronnie prowadzić do *zacoiania* kraju. Następstwem *musi być* nie tylko ilościowy ale i jakościowy niedorozwój całego przemysłu przetwórczego — kraju nie stać na kosztą modernizacji, modernizacja ta przestaje być wyższą koniecznością wobec głównej nadziei pokładanej w eksporcie surowcowym. Ponadto istnieją bezpośrednie i pośrednie konsekwencje surowcowego zaangażowania prowadzące w kierunku prymitywnej obróbki, półfabrykatów itd., brak środków, zainteresowania i dostatecznych bodźców dla rozwoju przetwarzania w oparciu o nowoczesną technikę.

Tylko giganty — takie jak Stany Zjednoczone i Związek Radziecki — mogą sobie pozwolić na szerokie zaangażowanie surowcowe bez wszystkich wymienionych wyżej konsekwencji negatywnych (technologiczne odstawanie Związku Radzieckiego ma, naszym zdaniem, inne — strukturalno-organizacyjne przyczyny). Żaden inny kraj, zwłaszcza znajdujący się w fazie sporego dystansu od współczesności, nie może sobie na to bezkarnie pozwolić.

Potwierdzeniem tego może być zjawisko na pozór paradoksalne — oto największą dynamikę rozwojową w ostatnich dziesięcioleciach wykazały kraje ubogie w surowce naturalne, bądź ich wręcz pozbawione. Japonia, którą brak surowców zmusił do przekształcenia kraju w wielką przetwórczo surowców importowanych, osiągnęła na tej drodze rezultaty wręcz fantastyczne, dokonała skoku technicznego wyprzedzającego stare przemysłowe potęgi. Przykład Japonii może wiele dać do myślenia każdemu, kto by chciał się zastanowić nad czynnikami współczesnego rozwoju. Gdyby ten egzotyczny przykład wydał się mało przekonujący ze względu na odmienność warunków, można wskazać bliższe — Włochy lub

choćby małą Danię — kraj niezwykle ubogi, bez surowców, który ze swego rolnictwa potrafił uczynić odskocznię do wysoko rozwiniętego przemysłu, który bez kopalń i hut stworzył nawet tak materiałochłonny przemysł jak stoczniowy — znacznie przewyższający nasze w tej dziedzinie osiągnięcia.

Czy zatem — narzuca się pytanie — posiadanie bogactw naturalnych musi być kulą u nogi gospodarczego rozwoju, przekleństwem skazującym kraj na zacofanie? Że posiadanie i eksploatacja cennych i poszukiwanych kopalin w zacofanym kraju może nie mieć wpływu na rozwój gospodarczy, przykładem służą choćby niektóre kraje arabskie. Mówimy jednak o Polsce, kraju średnio rozwiniętym, mającym już nie błahe podstawy techniczne, niezłą wykwalifikowaną kadrę a nawet nie małe naukowe zaplecze — kraju, który ma możliwość wyboru swego kierunku rozwoju.

Rozważania nad tym kluczowym dla rozwoju Polski zagadnieniem prowadzą do głęboko pesymistycznej oceny naszej gospodarczej polityki w minionym czternastoleciu. Uderza w niej przede wszystkim całkowity brak zrozumienia zasad współczesnej gospodarki, kierownicy tej polityki nie dostrzegli zasadniczej różnicy między drugą połową XIX a drugą połową XX wieku, że minął już czas stopniowego kumulacyjnego rozwoju sił produkcyjnych, że obecnie rozwój dokonuje się skokami umożliwionymi lawinowym postępem nauki i techniki. Oznacza to, że krajowi startującemu z opóźnionych pozycji nie wolno przechodzić stopniowo przez wszystkie pośrednie etapy, jak było w XIX wieku, że musi je przeskakiwać sięgając do nowszych i najnowszych zdobyczy. Jeżeli nie zrozumie tego, skazuje się na rosnący odstęp od współczesnego rozwoju, na pogłębiające się zacofanie. I na odwrót — zrozumienie tego problemu może — jak było w przypadku Japonii — z zacofania uczynić bodziec, ułatwić przechodzenie od tazu do nowoczesności bez kosztów adaptacji i modernizacji.

Kraje kapitalistyczne do zrozumienia tego problemu zmusza rachunek ekonomiczny, zmusza światowa konkurencja. Ustrój socjalistyczny zwolnił naszych przywódców od tego przymusu, nie odpłacają kosztów zacofania gospodarczego, kosztów zacofanej techniki. Nie liczą się tylko z tym, że koszty te płaci społeczeństwo, naród, płaci przede wszystkim klasa robotnicza skazana na ciężki haracz w długiej historycznej perspektywie. Perspektywiczny rachunek ekonomiczny i perspektywiczną wyobraźnię przeważnie zastępujemy perspektywiczną mitologią, która pociesza nas, że kiedyś tam wszystko będzie dobrze i każdy otrzyma, czego potrzebuje. Jeśli tak często mówimy o naszych zakładach, że brak w nich rachunku ekonomicznego i brak bodźców dla technicznego postępu, zarzut ten należy odnieść przede wszystkim do kierow-

ników naszej gospodarczej polityki. Ekonomiczny rachunek podpowiedziałyby jaki może być stopień naszego zaangażowania dla dalszej przyszłości — w rozwój bazy surowcowej, a jaki musi być dla utrzymania tempa rozwoju narzuconego przez współczesność — tzn. odpowiadającego dzisiejszym możliwościom nauki i techniki. W naszych warunkach tylko część „wolnych” oszczędności, świadomie wycofanych z dzisiejszego obiegu, może być angażowana w inwestycje dla dalszej przyszłości, nie może to odciągać środków do dziedzin które po pierwsze, znacznie szybciej dają efekty, po drugie, od których zależy nasze posuwanie się naprzód<sup>2</sup>.

Uwaga ta odnosi się również w dużej mierze do bezkalkulacyjnego charakteru niektórych naszych inwestycji w rolnictwie, przy świadomym hamowaniu nakładów na dziedziny doraźnie potrzebne i dające szybkie efekty. Nawet w tak nowoczesnej dziedzinie jak chemia, nasze inwestycje preferują jej tradycyjne, surowcowe kierunki.

Nasze ekonomiczne myślenie obracało się wokół tradycyjnych XIX-wiecznych kryteriów a powtarzane często pojęcie „gospodarności” przypominało gospodarność konserwatywnego chłopca. Myślenie to znalazło silne oparcie w konserwatyzmie spetryfikowanych form strukturalnych i organizacyjnych, uniemożliwiających sensowne posunięcia. Oba te czynniki wspierając się nawzajem, prowadziły kraj do marazmu i zacofania.

Można na poparcie tej surowej oceny przytoczyć przykład, który pod wieloma względami ma charakter symbolu. Wiadomo, że we współczesnym świecie wśród tradycyjnych — nieelektronicznych gałęzi, przemysł samochodowy zajmuje jedno z czołowych miejsc, wiadomo również, że jest to przemysł zmuszający do technicznej nowoczesności, że ta nowoczesność oddziałuje na całą gospodarkę kraju i na wiele dziedzin społecznego życia.

Polska mogła po wyzwoleniu nawiązać do przedwojennej współpracy z włoskim „Fiatem”, starać się zająć w obozie socjalistycznym poważne, może czołowe miejsce w tej dziedzinie produkcji. Prawda, że w ciągu pierwszych dziesięciu lat istniały poważne przeszkody polityczne dla takiego posunięcia (podobno projekt taki z naszej strony Stalin katogorycznie odrzucił). Mogliśmy tedy wrócić do tej sprawy po roku 1956. Gdybyśmy włożyli w to poważny wysiłek, moglibyśmy się stać w latach 60-tych

---

2. Jak głębokie jest pomieszanie pojęć w tej dziedzinie, świadczy argumentacja jednego z czołowych działaczy gospodarczych. Z dumą podkreśla on, że węgiel ma dać ponad 50 % zysku w całym naszym eksporcie. Oczywiście dobrze, że możemy eksportować chociaż węgiel — ale przecież nie można nie rozumieć, że to jest właśnie dramat, że oznacza to „afrykanizację” naszej gospodarki.



głównym producentem przynajmniej niektórych typów pojazdów mechanicznych dla całego socjalistycznego obozu. Nie zrobiliśmy tego i to nie dlatego, że nie dostrzegliśmy problemu — ale nasze czynniki kierownicze zdecydowanie się takiemu zaangażowaniu przeciwstawiły. Dopiero kiedy w latach 60-tych kolejno prawie wszystkie kraje socjalistyczne zaczęły nawiązywać współpracę z „Fiatem” — i z niektórymi innymi firmami kapitalistycznymi, na końcu tego ogonka znalazła się i Polska. Narzuca się pytanie po co? Po to, aby produkować kilkanaście tysięcy pojazdów rocznie dla „domowych” potrzeb? Podczas gdy wiadomo, że produkcja samochodów staje się opłacalna dopiero od ilości około pół miliona sztuk rocznie, dopiero wtedy staje się czynnikiem oddziałującym na gospodarkę, staje się bodźcem technicznego postępu. Nie jest to bynajmniej jedyny przykład, że nawet zakup zagranicznych licencji, który w założeniu ma być czynnikiem technicznego postępu — u nas może się przyczynić do technicznego zacofania.

Najbardziej znamienne były argumenty wysuwane w dyskusji nad problemami motoryzacji. Otóż władze Polski Ludowej uważały rozwijanie produkcji samochodów za sprzeczne z socjalistyczną polityką — ponieważ samochód jest przedmiotem zbytku, artykułem niedostępnym dla klasy robotniczej, że przeto nie należy popierać zarówno produkcji jak i konsumpcji tego artykułu służącego lepiej uposażonym grupom ludności (stąd również prohibicyjna polityka celna). Były to kategorie myślenia typowe dla początków obecnego stulecia, kiedy to samochód był jeszcze przedmiotem zbytku, przemysł samochodowy odgrywał marginesową rolę, a klasa robotnicza do pracy chodziła pieszo. Polityka ta podnoszona była do godności społecznej teorii, popularyzowanej przez naszą publicystykę. Twórcy i propagatorzy tej teorii nie pomyśleli jednak, że w produkcji samochodów idzie nie tylko o samochody a o całą gospodarkę kraju, nie pomyśleli również, że w ten sposób o wiele lat odsuwają moment, kiedy samochód stanie się dostępny także dla robotnika.

Można by przejść do porządku nad podobnymi ideologicznymi aberracjami, gdyby nie były one znamienne dla całej naszej politycznej myśli. Dostarczały one teoretycznego uzasadnienia dla tradycjonalizmu i konserwatyzmu, wspierały ignorancję i umyślowe lenistwo, niechęć i strach przed wszelką śmielszą inicjatywą, zwłaszcza taką, która wymagałaby zmiany utrwalonych form i metod działania. Nie był to zresztą konserwatyzm pasywny — przeciwnie, rzecznicy i apologetci tej polityki ze szczególną czujnością baczili, aby w kraju nie pojawiła się żadna myśl krytyczna, żadne szersze spojrzenie na teorię i praktykę naszej gospodarki. Wszelkie takie objawy piętnowane i tępiące były z całą bezwzględnością

jako wrogi, antysocjalistyczny rewizjonizm. Kampania ta w ciągu ostatnich trzech lat przybrała charakter żywiołowej katastrofy, która dosłownie miażdżyła w Polsce nauki ekonomiczne, sprowadziła je do roli ministranta odpowiadającego obrzędowymi formułami celebretom naszego gospodarczego nabożeństwa.

Najgroźniejszym dla przyszłości następstwem tej sytuacji — z którą solidarnie współdziałały zjawiska zachodzące w płaszczyźnie życia politycznego — była pogłębiająca się niewydolność całego gospodarczego systemu. Hamulce stworzone przez nieudolną biurokrację oraz przez rozwinięty do absurdu system centralnie narzucanych dyrektyw, przepisów, norm i wskaźników wywoływały stan paraliżu decyzji, inicjatywy, odpowiedzialności. Najdrobniejsze sprawy, których załatwienie wymagałoby kilku dni — tonęły w indolentnej maszynie na długie miesiące, zaprzętały wysokie instancje aż do Biura Politycznego włącznie. Nieuchronnym skutkiem takiej blokady systemu musiały być objawy rozkładu — życie i ludzkie potrzeby szukają sobie różnego rodzaju ujęć półlegalnych i nielegalnych: tam gdzie tryby mechanizmu nie działają samoczynnie, trzeba je wymijać lub popychać specjalnymi środkami. Zdaniem obserwatorów naszego życia procesy gnilne w najrozmaitszych postaciach klik i gangów w naszej gospodarce oraz wszelkiego rodzaju łapownictwo przybrały niepokojące rozmiary — a to ostatnie stało się po prostu usankcjonowanym systemem.

Wszystkie te symptomy są świadectwem naszego poziomu organizacyjnego, który w ciągu czternastolecia uległ dalszemu regresowi. Jeśli mówimy o naszym zacofaniu w stosunku do produjących krajów, decydująca w nim jest nie luka technologiczna — lecz organizacyjna, poziom organizacyjnej sprawności jest pierwszym i elementarnym warunkiem postępu technicznego. Mamy dostatecznie wiele przykładów, że najnowocześniejsze urządzenia włączone w system organizacyjnego niedowładu tracą ekonomiczne walory swojej nowoczesności.



Kierunek wytyczony naszej gospodarce i przesądający o dziedzinach inwestycyjnego zaangażowania niejako automatycznie przesądził o dalszych następstwach. W dodatku nie prześwietlane żadną krytyczną refleksją metody planowania powodowały, że plany gospodarcze z reguły okazywały się nierealne, że urealnianie je trzeba było kosztem inwestycji działań konsumpcyjnych, socjalnych i podobnych. Wszystko to bezpośrednio godziło w sytuację ludności, zamrażało poziom stopy życiowej. Z założonego, w planie na lata 1961-65, 20 % wzrostu płac realnych zrealizowane

zostało niespełna 8 %, zamiast wyciągnąć stąd wnioszek, że następny plan winien ten niedobór wyrównać postanowiono zaplanować już realniejszy wzrost płac — tylko o 10 %. W efekcie Polska w ostatnim dziesięcioleciu znalazła się w rzędzie krajów w Europie (również w obozie socjalistycznym) o najniższym wzroście płac realnych, najpovolniejszym podnoszeniu się stopy życiowej. (Pamiętać trzeba, że zawsze zbyt powolny wzrost stopy życiowej odczuwany jest subiektywnie przez ludność jako pogarszanie się warunków).

Na tle całości tego obrazu obie reformy gospodarcze z 1970 roku znane jako nowy „system bodźców” i „regulacja cen”, z których pierwsza pogłębiała dezorientację i organizacyjny chaos, druga przez podwyżkę cen najbardziej masowych artykułów spożywczych brutalnie uderzała w masę najmniej zarabiających robotników — świadczyły o całkowitym rozregulowaniu naszej nie tylko gospodarczej ale i politycznej busoli.

## ODBUDOWA I ROZKŁAD APARATU PARTYJNEGO

Główną trudnością, wobec której stanęło gomułkowskie kierownictwo, był brak oparcia o zorganizowany i funkcjonujący aparat. Aparat partyjny sparaliżowany i zdezorientowany czuł się wysadzony z siodła, w istocie pozbawiony egzekutywy przez polityczną aktywizację mas społecznych. Ponadto, co trzeba podkreślić, był głęboko nieufny wobec nowego kierownictwa i jego programu, rozżalony, że centralne władze partyjne nie bronią go przed oskarżeniami i atakami ze strony społeczeństwa obciążającego aktyw partyjny odpowiedzialnością za wszystkie nadużycia minionego okresu. Pozyskanie poparcia aparatu było pierwszym zadaniem, jakie postawił przed sobą Gomułka. Ale uzyskanie tego wymagało spełnienia zasadniczego warunku — w rozumieniu całego partyjnego aktywu musiało być poprzedzone przywróceniem aparatowi partyjnemu jego poprzedniej roli, wycofaniem się z postulatów demokratyzacji, sprowadzeniem aktywności społeczeństwa do „właściwych” form, wprowadzeniem rygorów cenzuralnych wobec prasy i wszelkich przejawów krytyki. Oznaczało to jednym słowem wycofanie się z programu przyjętego przez VIII Plenum.

Kierownictwo znalazło się między dwoma cisnącymi na nie siłami. Z jednej strony żywiołowe parcie społeczeństwa w kierunku demokratyzacji, zwiększenia wpływu czynnika społecznego na władzę, szczególnie na jej terenowe ogniwo, ożywienie życia politycznego, wyrażające się w podejmowaniu i krytyce problemów wewnętrznych, które do niedawna stanowiły nietykalne „tabu”, entuzjastyczne poparcie dla październikowego programu i osobiście dla Gomułki. Z drugiej strony konserwatywny aparat, zróżnicowany wprawdzie wewnętrznie ale dostatecznie jednolity w zasadniczym dążeniu do utrzymania swej pozycji. Aparat ten my-

ślał kategoriami władzy — takimi jakie mu zostały wpojone przez dotychczasową teorię i praktykę — i wszystkie procesy zachodzące w przełomowym roku 1956 uważał za niebezpieczne odstępstwo od socjalizmu, za przejaw wrogich antysocjalistycznych wpływów. Wiedząc zaś, że kierownictwo zabiega o jego poparcie, umacniał się w przekonaniu o swojej niezbędności, że jest jedyną siłą zdolną obronić socjalizm.

Głęboką wymowę miała konfrontacja kierunku wytyczonego przez VIII Plenum z nastrojami panującymi w aparacie w czasie spotkania z parotysięcznym aktywem z całego kraju w dn. 4 listopada 1956 roku. Zadaniem referatu wygłoszonego przez Gomułkę miało być rozwianie obaw partyjnego aktywu i pozyskanie go dla nowego kierunku. Gomułka zapewniał, że partia wysoko ceni swój aktyw, uznaje jego wkład i zasługi, że będzie broniła każdego przed krzywdzącymi oskarżeniami. Podkreślał mocno utrzymanie kierowniczej roli partii, że pod jej kierunkiem będzie się dokonywał cały proces demokratyzacji. Ale uspakajające zapewnienia i schlebające oświadczenia nie były w stanie rozwiać obaw zebranych w sali przedstawicieli. Zbyt wiele było jeszcze w tym referacie powtórzeń z ogłoszonego przed niewiele dniami programu, zbyt groźnie brzmiały takie stwierdzenia jak: instancje partyjne nie mogą być „nadurzędami”, „włączenie mas pracujących do bezpośredniego rządzenia”, „zwięźenie zakresu zadań organów bezpieczeństwa”, nie mogła nie budzić obaw tajemnicza zapowiedź „zasadniczej przebudowy systemu pracy partyjnej” — wszystko to pachniało daleko idącym „rewizjonizmem”, kryło w sobie niebezpieczeństwo zamachu na aparat, jego pozycję, losy jego ludzi. Obserwatorów tego spotkania musiała uderzyć nieufna czy nawet wręcz wroga atmosfera parotysięcznej masy aktywistów, która ukłony pod swoim adresem przyjmowała jako taktyczne posunięcie mające uspokoić naiwnych.

Dla utrzymania kierunku przy parciu dwu tak zasadniczo sprzecznych żywiołów potrzebne były dwa zasadnicze warunki — dobre rozeznanie sytuacji i jasność zamierzonego celu oraz — istnienie jako tako jednolitego i solidarnie działającego kierowniczego trzonu, grupy, która stanowiłaby „centrum” między dwiema skrajnymi tendencjami.

Osobliwością październikowej sytuacji w Polsce był fakt, iż takie „centrum” nie istniało. Nie istniało z wielu powodów — przede wszystkim dlatego, że nie było programu. Wyjaśnialiśmy powyżej, dlaczego uchwały VIII Plenum już nazajutrz po ich przyjęciu okazały się nieaktualne a dla samego ich twórcy wysoce kłopotliwe. Nie tylko nie mogły one odegrać roli platformy skupiającej określone grupy aktywu, ale przeciwnie, stały się czynni-

kiem pogłębiającym różnicowanie i rozbitcie. Wprawdzie długo jeszcze w kraju pokutował duch tych uchwał przybierając postać straszącego upióra, przeciwko któremu stosowano wszelakie egzorcyzmy i anatemy. Różnicowanie i rozbieżności w łonie centralnego aktywu miało jeszcze wiele innych przyczyn, odzywały się stare antagonizmy między „tubylcami” i „przybyszami” (tą częścią aktywu, która walczyła w kraju i tą, która przyszła ze Związku Radzieckiego wraz z I-szą Armią), między tymi, którzy byli u władzy w okresie stalinowskim, a tymi którzy podlegali prześladowaniom — niewątpliwie jakąś rolę odgrywał czynnik pochodzenia, a także rozmaite personalne animozje itd.

Zjawisko to zasługuje na szczególne podkreślenie, ono bowiem zdecydowało o słabości kierownictwa i bezkierunkowości jego polityki w ciągu całego czternastolecia. To co stanowiło linię polityczną partii było z reguły wynikiem nacisku aparatu na kierowniczą instancję z jednej, a lęku przed masami społeczeństwa z drugiej strony. Była ta linia pozbawiona konsekwencji i głębszej przemyślanej koncepcji. Właściwą dyktaturę sprawowały żywiołowe procesy zachodzące w całym aparacie władzy, procesy, którymi nikt nie usiłował kierować i których nikt nie rozumiał.

Rzeczywiste centrum partyjne stanowiła ta konserwatywna większość aparatu, która z jednej strony chciała zażegnać październikowe niebezpieczeństwo, wytrzebić wszelkie tendencje do „rewizji” zarówno przeszłości jak i teraźniejszości, zarówno partyjnej praktyki jak i teorii, z której ta praktyka wyrastała — z drugiej, usiłowała przyhamować „dogmatycznych” ekstremistów, którzy otwarcie atakowali kierownictwo zarzucając mu rewizjonizm i zdradę socjalizmu. To zróżnicowane i skłócone wewnętrznie „centrum” nie mogło stanowić żadnej kierunkowej siły zdolnej do wypracowania jakiegoś modelu działalności partyjnej odpowiadającego nowej sytuacji i nowym potrzebom — ze swej istoty skazane było na poddanie się żywiołowym procesom wynikającym z wewnętrznej dynamiki aparatu władzy, a w rezultacie na uleganie najbardziej wstecznym elementom tego aparatu.

### *Główne kierunki ataku*

Nacisk na gomułkowskie kierownictwo dokonywał się pod ogólnym hasłem zwalczania „rewizjonistycznego niebezpieczeństwa”. W tym szerokim froncie były punkty szczególnie dogodnie jako cel ataków. Jednym z takich punktów była *polityka rolna*.

Doświadczenia minionego okresu, fakt, iż po pięciu latach forsowania kolektywizacji, mimo użycia wszelakich form nacisków

ekonomicznych, administracyjnych i policyjnych, rezultaty były nieproporcjonalne do włożonego wysiłku (w końcu 1955 roku spółdzielnie produkcyjne obejmowały około 6 % gospodarstw chłopskich i około 11 % użytków rolnych), mimo, iż dla anulowania tego efektu wystarczyło tylko zelżenie administracyjnego nacisku — doświadczenia te nie nauczyły aparatu partyjnego niczego. Wprawdzie najdotkliwszym rezultatem było gwałtowne pogorszenie stanu gospodarstw chłopskich i wynikające stąd trudności zaopatrzenia kraju w podstawowe artykuły spożywcze — ale i to tłumaczono sobie jako nieuniknione koszty rewolucji, które trzeba raz zapłacić, aby przekroczyć barierę dzielącą nas od socjalizmu. Żywiolowy rozpad spółdzielni produkcyjnych wyjaśniono jako rezultat wpływu wrogich antysocjalistycznych sił. Sytuację aparat partyjny rozumiał w ten sposób, że opanowanie zamętu wywołanego przez XX Zjazd i Październik, przywrócenie porządku będzie oznaczało powrót na dawną drogę.

W tym punkcie wyraźnie zarysowała się różnica taktyki między koncepcjami Gomułki i nastawieniem dołowego aparatu. Z wielokrotnych wypowiedzi przywódcy partii jasno wynikało, iż trzeba znaleźć nową drogę, zastosować nowe metody dla przebudowy wsi. O ile w okresie stalinowskim głównym środkiem był przymus fizyczny i ekonomiczny, tzn. utrudnienie gospodarowania indywidualnym chłopom, kosztem ruiny ich gospodarstw — tezą wysuniętą przez Gomułkę było osiągnięcie tego samego celu przez rozwój gospodarki chłopskiej, przez podnoszenie jej poziomu, przez stopniowe, przygotowawcze formy zespołowego działania, przez niższe formy spółdzielczości. Miał to być zatem proces kolektywizacji w dłuższej perspektywie, a na najbliższy okres stały zadania dużego wysiłku organizatorskiego w celu intensyfikacji gospodarki chłopskiej. Aparat dołowy, który miał tę politykę realizować, patrzył na sprawę o wiele prościej — przede wszystkim skracał sobie perspektywę a wszystkie organizacyjne zabiegi rozumiał po prostu jako manewr, przysłonięcie celu, którym miało być skłonienie chłopów do tworzenia spółdzielni produkcyjnych. Trzeba przy tym dodać, że do gospodarczych zabiegów nad podnoszeniem rolnictwa aparat ten nie miał żadnego przygotowania, że ponadto dominowało w nim przeświadczenie, iż wzmocnianie gospodarstw chłopskich jest wzmocnieniem pozycji „kułaka”, co nie tylko nie może nas przybliżyć, ale musi oddalić od socjalizmu.

W starciu się tych dwóch punktów widzenia decydujący głos miał oczywiście dołowy aparat — on bowiem był faktycznym tłumaczem i realizatorem polityki rolnej. Niemalą rolę odegrał fakt, że i kierownictwo partii nie miało bynajmniej jasnego poglą-

du na sprawę, samo było pełne wątpliwości i obaw, czy istotnie nie oddalamy się od socjalizmu. W tych warunkach łatwo było dać sobie narzucić linię postępowania. Jaskrawego przykładu dostarczyła realizacja koncepcji kółek rolniczych jako wstępnej formy organizacji wsi i zespolowego działania. Gomułka myślał o kółkach jako o środku mającym pomóc indywidualnym gospodarstwom, zintegrować je i rozproszyć obawy chłopów wobec polityki władz. Aparat dołowy rozumiał je po prostu jako inną formę zapisywania się do spółdzielni produkcyjnych. Rezultatem było, że słuszna i celowa koncepcja kółek została na szereg lat zaprzeczona, odegrała rolę jeszcze jednego hamulca rozwoju gospodarki rolnej.

Polityka rolna partii pod wpływem nacisków aparatu stała się dwuznaczna i dwulicowa. Wszystkie oświadczenia, jakie padały z najwyższej trybuny zawsze łączyły dwie tezy: popieranie indywidualnej gospodarki chłopskiej i konieczność przejścia do spółdzielczości produkcyjnej. Chłopi korzystali oczywiście z usunięcia większości tych przeszkód jakie stworzono w poprzednim okresie — dawało to doraźne gospodarcze efekty — ale korzystali na dziś, bowiem nad jutrem wisiała stale przypominana groźba kolektywizacji. Brak perspektywy dla gospodarstw chłopskich i niepewność przyszłości wywierały zasadniczy wpływ na sytuację wsi, hamowały rozwój gospodarki, powstrzymywały chłopów przed inwestycyjnym zaangażowaniem (ograniczającym ponadto licznymi przepisami), stwarzały żywiołową tendencję do rozdrabniania gospodarstw itd.

W przeddzień III Zjazdu partii (1959 roku) kierownictwo przeszło całkowicie na pozycję konserwatywnej części aparatu. Gomułka przejawiał wyraźne zniecierpliwienie z powodu niepowodzenia kółek rolniczych, w kierowniczej grupie dojrzała koncepcja przyspieszenia rolniczej rewolucji. Dało temu wyraz przedzjazdowe Plenum KC (październik 1958 roku), które podjęło uchwałę podkreślającą konieczność „wzmocnienia pracy nad rozwojem spółdzielczości w rolnictwie”. Plenum postawiło jasno sprawę, iż indywidualna gospodarka chłopska nie da się pogodzić z socjalizmem: „Partia odrzuca kapitulankie teorie o „trwałym współistnieniu” pomiędzy sektorem socjalistycznym w mieście a drobnotowarową wsią”. Ponadto sformułowano groźną zapowiedź, iż partia nie będzie czekała aż chłopci dobrowolnie się zrzeszą. „Szczepiąc prawo każdego chłopca do swobodnej decyzji o swym losie [...] Partia nie może jednak zgodzić się na to, by jej poszczególne ogniewa utożsamiały zasadę dobrowolności z zanikiem aktywności na rzecz rozszerzenia spółdzielczości produkcyjnej”. Uchwała podkreślała, iż należy „zwalczać nastroje wyczekiwania”. III Zjazd



potwierdził te tezy, był manifestacyjnym zwycięstwem linii „dogmatycznej” (nie tylko zresztą na odcinku rolniczym). Innym faktem świadczącym o kapitulacji Gomułki ze stanowiska w kwestii rolnej była nieujawniona uchwała kierownictwa podjęta jesienią 1962 roku o konieczności przeprowadzenia pełnej kolektywizacji. Główny argument tej uchwały brzmiał dość szczególnie: ponieważ do roku 1980 musimy podwoić produkcję rolną, a nie osiągniemy tego przy obecnej strukturze rolnej — konieczna jest kolektywizacja. Tak jakby kolektywizacja była najlepszym środkiem dla podwojenia produkcji!

Wyraźny przełom na tym polu nastąpił dopiero w 1964 roku. Sytuacja gospodarcza kraju oraz ewidentne trudności skolektywizowanego rolnictwa w pozostałych krajach socjalistycznych powoli stawiały pod znakiem zapytania absolutny charakter dogmatu kolektywizacji, zaczęto zauważać, że indywidualne rolnictwo chłopskie w kraju socjalistycznym nie musi odgrywać roli kapitalistycznego bastionu.

### *Wojna religijna*

Drugim odcinkiem popaździernikowej polityki zajadłe atakowanym przez konserwatywne elementy aparatu były próby uregulowania stosunku do kościoła i religii. Osobliwością w stosunkach między kościołem i państwem były taktyka władz polegająca na unikaniu prawnego uregulowania całego szeregu spraw bezpośrednio obchodzących większość społeczeństwa, do jakich należała np. sprawa religii w szkole. Zamiast uregulowania aktem prawnym wybrano metodę „politycznego” oddziaływania, tzn. stopniowego usuwania religii ze szkół w miarę „dojrzewania” społeczeństwa. Obłuda tej taktyki była oczywista. W istocie było to oddanie tego czułego problemu na całkowitą samowolę rozmaitego rodzaju sekciarzy i lokalnych kacyków, którzy w dążeniu do przyspieszenia dojrzewania społeczeństwa dopuszczali się różnego rodzaju nadużyć i wręcz prowokacji. Usuwano religię ze szkół pod różnymi pretekstami, często powołując się na „wolę ludności”. Cały okres stalinowski odznaczał się narastającym napięciem między dwoma podniecającymi się wzajemnie fanatyzmami — sekciarskich elementów w partii i organach bezpieczeństwa (*nota-bene* przy wierzącej większości członków partii) oraz pobudzanych tysiącnymi szykanami fanatyzmem religijnych mas. Jednym z przejawów tego napięcia była fala „cudów” jaka przeszła przez kraj w latach 50-tych.

Jeszcze w okresie przedpaździernikowym nastąpiła żywiolowa

reakcja ludności. W wielu miejscowościach, szczególnie na wsi, ludność wprowadzała księży do szkół żądając nauczania religii bezprawnie usuniętej. Oczywistym nieporozumieniem jest powtarzane często twierdzenie, że gomułkowskie kierownictwo dokonując zwrotu w stosunkach z kościołem wprowadziło do szkół religię. W istocie nowe władze stanęły wobec sytuacji, w której musiały ten fakt akceptować, nie rozporządzając siłą zdolną odeprzeć nacisk ze strony społeczeństwa. (Jak ktoś powiedział: można było religii do szkół nie wprowadzać ale tylko przy pomocy czołgów).

Konserwatywne sekciarskie elementy w partii uznały ten fakt za oczywiste odstępstwo od socjalizmu — walka z całym październikowym programem znalazła tu niezwykle dogodny pretekst. Trudno byłoby opisać wszystkie formy jawnej walki i skrytej dywersji prowadzonej w kraju pod tą przykrywką. Głównym celem ataków stała się polityka oświatowa, usiłująca oczyścić szkolnictwo z wynaturzeń stalinowskiego okresu. Już w kilkanaście dni po VIII Plenum antypaździernikowe elementy stworzyły organizację do walki z polityką oświatową. Powstało Towarzystwo Szkół Świeckich, którego założycielami (o czym mało kto wie) byli prawie wyłącznie pracownicy organów bezpieczeństwa i aparatu partyjnego usunięci w czasie październikowego zwrotu. Dopiero później zwerbowano tam sporą ilość nauczycieli i działaczy oświatowych. Towarzystwo to stało się stopniowo drugim, „partyjnym” ministerstwem oświaty, popieranym przez lokalne komitety przeciwko władzom szkolnym i przy poparciu tym organizującym różnego rodzaju akty dywersji. Nie będzie odkrywaniem tajemnicy, że główną intencją, jaka przyświecała konserwatywno-sekciarskim elementom — było stworzenie w społeczeństwie stanu napięcia, poderwanie zaufania mas do gomułkowskiego kierownictwa.

Ponieważ w całym kraju znów wracano do metod już raz skompromitowanych, które dezorganizowały i demoralizowały szkolnictwo, które społeczeństwo odczuwało jako wyraz bezprawia i nawrotu dawnych upiorów — jedynym wyjściem mogło być ustawowe usunięcie religii ze szkół i stworzenie innych form zaspokajania tej religijnej potrzeby ludności. Niestety, gomułkowskie kierownictwo propozycję taką odrzuciło, odsuwając uregulowanie sprawy na dalszy okres. Głównym motywem było podtrzymanie „ideologicznej aktywności” partii, dla której ta dziedzina stwarzała szerokie i niezwykle dogodne pole.

Zagadnienie wpływu, jaki polityka partii i terenowa praktyka w dziedzinie stosunków kościelno-religijnych miały dla całokształtu sytuacji w kraju, dla stosunków między społeczeństwem i socjalistyczną władzą, wymaga specjalnego socjologicznego studium. Tu możemy jedynie ograniczyć się do sumarycznej oceny. Nie

ulega wątpliwości, że stanowisko socjalistycznej władzy, u podstaw którego położono dogmat o niemożności pogodzenia socjalizmu z religią, teza iż pierwszym krokiem ku socjalizmowi musi być zwalczanie „religijnych przesądów” — wywarły i wciąż wywierają katastrofalny wpływ na całość stosunków społecznych w kraju o głębokich tradycjach religijnych, jakim jest Polska. Jest to zasadniczy motyw alienacji — obcości — między władzą a społeczeństwem. Dziedzina spraw kościelno-religijnych była terenem licznych niekonsekwencji w polityce władz, rozchodzenia się teorii z praktyką, prowadziła do demoralizacji zarówno władzy jak i społeczeństwa, była nie błałym czynnikiem dezorganizacji, obniżania się społecznej świadomości i dyscypliny. Brak rozsądnych kryteriów w tej dziedzinie był źródłem rozmaitego rodzaju poczynań ze strony terenowych ogniw aparatu, które stwarzały stany dokonane wywierając presję na kierownictwo. Okres czternastolecia dostarczył tu jaskrawych, często wręcz gorszących przykładów — jak w czasie obchodów tysiąclecia państwa polskiego. Nie uda się zaprzeczyć, że istotną ich częścią były obchody tysiąclecia naszego chrześcijaństwa. Nieumiejętność rozwiązania tej sprawy, zdanie jej na „prywatną” inicjatywę rozmaitych sekciarzy i głupców (przy pomocy organów bezpieczeństwa) wyrządziły naszej władzy w opinii społeczeństwa a Polsce w opinii świata niepowetowane szkody. I w tej dziedzinie rozsądne zamierzenia Gomułki w pierwszym okresie zostały zniwelowane przez napór najbardziej reakcyjnej części aparatu.

## KONIEC JEDNOŚCI I „PARCELACJA CENTRALIZMU”

Dla zrozumienia procesów zachodzących w okresie postalinowskim uwzględnić trzeba zmiany, jakie się dokonały w stosunkach między centralnym ośrodkiem władzy a jej aparatem. Usunięcie jaskrawych metod terroru stosowanego przedtem masowo i z reguły profilaktycznie nie tylko wobec społeczeństwa ale także wobec aparatu — usunęło również główny filar, na którym opierała się zawsze tak mocno podkreślana jedność partii — a zarazem zachwiana została podstawa bezwzględnego autorytetu przywódcy partii. W ten sposób zwichnięty został szkielet całego centralistycznego mechanizmu.

Podjęta przez Gomułkę odbudowa aparatu i przywracanie jego pozycji odbywało się już w całkowicie odmiennych warunkach. Demitologizacja Stalina i kompromitacja jego metod nadały nie dający się odrobić cios kultowi wodza-dyktatora, a cały jednolity dotychczas organizm aparatu popękał wzdłuż różnych szwów. Głównym czynnikiem zróżnicowania był stosunek do przeszłości i lęk, jaki przejawiała chyba większość aparatu, przed możliwością rewizji systemu i przystosowania go do nowej sytuacji. Bardzo rychło przekonało się gomułkowskie kierownictwo, że jedność partii — aparatu — w jej dawnym kształcie należy do bezpowrotnej przeszłości a dostrzegalna słabość nowego kierownictwa ośmielała poszczególne grupy do stawiania warunków i wywierania presji.

Oczywiście, po okresie wymuszonej strachem jedności zróżnicowanie partii stojącej przed nowymi, doniosłymi problemami mogłoby być zjawiskiem ze wszechmiar pozytywnym, pod warunkiem, że byłoby to ścieranie się poglądów, poszukiwanie i krystalizacja określonych kierunków i programów działania. Niestety, to zróżnicowanie, które można było oglądać w ciągu całego czter-

nastolecia, nie miało żadnej z tych cech. Zamykało się w ciasnych ramach obrony istniejącego stanu rzeczy, przywrócenia dawnej pozycji aparatu, z reguły przybierało charakter klikowych i mafijnych walk o władzę na różnych jej szczeblach, zakonspirowanych, najczęściej personalnych rozgrywek, które w konsekwencji prowadziły do obniżenia poziomu politycznego życia kraju, do demoralizacji społeczeństwa i rozkładu aparatu władzy.

Wewnętrzną sytuację partii, ściślej — aparatu, doskonale charakteryzują fragmenty przemówień Władysława Gomułki.

W maju 1957 roku na IX Plenum:

„Partia nie może się zgodzić, aby w jej łonie powstawały jakiegokolwiek grupy frakcyjne, bez względu na nazwę. Nonsensem jest dzielenie partii na lewicę, centrum i prawicę”.

W czerwcu 1957 roku na Konferencji Warszawskiej:

„Głównym powodem braku konsolidacji jest platforma zastrzeżeń wobec uchwał VIII i IX Plenum, negowanie uchwał i linii partii przez niektórych towarzyszy. [...] dosyć było sporów... nie może istnieć jakaś federacja dzielnic, w której każda dzielnica jest inna”.

W październiku 1957 roku:

„W obecnym stanie rzeczy partia jest tylko formalnie jednolita. Faktycznie w partii działają dwa skrzydła [...] rewizjonistyczne skrzydło musi zostać od partii ocięte”.

Z przytoczonych zdań wyłania się dramatyczny paradoks ujawniający sens zachodzącego procesu: główną przyczyną rozbicia partii był jawny bunt znacznej części aktywu przeciwko kierownictwu, przeciwko linii ustalonej na VIII i jeszcze nie kwestionowanej na IX Plenum. O tej to części aktywu mówi Gomułka na X Plenum, że „zwolennicy stanowiska dogmatyczno-sekciarskiego XX Zjazd określają jako „wielkie nieszczęście”. Te najbardziej wsteczne elementy w działalności swej czuły się całkowicie bezkarne, uciekały się do rozmaitych form konspiracji i dywersji, szukały oparcia w czynnikach zewnętrznych (najpierw wśród prostałińskich elementów w Związku Radzieckim a w późniejszym okresie w Maoistowskich Chinach). O tych to elementach mówiła uchwała KC w maju 1957 roku:

„Partia nie może się zgodzić z tym, aby podważano jedność jej szeregów metodą stawiania w wątpliwość linii partii przyjętej na VIII Plenum przez próby przeciwstawiania członków partii kierownictwu — pod fałszywymi zarzutami jakoby polityka partii prowadziła do osłabienia sojuszu z ZSRR, do osłabienia dyktatury proletariatu, jakoby sprzyjała odbudowie stosunków kapitalistycznych, przez złośliwe ataki personalne przeciwko działaczom partyjnym wiernym jej linii”.

Po takiej charakterystyce „dogmatyczno-sekciarskiego skrzydła partii” następuje wniosek, jaki stąd wyciąga przywódca partii: „rewizjonistyczne skrzydło musi zostać od partii odcięte!”. Oczywiście, dogmatycznego skrzydła nikt odcinać, ani nawet energiczniej przyhamować nie myślał — nie było zresztą siły, która by to mogła zrobić.

Komentarza wymaga również owo „rewizjonistyczne skrzydło”. W sytuacji, jaka ukształtowała się w początkach 1957 roku, tendencje „rewizjonistyczne” — w tym choćby sensie, w jakim zostały ujęte w październikowym programie Gomułki — w aparacie partyjnym praktycznie prawie nie istniały. Niewielka grupa ludzi, których wydarzenia 1956 roku wysunęły do niższych szczebli partyjnych, nigdy w łonie aparatu nie odegrała żadnej roli — ludzie ci byli obcym ciałem, które nie mogło przekroczyć „immunologicznej bariery” partyjnego organizmu. Grupa ta już w ciągu 1957 roku wykruszyła się, została z aparatu po prostu usunięta. Natomiast to, co sekciarskie, reakcyjne elementy uważały za groźny rewizjonizm, była to po prostu ta część również konserwatywnego aktywu, która jednak rozumiała całą nonsensowność i szkodliwość dla samej partii stalinowskich tęsknot, uważała, że wprawdzie październikowy program jest nie do przyjęcia — partia jednak musi wyciągnąć jakieś wnioski z dotychczasowych doświadczeń, musi szukać nowych form działania, że wreszcie zamknięcie oczu na obalenie mitu Stalina mogłoby być niebezpieczne dla partii. To trzeźwiejsze, umiarkowane konserwatywne tendencje, mające spore oparcie w średnim i częściowo górnym aktywie, były zaciekle atakowane przez partyjną reakcję i demaskowane jako rewizjonizm. W konflikcie tym Gomułka poszedł całkowicie po linii dyktowanej przez reakcję — wyraziło się to w zmianach, jakie w ciągu paru lat następowały w górnym aparacie, z którego pod rozmaitymi pretekstami usuwano ludzi atakowanych przez partyjną reakcję a przywracano do wysokich i wpływowych funkcji nawet najbardziej skompromitowanych zwalczaniem VIII Plenum i samego Gomułki przedstawicieli tzw. grupy „natolińskiej”.

Zamęt stworzony wokół pojęcia „rewizjonizmu” wybitnie utrudniał zrozumienie sytuacji. Oczywiście istniał rewizjonizm — w sekciarskim rozumieniu cały kraj, całe społeczeństwo było rewizjonistyczne, ponieważ żyło atmosferą października, przyjęło za swój program wygłoszony przez Władysława Gomułkę, widziało w tym programie gwarancję naprawy szkód wyrządzonych krajowi w minionym okresie oraz nadzieję wkroczenia na sensowną drogę rozwoju, na której możliwe będzie współdziałanie między władzą i społeczeństwem. Zrozumiałe, że w warunkach ogólnego ożywie-

nia politycznego i intelektualnego musiały się również ujawniać tendencje ekstremistyczne, nie dające się pogodzić z socjalizmem. W dyskusjach, zdarzało się, zabierali czasem głos ludzie pokrzywdzeni i rozczarowani, negujący możliwość naprawy socjalizmu, bądź proponujący reformy obce socjalizmowi. Z naciskiem trzeba jednak podkreślić, że to „rewizjonistyczne” społeczeństwo zachowywało zdumiewającą, jak na polskie stosunki, dyscyplinę. Przez długi czas kredyt zaufania udzielony Gomułce był tak wielki, że z tej strony nie dochodziło do wystąpień przeciwko kierownictwu partii — w przeciwstawieniu do zachowania „dogmatyczno-sekciarskiej” części aparatu.

Walka z rewizjonizmem sięgała do starych, wypróbowanych wzorów: stworzenia atmosfery ogólnego zagrożenia — dopóki w kraju będzie choć jeden nieuszkodliwiony rewizjonista, dopóty zagrożony będzie socjalizm. Cała tradycyjna frazeologia o walce klasowej i jej nasilaniu się, o groźbie powrotu kapitalizmu miała przysłonić rzeczywiste procesy. Pytanie rzucone w jednej z partyjnych dyskusji — jaką klasę społeczną reprezentują te elementy w partii, które nie uznały ani XX Zjazdu ani Października, które marzą o powrocie do stalinowskich metod i które najgłośniej krzyczą o zaostrzeniu się walki klasowej, wszak nie reprezentują klasy robotniczej, ani chłopstwa, ani inteligencji, ani drobnej burżuazji — więc jaką? — Pytanie to nie doczekało się odpowiedzi.

Dla uzasadnienia realizowanej przez siebie linii politycznej Gomułka stworzył własną teorię: oto „dogmatyczno-sekciarskie” skrzydło partii istnieje tylko dlatego, że wywoływane jest tendencjami rewizjonistycznymi. Zamiast zwalczać to skrzydło, wystarczy usunąć rewizjonizm i cały sekciarski reakcyjny nurt automatycznie zniknie pozbawiony pokarmu. Osobliwa ta teoria, odwracająca cały sens historycznego procesu, mogła powstać tylko albo z lekceważenia albo z nieznajomości społecznych dziejów łącznie z niedawnymi doświadczeniami. Wszak w każdym systemie społecznym zawsze istniały — silniejsze lub słabsze — dwa zasadnicze nurty: reakcyjny — dążący do utrzymania istniejącego stanu, oraz postępowy — dążący do zmian, do „rewizji” istniejących struktur, form i metod, i dostosowania ich do zmieniającej się sytuacji i warunków. Ustrój socjalistyczny nie tylko nie okazał się wolny od tej sprzeczności, ale przeciwnie, zaostrzyły się one — właśnie dlatego, że ze szczególną siłą wystąpiły w nim procesy kostnienia, petryfikacji form ukształtowanych w początkowej fazie rozwoju systemu. Teoria Gomułki była tylko próbą „teoretycznego” uzasadnienia kapitulacji ze swego stanowiska i złożenia broni w ręce żywiołów, które z bogatych doświadczeń przeszłości „niczego nie zapomniały i niczego się nie nauczyły”.

Na przedzjazdowym plenum w październiku 1958 roku Gomułka tryumfalnie obwieścił zakończenie wewnętrznych walk w partii:

„Partia wyszła już z matni wewnętrznych sporów... zwarła swoje szeregi, okrzepła ideologicznie, urosła politycznie, wzmocniła się organizacyjnie”. „Po X Plenum KC usunięto z szeregów partii 792 osoby w przeważającej większości za działalność rewizjonistyczną. Określona część rewizjonistów sama wyszła z partii”. „Obecnie główne wysiłki partii powinny zmierzać do zupełnej likwidacji porewizjonistycznego czadu znajdującego się jeszcze w atmosferze... Czad ten maćci dotąd twórcze umysły i ambicje szeregu pisarzy i literatów... występuje w naszych uczelniach, wśród młodzieży studenckiej, profesorów i ludzi nauki”. „... tendencje sekciarskie nie znajdują w partii pośłuchu” ponieważ po zlikwidowaniu rewizjonizmu „tendencje dogmatyczno-sekciarskie nie mają obecnie pożywki, którą się tak obficie karmiły”.

A na Zjeździe III (marzec 1959 roku) Gomułka uzupełnił te twierdzenia:

„Rewizjonizm pchał wielu uczciwych... towarzyszy w objęcia dogmatyków. [...] Część dobrych towarzyszy... w pewnym okresie szczególnego nasilenia ataków reakcji na partię i nieokiełznanej rewizjonistycznej wrzawy uległa dezorientacji i zamknęła się w skorupie dogmatyzmu... [obecnie] towarzysze ci tę skorupę porzucili i stopniowo wyrównali swój krok z partią”. „Dziś możemy stwierdzić, że ideowa i organizacyjna konsolidacja partii została w zasadzie osiągnięta”.

Ile w tych deklaracjach było samoułudy — *wishful thinking* — a ile świadomego schlebiania „dogmatyczno-sekciarskiej” części aparatu, trudno określić. Na pewno ta charakterystyka sytuacji w partii nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Rozgromienie rewizjonizmu oznaczało tryumf konserwatywnych i wstecznych sił, ale bynajmniej nie oznaczało przywrócenia jedności partii — dalszy rozwój wydarzeń aż po rok 1970 dostarczył obfitych tego dowodów. Komentarza wymaga jednakże wspomniana przez Gomułkę „nieokiełznana rewizjonistyczna wrzawa”. Określenie to jest wysoce trafne — zapomniano tylko dodać, że wrzawę tę podnosiła partyjna konserwa. Każdy artykuł w prasie, każdy głos w dyskusji, który nie podobał się w tamtych kołach, zwłaszcza jeśli zalatywał duchem października, spotykał się istotnie z nieokiełznaną wrzawą całej konserwatywnej reakcji, atakowany był na setkach zebrań i konferencji aż do posiedzeń KC i Biura Politycznego, każda najniewinniejsza nawet próba krytyki, przedstawiana była jako oczywiste zagrożenie ustroju i groźba przywrócenia kapitalizmu. Natomiast — warto przypomnieć i podkreślić — nawet zuchwałe akty dywersji antypartyjnej ze strony elementów „dogmatyczno-sekciarskich” otaczało głębokie milczenie i tylko czasem mówiła o nich szeptana plotka. Były i takie jaskrawe pro-



wokacyjne poczynania partyjnej reakcji, które cały aparat skrzętnie ukrywał i które nigdy do wiadomości Gomułki nie doszły.

III Zjazd był manifestacyjnym zwycięstwem skrajnie konserwatywnych sił w partii i można rzec oficjalnym zakończeniem ery październikowych złudzeń. To właśnie skrzydło narzuciło kierownictwu i Gomułce swoją linię wewnętrznej polityki, ono zadecydowało, co jest rewizjonizmem, zapoczątkowało obskurancki program w dziedzinie kultury, nauki, oświaty — torując drogę przyszłym posunięciom na fali wydarzeń marcowych w 1968 roku. Te siły narzuciły partii własną linię polityki wobec wsi i rolnictwa — uchwały Zjazdu zdecydowanie podkreśliły konieczność przyspieszenia kolektywizacji i zasygnalizowały odejście od zasady dobrowolności w przystępowaniu chłopów do spółdzielni produkcyjnych.

Swoje zwycięstwo siły te zawdzięczały bynajmniej nie swej ilościowej przewadze. W istocie, w całym partyjnym aparacie większość stanowili ludzie, którzy mimo konserwatywnych nawyków z troską śledzili ten rozwój sytuacji, niejasno wyczuwali niebezpieczeństwa jakimi to grozi, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej. Elementy reakcyjne odnosiły zwycięstwa dzięki swej agresywności i zdecydowanym, bezpardonowym metodom walki, którymi potrafiły paraliżować każdą próbę poszukiwania sensowniejszych rozwiązań, każdy przejaw zdrowego rozsądku. Zasadniczą rolę grał fakt, że w całych dziejach ustroju socjalistycznego one jedne korzystały z immunitetu nietykalności, mogły sobie pozwolić na wszystko. One przywłaszczyły sobie prawo przemawiania w imieniu rewolucji, proletariatu, reprezentowania jego woli — i tego prawa nikt w partii nie ośmielił się zakwestionować! Czasami tylko, jak w roku 1956 i 1970, robiła to w wymowny sposób klasa robotnicza, na te sfery jednak nie wywierało to większego wpływu.

Potwierdzone przez III Zjazd zwycięstwo sił skrajnie konserwatywnych nie oznaczało bynajmniej przywrócenia jedności partii — przeciwnie, trwało i pogłębiało się wewnętrzne rozbieżności przybierające wyraźne znamiona rozkładu aparatu. Proces, który w okresie postalinowskim zachodził w większości partii socjalistycznego obozu, a który w Polsce wystąpił ze szczególną wyrazistością — wynikał ze zmniejszenia się autorytetu centralnych organów partii i z osłabienia ich gestii w stosunku do podległego aparatu. Nawzajem, wzrastała samodzielność ogniw terenowych i autorytet ich sekretarzy.

Już w okresie przedpaździernikowym wyłoniła się konieczność odejścia od nadmiernego centralizmu, rozwiniętego do absurdu w minionym okresie. Metoda ta utracająca wszelką inicjatywę od

dołu paraliżowała życie kraju, katastrofalnie i odbijała się na gospodarce: była jednym z głównych hamulców rozwoju, prowadziła do rozlicznych paradoksów i nonsensów. Postulat decentralizacji miał na celu usunięcie przynajmniej części tych przeszkód przez rozszerzenie uprawnień zarówno władz terenowych jak i kierownictw poszczególnych dziedzin, a przede wszystkim zakładów produkcyjnych — pozostawienie im decyzji w pomniejszych sprawach, zgodnie z wymogami sytuacji nie dającej się odgórnie przewidzieć. W ciągu całego czternastolecia decentralizacja była hasłem wielokrotnie podnoszonym, dokoła decentralizacji obracała się większość podejmowanych prób gospodarczej reformy.

Jednakże proces, który rzeczywiście zachodził, niewiele miał wspólnego z tak pojętą decentralizacją. W istocie było to przekazywanie części uprawnień niższym instancjom partyjnym, zwiększanie ich wpływu przy pozostawieniu tych samych centralistycznych metod. Nie kierownictwo instytucji czy dyrekcja zakładu pracy otrzymywała rozszerzenie uprawnień — lecz po prostu uzależniano je od niższego szczebla partyjnej władzy. Była to więc nie decentralizacja, lecz coś, co można by nazwać „parcelacją centralizmu”. Bezpośrednio wykonawcze i produkcyjne placówki niewiele korzystały na tej zmianie, a często nawet traciły — krępowane były decyzjami i ingerencjami mniej kompetentnymi, częściej podlegały lokalnym klikom i mafiom rozgrywającym własne, przeważnie personalne interesy.

Oba te zjawiska: spadek autorytetu centrali oraz wzrost samodzielności niższych instancji — owa parcelacja centralizmu — stwarzały niezwykle sprzyjający klimat dla powstawania w łonie aparatu rozmaitego rodzaju klik i koterii. Poruszone przez Gomułkę w czerwcu 1957 roku zjawisko „federacji dzielnic, w której każda dzielnica jest inna” — bynajmniej nie ustąpiło. W następnych latach przybrało cechy instytucjonalnej trwałości. W latach 60-tych potocznie mówiło się już nie tylko o federacji województw ale nawet powiatów.

Na tym tle wręcz zadziwiająco brzmiała ocena sytuacji wypowiedziana przez Gomułkę na IV Zjeździe partii w 1964 roku. Mówił on mianowicie o dokonującym się „dalszym umacnianiu demokracji”, co „znajduje wyraz w ugruntowaniu roli i znaczeniu Sejmu” (!), w „umacnianiu roli Rad Narodowych”, a „szeroki udział mas pracujących w sprawowaniu kontroli społecznej służy lepszemu funkcjonowaniu aparatu gospodarczego”. Prawdopodobnie nie było w tym zamierzonej ironii, jak również w słowach, iż „okres jaki minął od III Zjazdu PZPR charakteryzował się ścisłym przestrzeganiem prawa między organami władzy a obywatelami”.

Już same te sformułowania dają pojęcie, na jakim systemie informacji opierała się władza centralna, jak nieprzenikliwy kordon oddzielał ją od wszystkiego, co się działo w kraju i w samej partii. Od IV Zjazdu i przytoczonych ocen można śledzić, jak Gomułka wraz z resztą kierownictwa pogrążali się coraz głębiej w rzeczywistości, która istniała tylko w ich wyobraźni.

## ESKALACJA SYSTEMU POLICYJNEGO

Obserwacja ewolucji systemów socjalistycznych wskazuje na znaną prawidłowość — oto dynamika wewnętrznej struktury przejawia stałą tendencję do przekształcania dyktatury politycznej w dyktaturę policyjną. W pierwszej fazie utrwalania „dyktatury proletariatu” zasadniczą rolę odgrywają środki i metody politycznego działania, środki policyjne pełnią funkcję pomocniczą i podporządkowane są czynnikowi politycznemu. W dalszej fazie rozwoju czynnik policyjny zdobywa coraz szerszą samodzielność, jego metody zaczynają dominować nad politycznymi, które coraz wyraźniej sprowadzane są do roli dekoracyjnej osłony.

Empirycznym przykładem takiej właśnie ewolucji jest historia zwrotów i wstrząsów, jakie w swych dotychczasowych dziejach przeżyła większość krajów socjalistycznych. Wytlumaczenie tego zjawiska można znaleźć analizując mechanizmy form instytucjonalnych, stanowiących podstawę socjalistycznego systemu.

Następstwa tej samoczynnej dynamiki są niezwykle doniosłe — ona to powoduje, iż kraje socjalistyczne rozwijają się cyklicznymi „skokami” — kiedy system policyjny nadmiernie zaciśnie pętlę na życiu kraju, hamując jego gospodarczy i społeczny rozwój, kiedy ujawni się przepaść między tym, czego potrzeba i co można by — a tym, na co pozwalają ciasne ramy spetryfikowanego systemu — dochodzi do wstrząsu, część krępujących obręczy pęka, dokonują się jakieś przesunięcia, jakaś „reforma”, po czym cykl rozpoczyna się od nowa.

Oczywiście nikt tego samoczynnego mechanizmu nigdy nie analizował, przypuszczać można, że kierownicze czynniki nie bardzo są go świadome, jak nie są świadome nieuchronnych następstw wielu swoich poczynań — stąd też nikomu w systemie socjalis-

tycznym nie przyszło na myśl znalezienie metod przeciwdziałania temu automatyzmowi, tak zgubnemu dla rozwoju poszczególnych krajów i socjalizmu w ogóle.

Ewolucja w ciągu omawianego — gomułkowskiego — czter-nastolecia dostarcza tu przykładu wprost wzorcowego. Załamanie się systemu stalinowskiego doprowadziło do prawie całkowitego „demontażu” aparatu bezpieczeństwa — w Polsce, na skutek wielu specyficznych okoliczności, w stopniu o wiele większym, niż w któ-rymkolwiek z krajów socjalistycznych. Nowa epoka rozpoczynała się pod tym względem prawie od zera. Większość funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa została zwolniona (paru tylko za dokonane bestialstwa postawiono przed sądem), część z nich przeszła do różnych ogniw aparatu partyjnego i państwowego, do organizacji społecznych i tam wzmocniła wydatnie reakcyjny nurt zwrócony przeciwko jakiegokolwiek reformie. Nie dysponujemy żadnymi materiałami, które by ilustrowały proces odbudowy tego aparatu — możemy jedynie opierać się na zewnętrznych przejawach i skutkach — dlatego też ograniczymy się do charakterystyki jak najbardziej ramowej.

Obserwacja systemów socjalistycznych wskazuje, iż kośćcem zapewniającym jednolitość hierarchicznej struktury władzy, autorytet prerogatywy centralnego ośrodka władzy — tzn. demokratycznego centralizmu — w stopniu o wiele większym niż aparat partyjny jest właśnie aparat bezpieczeństwa. Aparat partyjny z natury rzeczy ma skłonność do decentralizacji (ściślej: do parcelacji centralizmu), wynika to z jego geograficznej lokalizacji, z jego związków z terenem, z naturalnej tendencji co swoistej autonomizacji grup sprawujących władzę nad określonym terenem i wiążących się z nim różnymi więzami, często przybierającymi charakter klik i mafii. W rękach Stalina aparat bezpieczeństwa stanowił więź całego partyjnego systemu i bicz nad nim nieustannie wiszący. Aparat bezpieczeństwa jako bardziej anonimowy, podległy bardziej scentralizowanej dyscyplinie, słabiej związany jest z terenem. Nie znaczy to oczywiście, że w sprzyjających warunkach i w nim nie zachodzą procesy decentralizacji, że jego poszczególne ogniwa nie mogą wiązać się z lokalnymi grupami i działać w ich interesie. To ostatnie zjawisko było bardzo charakterystyczne dla drugiej połowy lat 60-tych.

Pilność odbudowy aparatu bezpieczeństwa dla gomułkowskiego kierownictwa wynikała w dużej mierze z utraty kontroli nad własnym aparatem partyjnym. Wydawało się, że jak w poprzedniej epoce aparat policyjny stworzy mocny kościec, na którym oprze się władza i który dopomoże w zdyscyplinowaniu zarówno społeczeństwa jak i samego rządzącego aparatu. Ale główną, ma-

nifestacyjną przyczyną — a zarazem i metodą — odbudowy aparatu bezpieczeństwa było zgodnie z wypróbowanymi już wzorcami stworzenie atmosfery zagrożenia kraju i socjalizmu. Alarm o niebezpieczeństwie rewizjonizmu trwał od pierwszych dni października. Wbrew całej antyrewizjonistycznej frazeologii nie szło tu o niebezpieczeństwo tkwiące w poszczególnych głosach publicystów czy dyskutantów — szło o rewizjonizm tkwiący w uchwałach VIII Plenum, w programie ogłoszonym przez Gomułkę. Wersetami z „rewizjonistycznych” artykułów wymachiwano robiąc wokół nich „nieokiełznaną wrzawę”, aby wyrzucić nacisk na Gomułkę, pokazać mu do czego prowadzi jego październikowy program.

Siły alarmujące o zagrożeniu socjalizmu posłużyły się sformułowaniem, które przeszło do historii i wzbogaciło arsenał bojowych środków konserwatywnej reakcji: oto wszyscy, którzy podtrzymują postulaty VIII Plenum — demokracji, zwiększenia wpływu mas pracujących, ograniczenia zakresu działania organów bezpieczeństwa — traktują to jako szczebel do „drugiego etapu”, którym ma być przywrócenie kapitalizmu. Pierwszym krokiem ku temu ma być pozbawienie partii jej kierowniczej roli — cóż innego może się kryć pod hasłem demokracji, jeśli nie żądanie demokracji „integralnej”, obalenie dyktatury proletariatu i odbudowa kapitalizmu! Znaną w politycznych walkach metodą, ci, którzy dążyli do jak najszybszego zakończenia październikowego „nieporozumienia” i powrotu do „właściwego etapu” rozwoju — zasłaniaли to oskarżaniem wszystkich, którzy program VIII Plenum przyjęli za dobrą monetę, o kontrrewolucję, o dążenie do obalenia socjalizmu.

Dla Gomułki, który chciał bez dezawuowania samego siebie wycofać się z październikowych postulatów, hasło „drugiego etapu” było bardzo wygodne. Trudno orzec, w jakim stopniu — przy ówczesnym niskim poziomie rozeznania w istotnej sytuacji kraju — był on rzeczywiście przekonany o groźbie ze strony tendencji rewizjonistycznych. Na pewno już wówczas działał — udoskonalany potem stale — system informowania kierownictwa. Na biurko przywódcy jego informatorzy dostarczali codzienną porcję zakreślonych zdań w artykułach i wypowiedziach, poufnych donosów, — każda taka porcja podawana była z odpowiednim komentarzem. Wszystko to mogło stwarzać atmosferę, że gmach, w którym urzęduje, jest coraz silniej podmywany przez rewizjonistyczną falę.

Nie mamy tu zamiaru wybielania czegokolwiek. Wystarczy jednak dziś z kilkunastoletniej perspektywy przejrzyć konfiskowane wówczas artykuły czy ich fragmenty, przyjrzyć się wypowiedziom, które dla gorliwych aparatczyków stanowiły groźne symptomy

kontrrewolucji, aby zrozumieć, że wypowiedzi te służyły za pretekst dla alarmów, dla podsycania atmosfery zagrożenia.

W takiej politycznej atmosferze rozbudowa aparatu bezpieczeństwa jest jednocześnie uruchomieniem mechanizmów jego automatycznego rozrostu, rozszerzania zakresu ingerencji we wszystkie dziedziny życia i stopniowego przekształcania go w główny czynnik politycznego życia kraju. Oznacza to proces przechodzenia do dyktatury policyjnej.

Autor pragnie się zastrzec, że nie jest intencją tego studium walka z aparatem bezpieczeństwa. Nie może nie uznać, iż w obecnej fazie społecznego rozwoju — we wszystkich ustrojach — aparat ten jest może i smutną, ale koniecznością. Idzie o ukazanie jego wewnętrznej instytucjonalnej dynamiki w dużej mierze niezależnej nawet od subiektywnej woli jego kierowników. Zrozumienie tej dynamiki i jej groźnych dla społecznego rozwoju następstw, musi być pierwszym krokiem dla jej zahamowania, stworzenia mu instytucjonalnych i strukturalnych barier. Idzie o zrozumienie, że każdy system policyjny, niezależnie od motywów, jakie będą leżały u jego podstaw, będzie zawsze reliktem wcześniejszych faz rozwoju, nie dającym się pogodzić z potrzebami współczesnego intensywnego rozwoju w dobie rewolucji naukowo-technicznej. Jeśli tego nie zrozumiemy i nie znajdziemy sposobu dla właściwego „ustawienia” i podporządkowania tego aparatu, będzie on, jak dotychczas, czynnikiem anarchizowania społeczeństwa, demoralizacji i rozkładu aparatu władzy. Całe pół czy ćwierćwiecze socjalistycznych doświadczeń wskazuje, że główną tragedią socjalizmu stała się hydra rozrastającego się systemu policyjnego, któremu jak mitologicznemu potworowi — natychmiast odrastają obcinane głowy.

Niemożliwa jest, rzecz prosta, szczegółowa analiza ewolucji, jakiej podlegały organa bezpieczeństwa, ich rozrostu, metod pracy ani sposobów przenikania do różnych dziedzin życia — materiały do takiego studium są głęboko zakonspirowane. Nie może także rzucić na to światła badanie wzrostu budżetu tego resortu, ponieważ, po pierwsze, nie mamy pewności, że nie rozporządza on kwotami nigdzie nie ujawnionymi, po drugie — znaczna część jego pracy jest opłacana (pośrednio) przez inne resorty i po trzecie dlatego, że rozporządza on różnego rodzaju przywilejami nie wyrażającymi się w pieniądzu a z nadwyżką je zastępującymi.

W sumarycznych uwagach pragniemy wskazać następujące ważniejsze kierunki eskalacji systemu policyjnego: 1) „upolitycznienie” metod pracy organów bezpieczeństwa, 2) rozrost sieci agenturalnej, 3) przenikanie do partii, 4) opanowanie sieci informacji wewnętrznej, 5) opanowanie polityki personalnej, 6) upo-

licyjnieniu wymiaru sprawiedliwości i organów kontroli, 7) sojusz z reakcyjnymi siłami społecznymi, 8) pucz marcowy jako wyraz zwycięstwa systemu policyjnego.

### 1. Upolitycznienie metod

Konieczność usunięcia po XX Zjeździe jaskrawych form masowego terroru zmusiła organy bezpieczeństwa do znalezienia innych zastępczych metod działania. Poszukiwania te poszły w kierunku upolitycznienia — o ile w okresie stalinowskim ich miecz wisiał nad całym społeczeństwem, również nad aparatem władzy — obecnie po wytrąceniu z ręki tego miecza organy bezpieczeństwa musiały wejść głęboko w życie polityczne i oddziaływać od środka. Cała ewolucja form działania charakteryzowana w następnych punktach, miała ten właśnie kierunek — przekształcanie się aparatu bezpieczeństwa w czynnik bezpośrednio polityczny, jego przenikanie i zrastanie się z aparatem władzy.

Ewolucję metod można było obserwować na typowo policyjnym odcinku — tropienia i wykrywania wrogiej działalności. O ile przedtem zeznania wymuszano terrorem i torturami, obecnie stosowano metody o wiele bardziej subtelne. Aparat ten nie zrezygnował, rzecz prosta, z gromadzenia pożądanych dla swoich celów zeznań i świadectw, — ale uzyskiwał je przez stosowanie różnego rodzaju nacisków, w których naciski ekonomiczne odgrywały chyba dominującą rolę. Obywatel, który nie chciał zadość uczynić żądaniom tych organów, mógł być pewien, że jeśli nawet nie straci pracy, nie może liczyć na awanse, nagrody, ewentualne wyjazdy itd. — i nawzajem, uległość opłacała się. Organa bezpieczeństwa inspirowały procesy przeciwko określonym ludziom i instytucjom, stawiały czynniki polityczne wobec faktów dokonanych, narzucały im kierunek działania. Można wskazać w latach 60-tych szereg głośnych procesów, opartych na takiej z góry założonej politycznej kalkulacji. Potwierdzeniem całkowitej fikcyjności oskarżeń i fałszywości całej dowodowej konstrukcji bywały fakty, że nawet mimo zaangażowania najwyższych autorytetów władzy i służności organów sprawiedliwości, te ostatnie nie mogły znaleźć dowodów winy (jak np. w głośnej sprawie PWN i jego dyrektora).

Wyrazem upolitycznienia metod było opanowanie środków masowego przekazu i urabianie przy ich pomocy opinii społecznej, inspirowanie przy ich pomocy szerokich politycznych kampanii. Ta właśnie forma w miarę zbliżania się do wydarzeń marcowych wyraźnie się nasilała. Ważną również cechą zmiany stylu pracy była znacznie głębsza penetracja społeczeństwa, masowych organi-



zacji i instytucji, niż to było możliwe dawniej. Podkreślić trzeba, że w okresie stalinowskim między organami bezpieczeństwa a społeczeństwem istniała głęboka przepaść obcości czy wręcz wrogości. Październik i powszechne polityczne i moralne poparcie nowej władzy, pociągnęło za sobą pewne złagodzenie stosunku opinii do tego aparatu. To właśnie ułatwiło głębszą penetrację i znacznie łatwiejszy wpływ na kształtowanie opinii publicznej zarówno przez opanowywane środki masowego przekazu, jak również w bardziej zakonspirowany sposób — przez „szeptaną” propagandę, rozpuszczanie wiadomości, pogłosek i anegdot o sprawach i ludziach — kompromitujących bądź gloryfikujących — określone postacie politycznego życia. W okresie przed- i pomarcowym — tego rodzaju szeptana propaganda stała się dominującą treścią politycznego życia kraju. Z organami bezpieczeństwa solidarnie współdziałały ich odpowiedniki wojskowe oraz niektóre masowe organizacje społeczne, o czym niżej.

## 2. Rozrost sieci agenturalnej

Podkreślone wyżej okoliczności ułatwiły organom bezpieczeństwa dostęp do różnych środowisk społecznych i werbowanie w nich współpracowników na najrozmaitszych zasadach: od „amatorów” liczących w zamian na poparcie w awansie, w zdobyciu mieszkania, wyjeździe za granicę, poprzez różne formy doraźnej pomocy aż do zwykłych opłacanych stale agentów. O rozmiarach tego rozrostu można wnioskować tylko pośrednio. Według posiadanych informacji w jednym z opracowań złożonych Biuru Politycznemu w początku 1963 roku podano, iż ilość konfidentów już wówczas dwukrotnie przekroczyła stan z okresu stalinowskiego. Wiadomo również, że szczególnie intensywnie nasycono agentami niektóre środowiska, jak np. studenckie. Wykorzystywano każdą trudność, w jaką nieraz popadali młodzi ludzie, aby wymuszać na nich zgodę na współpracę.

## 3. Przenikanie do partii.

Opisany w poprzednim rozdziale proces swoistej „decentralizacji” aparatu partyjnego i tworzenie się lokalnych grup i klik ułatwiły organom bezpieczeństwa penetrację w głąb organizacji partyjnych. Wiązać się z lokalnymi grupami, podtrzymując określone tendencje i popierając lub zwalczając określonych ludzi, przejawiały znacznie większą dynamikę i reprezentowały o wiele bardziej

określone cele polityczne — niż aparat partyjny. Ujawniło się to w sposób jaskrawy w okresie marcowym, kiedy wyraźnie nastąpiło zatarcie granicy między tymi aparatami, przy czym dominowały wpływy aparatu bezpieczeństwa. Pod jego kierownictwem dokonywały się wszystkie posunięcia i personalne ruchy pomarcowe, jego wpływy decydowały przy wyborze delegatów na V Zjazd partii i kształtowaniu klimatu tego Zjazdu.

#### 4. Opanowanie sieci informacyjnej

Jeśli w okresie stalinowskim organy bezpieczeństwa gromadziły teczki z dowodami także przeciwko najwyższym osobom aktualnego kierownictwa, aby w ten sposób trzymać je w rękę — obecnie zastosowano metodę skutecznego narzucania im swojej linii politycznej, przede wszystkim przez odpowiednią organizację wewnętrznej sieci informacyjnej. Nie będziemy tu wnikać, czy sekretariaty wyższych dygnitarzy były opanowane przez organy bezpieczeństwa czy nie. Wystarczy nam stwierdzenie, iż wszystkie one — podobnie jak cała sieć informacji wewnętrznej — działały solidarnie, aby do wiadomości czynników decydujących przenikały tylko określone wyselekcjonowane wiadomości, w odpowiednim zestawieniu i z odpowiednim komentarzem. Stworzono rzeczywiście precyzyjny system wypaczania i fałszowania obrazu sytuacji w kraju i narzucania swojej oceny zjawisk i ludzi, który wprost prowadził do politycznego ogłupiania kierownictwa, do utraty przez niego wszelkiej więzi z rzeczywistością i do niemożności porozumienia się z kimkolwiek, kto reprezentował poglądy odbiegające od zawartych w poufnych teczkach. Wielokrotnie zdarzało się w czasie spotkań naukowców lub literatów z pierwszym sekretarzem, iż ten oświadczał: wiem, wszystko mam tu w teczkach. (Wręcz patologiczny charakter miała wiara w ten system informacji, którego tendencje były dostrzegalne nawet dla niewyrobionego politycznie obserwatora). Jeśli dodamy, że te same tendencje zapanowały w środkach masowego przekazu, prasie, radiu i zwłaszcza w telewizji — otrzymamy przybliżony obraz sytuacji, gdzie między tymi którzy robili politykę — a przynajmniej ponosili za nią odpowiedzialność — a społeczeństwem, między urzędowym a rzeczywistym obrazem sytuacji politycznej i gospodarczej kraju — ziała pogłębiająca się przepaść.

#### 5. Policyjne kryteria polityki personalnej

Zjawisko, na które chcemy zwrócić uwagę, jest jednym z najdonioślejszych nie tylko dla aktualnego stanu kraju, ale także

dla jego dalszej perspektywy. Idzie o politykę personalną w najszerszym znaczeniu — tzn. o powszechnie obowiązujące kryteria decydujące o doborze i selekcji kadr, wysuwaniu ludzi do wszelkich funkcji partyjnych państwowych i społecznych — decydujące o ich pozycji i awansie. Proces jaki zachodził w partii pod wpływem totalnej walki z „rewizjonizmem” prowadził do eliminowania, usuwania, a nawet niszczenia ludzi przejawiających skłonność do samodzielności myślenia, do inicjatywy, krytycznego widzenia zjawisk, czy choćby tylko do uczciwości. U uruchomieniu to *samo-czynny mechanizm negatywnej selekcji* — przy obsadzaniu stanowisk, awansach i wyróżnieniach preferowano ludzi, którzy dawali gwarancję całkowitej „dyspozycyjności” i biernego posłuszeństwa. Dawało to szerokie możliwości różnego rodzaju miernotom, a także dwulicowcom i karierowiczom. Trafiali się także ludzie zdolni i nawet subiektywnie uczciwi, którzy mogli awansować tylko dlatego, że taili swoje rzeczywiste poglądy, aby stworzyć sobie możliwości działania.

Wzrost wpływów organów bezpieczeństwa wniósł do tego trendu dalsze czynniki. Rozrastająca się sieć agenturalna opierała się w przeważającej mierze na elementach o niskim morale, często wręcz na ludziach ze społecznego marginesu — i ta właśnie armia działała bezpośrednio na styku ze społeczeństwem. Ci ludzie wykonywali poufne zlecenia, ich wysuwano i awansowano na różne stanowiska, łącznie z funkcjami „wychowawczymi” w organizacjach społecznych. We wszystkich dziedzinach, łącznie z oświatą i nauką, zasada negatywnego doboru (interpretowana jako „dobór ideologiczny”) wywierała katastrofalny wpływ na poziom kadry, na polityczny i moralny klimat.

Cały ten proces rozgrywał się na oczach społeczeństwa, które obserwując przesunięcia choćby w swoim bezpośrednim zasięgu, we własnym zakładzie, fabryce, biurze, instytucie — doskonale zdawało sobie sprawę, kto i dlaczego awansuje, zdobywa nagrody i pochwały. Nieuchronnym następstwem tego musiał być narastanie ostrego kryzysu zaufania do władzy, do jej kompetencji, uczciwości i dobrej woli podołania trudnościom, które piętrzyły się coraz groźniej.

## 6. Rozkład wymiaru sprawiedliwości i organów kontroli

Warunkiem rozwoju systemu policyjnego musi być podporządkowanie sobie aparatu wymiaru sprawiedliwości, usunięcie wszelkich resztek „niezawisłości” sądownictwa, tzn. takiego, które będąc nawet uległym narzędziem władzy, chce wykonywać swoje

zadania w oparciu o obowiązujący system prawny. W latach 60-tych gomułkowskie kierownictwo, idąc świadomie na rękę zwyciężającej tendencji, przejawiało dużą energię w podcinaniu podstaw wymiaru sprawiedliwości, chcąc podporządkować je „sobie” tzn. aparatowi bezpieczeństwa. Reorganizacja adwokatury ograniczała swobodę obrońców sądowych i zawieszała nad nimi groźbę usunięcia z zawodu. Adwokat, który naraził się władzom policyjnym czy prokuratorskim, mógł być pod dowolnym pretekstem pozbawiony prawa uprawiania zawodu. (Groźba ta bynajmniej nie była tylko teoretyczna!) Drugim skutecznym zabiegiem była zmiana ustawy o Sądzie Najwyższym. Jest szeroko przyjętym na świecie obyczajem, że najwyższy organ wymiaru sprawiedliwości i nadzoru nad praworządnością, składa się z ludzi mianowanych na te stanowiska dożywotnio. Intencją tego jest oczywista — idzie o danie tym ludziom minimum niezależności od doraźnych wpływów i nacisków — przede wszystkim ze strony zmieniających się politycznych koniunktur. Gomułkowskie kierownictwo, aby pozbawić członków Sądu Najwyższego nawet tych pozorów niezależności, postanowiło wprowadzić tylko 5-letnią kadencję mianowanych sędziów. Nad każdym z nich zawieszono bicz, iż jeśli nie będzie dostatecznie uległy — nie zostanie ponownie mianowany.

Intencją tej reformy było przekształcenie aparatu wymiaru sprawiedliwości w rodzaj przybudówki do aparatu policyjnego. Organy bezpieczeństwa wróciły do starych tradycji organizowania zeznań, do przekupywania ludzi różnego rodzaju korzyściami. Sądy zaś miały tylko nadawać tym oskarżeniom kształt prawniczy. Nacisk na sądy ze strony aparatu partyjnego i policyjnego przybierał nieraz brutalne formy i trzeba było mocnego charakteru, jaki często wykazywali sędziowie zwłaszcza niższych instancji, aby się tym naciskom oprzeć.

Cały ten proces rozkładu wymiaru sprawiedliwości pociągał za sobą katastrofalne skutki polityczno-społeczne. W masowym odczuciu Polska stała się krajem, w którym człowiek pokrzywdzony nie mógł znaleźć obrony ani opieki<sup>3</sup>.

---

3. Wymowną ilustracją może tu być następujący epizod. W pierwszych latach po październiku pewnemu dziennikarzowi w popularnej gazecie udało się swoimi reportażami obronić paru krzywdzonych i prześladowanych ludzi. Fama rozeszła się po kraju, a gazeta i ów dziennikarz urosli do rangi jedynej instytucji mogącej skutecznie interweniować w obronie przed różnego rodzaju klikami. Dziennikarz otrzymywał setki listów dziennie, przed redakcją ustawiały się długie kolejki petentów błagających o pomoc. W pierwszej fazie działalność ta spotykała się z życzliwą oceną centralnych władz partyjnych a dziennikarzowi udzielono nawet pochwały. Aliści w miarę nasilania się systemu policyjnego, interwencje tego typu godzące zawsze w jakichś kacyków, ujawniające jakieś kliki, stały się niewygodne — dziennikarza posta-

Narzędziem w rękach aparatu policyjnego stały się również organa kontroli państwowej z Najwyższą Izbą Kontroli na czele. Komórki kontrolne, jakie posiadają wszystkie resorty, nastawione zostały nie na strzeżenie zasad gospodarności, podnoszenia organizacyjnej sprawności i finansowej dyscypliny — lecz na śledzenie zgodności z gąszczem niespójnych, a często wręcz sprzecznych z elementarnymi wymogami gospodarności, przepisów. Mógł ktoś wykazać się znakomitymi osiągnięciami organizacyjnymi, przysporzyć państwu milionowych korzyści, jeśli popełnił jakieś czysto formalne uchybienie — liczyło się tylko to ostatnie. Stopniowo organa kontrolne coraz szerzej używane były do likwidacji ludzi niewygodnych — w tej dziedzinie niemałe usługi oddawał NIK, który specjalizował się w wykrywaniu „nadużyć” kierowników wyższych szczebli przeznaczonych przez władze polityczne do likwidacji.

Organem odgrywającym w tym procesie szczególną rolę była również cenzura, która w ciągu czternastu lat ulegała nieustannej eskalacji i której działalność zaciskania kleszczy na całym życiu umysłowym i kulturalnym była ściśle zharmonizowana z rozwojem systemu policyjnego. Głównym zadaniem cenzury było baczenie, aby ani w słowie czy piśmie nie pojawiało się nic, co by mogło rzucić światło na procesy zachodzące w kraju, na rzeczywistą sytuację polityczną i gospodarczą. Stopień zacieśniania cenzury zawsze będzie niezawodnym sprawdzianem stopnia, w jakim dany system opiera się na fałszach i mistyfikacji, których tajemnic musi strzec.

## *7. Sojusz z reakcyjnymi siłami społecznymi*

Pomostem, który pomógł temu aparatowi wyjść na szerokie społeczne wody, była aktywizacja w tym właśnie okresie ruchu kombatanckiego, zorganizowanego w tzw. Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Historia wielu krajów i w różnych epokach stwierdziła, iż zawsze w kilka czy kilkanaście lat po wojnie, pojawiają się na politycznej widowni związki byłych kombatanatów. Motywem ich aktywi-

nowiono po prostu zlikwidować. Organa wdrożyły „śledztwo”, gromadziły świadków, doprowadziły do procesu. Mimo brutalnego nacisku ze strony odpowiedniego wydziału KC, sąd nie znalazł podstaw do skazania oskarżonego. Wydział KC zamieścił mimo to ordynarną napaść na uniewinnionego a prokurator apelował. Wprawdzie i w drugiej instancji dziennikarza uniewinniono — ale skutek został osiągnięty, dziennikarz został zlikwidowany, a wraz z nim — acz brzmi to śmiesznie — ostatnia placówka w kraju, która próbowała walczyć o sprawiedliwość. Podkreślimy, że spraw tego typu było więcej i nie zawsze sądy potrafiły oprzeć się naciskom.

zacji jest zawsze próba przeciwstawienia się postępowym zmianom, zachodzącym w społeczeństwie bądź też poparcie zwyciężających reakcyjnych sił z nadzieją udziału we władzy. Z reguły ruchy kombatanckie nawiązują do dawnych „ideałów”, gloryfikują swoje kombatanckie tradycje, swój wkład w historię, który upoważnia je do decydowania o tym, czego bronili i o co walczyli płacąc własną krwią. Z reguły programy takie owiane są mniej czy więcej jaskrawym duchem nacjonalizmu ze wszystkimi jego osobliwościami (jak np. antysemityzm). Szczególną rolę ruchy kombatanckie odegrały po pierwszej wojnie światowej. Z nich w znacznej mierze wyrosło, wykształciło się i wydało owoce zjawisko faszyzmu, przede wszystkim faszyzm włoski i niemiecki hitleryzm. Podobna była geneza nurtów faszyzujących w innych krajach — a warto podkreślić, że z tego samego źródła wyrosła również polska „sanacja”.

W Polsce Ludowej szeregi byłych kombatanatów składały się z ludzi walczących w czasie II wojny i okupacji kraju w różnych politycznych obozach — zarówno w ruchu oporu jak i na różnych frontach świata. Dokonana rewolucja społeczna podzieliła byłych kombatanatów według ich politycznej orientacji w minionym okresie, a stosowana przez długi czas polityka stawiała znaczną większość uczestników walk w sytuacji ostrej politycznej dyskryminacji. Oczywiście, w pierwszym dziesięcioleciu naszej nowej historii, organizacja taka jak ZBOWiD mogłaby odegrać poważną dodatnią rolę w konsolidacji społeczeństwa, w jednoczeniu na płaszczyźnie socjalizmu ludzi, których polityczna postawa w okresie wojny w większym stopniu była wynikiem sytuacji, w jakiej się znaleźli — niż ich świadomego i swobodnego wyboru. Takiej roli w tym okresie ZBOWiD niestety, nie odegrał. Natomiast w dwadzieścia lat po wojnie ruch kombatancki mógł być już tylko mobilizacją sił społecznej konserwatywnej reakcji. W szczególnym naszym przypadku działo się to w momencie szerokiej ekspansji aparatu bezpieczeństwa w życiu kraju a nieprzypadkowa unia personalna tego aparatu z ruchem zbowidowskim przekształcała go po prostu w jego swoiste społeczne przedłużenie.

Zmiana taktyki ze strony ZBOWiDu ułatwiała mu podejście do znacznej części społeczeństwa. Przeważająca większość byłych uczestników walk, która od początku Polski Ludowej czuła się odepchnięta i dyskryminowana, została teraz przygarbiona, poczuła się potrzebna, że może odegrać jakąś rolę. Uznawano jej zasługi, przyznawano ordery i starano się o renty — opiekowano się wdowami po poległych — wszystko to stwarzało sprzyjający klimat dla „politycznej aktywizacji” weteranów.

Na widowni naszego politycznego życia pojawiła się siła o wy-

rażnym *quasi* ideologicznym zabarwieniu, która swoją aktywnością i ruchliwością a także giętkością w stosowaniu metod politycznej walki — daleko zdystansowała zdeintegrowany i broniący jedynie swoich pozycji aparat partyjny. Dokoła ruchu zbawidowskiego i jego przywódcy narosło wiele legend. Szczególnie źródła zagraniczne pragnąc coś zrozumieć z politycznego kłębowiska, jakie przedstawiała Polska od 1965 roku, upraszczały sobie obraz i stosując zachodnie kryteria widziały w tym ruchu siłę dążącą do zdobycia władzy. W istocie sprawa była o wiele bardziej złożona. Bujny rozkwit ruchu kombatanckiego i jego dość szeroki oddźwięk społeczny wynikał ze szczególnej politycznej sytuacji w kraju. Z jednej strony ekspansja aparatu bezpieczeństwa przybierająca formy ruchu politycznego — z drugiej, narastający kryzys zaufania do władzy, do rządzącej ekipy i pogłębiający się stan dezorganizacji i bezradności, oraz brak w społecznym odczuciu określonej perspektywy — tworzyły wśród znacznej części mas atmosferę sprzyjającą dążeniu do jakiejś zmiany. Charakterystyczną cechą ruchu zbawidowskiego, którego kościem organizacyjny i ideowy stanowił aparat bezpieczeństwa, była — przy dość określonym ideowym obliczu tego ruchu — nieokreśloność jego dążeń i programu. Stanowiło to poważną mobilizacyjną zaletę, pozwalało zmieścić się tam każdej ukrytej tendencji — od porachunków z lokalnymi antagonyzami aż do zmiany władzy i „zrobienia porządku” w kraju. Sprzyjał temu również wyraźny, acz ze zrozumiałych powodów dyskretnie manifestowany, nacjonalizm, który pełny wyraz mógł znaleźć tylko w najdogodniejszym kierunku — antysemityzmie.

W sumie — kombatancki ruch zbawidowski okazał się dobrym przewodnikiem przenoszącym w dół procesy wielkiej „rozbki” politycznej. Jako społeczna przybudówka, był dogodnym terenem wpływów poszczególnych ludzi, grup i klik — był gąbką, która chłonęła i przenosiła dalej różnego rodzaju poglądy, opinie, plotki — które nie miały role odegrały w przebiegu politycznych wydarzeń. Finałem tego lawinowo narastającego procesu były wydarzenia marcowe. Wydarzenia te były generalną próbą narzucenia politycznemu kierownictwu własnej linii, postawienia ludzi formalnie sprawujących władzę — wobec konieczności uznania zamachu, oddającego tym reakcyjnym siłom faktyczną władzę w kraju.

## REWOLUCJA OBSKURANTYZMU

Scharakteryzowane powyżej procesy musiały pociągać za sobą permanentny stan napięcia między władzą a tą grupą społeczną, która najdotkliwiej odczuwała zacieśniające się więzy — inteligencją twórczą, naukowcami, literatami, w ogóle ludźmi piszącymi i artystami. Po okresie intelektualnego ożywienia, powrót do zacieśniających się ram odczuwany był szczególnie dotkliwie. Walka z „rewizjonizmem” ogłoszona jako naczelne zadanie, nieuchronnie pociągała za sobą ogólny anty-inteligencki klimat we władzach, w całym aparacie partyjnym oraz próby przenoszenia tych nastrojów do mas.

Można by sądzić, że ogłoszenie prawie nazajutrz po październiku krucjaty przeciwko groźbie rewizjonizmu nie było bezpodstawne, że na fali zamętu i porachunków z przeszłością można było znaleźć poglądy i tendencje wykraczające poza ramy nienaruszalne dla socjalistycznego ustroju, mogące temu ustrojowi zagrozić. Analiza dokumentów z tamtej epoki — prasy, publicystyki, wypowiedzi dyskusyjnych, materiałów zatrzymywanych przez cenzurę — nie potwierdziłaby takiego przypuszczenia. Wszystkie te dokumenty nie wykraczają poza tezy sformułowane na VIII Plenum przez Gomułkę. Cała ideologiczna „opozycja” miała w istocie charakter defensywny obrony i domagania się przynajmniej częściowej realizacji programu październikowego. Jeszcze bardziej przekonującym dowodem, że w ogłoszonej krucjacie nie o rzeczywisty rewizjonizm chodziło jest fakt, że w późniejszych latach 60-tych, kiedy z objawów wywołanych październikowym ożywieniem nie zostało już śladu, kiedy aparat partyjny mocno już osiadł w siodle a organa bezpieczeństwa i wszelkie formy ideologicznej kontroli doprowadziły do zaniku objawów dyskusji, krytyki, myśli — alar-



my o rewizjonistycznym zagrożeniu nie tylko nie osłabły, ale przeciwnie, potęgowały się aż do ostatnich dni.

Mamy tu do czynienia z prawidłowością ujawnianą na przestrzeni całej historii, że wewnętrzny mechanizm dyktatury prowadzi zawsze do samoczynnej eskalacji, wymagającej warunków zagrożenia — jeśli nie ma zagrożenia rzeczywistego, trzeba je stworzyć. Prawidłowość ta wystąpiła w systemie socjalistycznym w majestacie „teorii zaostrzającej się walki klasowej”, udoskonaleniu uległa praktyka z tej teorii wynikająca. Zaostrzenie się walki, której wyrazem było niebezpieczeństwo rewizjonizmu — rozgrzeszało z góry wszelkie poczynania władzy, upoważniało do odrzucenia nawet tych rudymetów demokracji, które uznane są za podstawowe dla socjalistycznej praktyki.

Pierwsze konflikty powstały na froncie prasy. Prasa według jednego z oświadczeń Gomułki, spełniła pozytywne zadanie w okresie przygotowywania października, ujawniając i krytykując błędy i nadużycia minionego etapu. Po dokonanych zwrocie winna powrócić do ram, w jakich mieściła się dawniej — tzn. ograniczyć się do roli komentatora i popularyzatora działalności władz. Nowe kierownictwo z całą ostrością zabrało się do spacyfikowania prasy i poddania jej zaostrzanej z każdym miesiącem cenzurze. Sytuację w jakiej znalazła się prasa, charakteryzuje memoriał stowarzyszenia dziennikarzy z dn. 7 lipca 1957 roku skierowany do kierownictwa partii: „Represje ub. półrocza przeciwko dziennikarzom — czytamy tam — przybrały zastraszające rozmiary, ostrzejsze niż w jakimkolwiek porównywalnym okresie. Pomijając redukcje typu ekonomicznego ogółem około 30 dziennikarzy zostało usuniętych z odpowiedzialnych stanowisk... przy czym w ogromnej większości dotyczy to ludzi w pełni popierających linię partii”... Odpowiedź Gomułki na naradzie z dziennikarzami była jednoznaczna: atak dziennikarzy na Biuro Prasowe KC jest atakiem na Biuro Polityczne, na kierownictwo partii. Biuro prasowe i tak wykazywało zbyt dużą tolerancję — za mało dziennikarzy wyrzucano i będziemy wyrzucali nadal. W zakończeniu sformułował znany i wielokrotnie formułowany przez Stalina postulat, że „krytyka musi być twórcza”.

Rocznice października uświęciło zamknięcie tygodnika *Po prostu*, który odegrał wybitną rolę w przygotowaniu październikowego zwrotu. Było to pismo studenckie, które skupiło wokół siebie sporą grupę dobrych piór — naukowców i publicystów i reprezentowało najbardziej żywy nurt intelektualnego odrodzenia, analizowało społeczny sens stalinowskich wypaczeń i wskazywało drogę demokratyzacji, jako jedyne go środka mogącego zabezpieczyć kraj przed powtórzeniem się schorzeń systemu. Ta pozytywna droga

*Po prostu* została zresztą potwierdzona przez Gomułkę. Jednakże już u progu 1957 roku stało się oczywiste, że dla pisma o tym charakterze nie będzie miejsca w kształtującej się sytuacji. Pismo wegetowało, miało się w sprzeczności między chęcią utrzymania swego żywego, krytycznego, ingerującego w zjawiska charakteru a poparciem władzy, do zwycięstwa której się przyczyniło. Pogodzenie tych dwóch tendencji okazało się niemożliwe. Na *Po prostu* skupiła się cała nienawiść sił konserwatywnych — aż w rocznicę października, w 1957 roku postanowieniem władz zostało zamknięte. Sposób likwidacji wybrano możliwie najbardziej manifestacyjny, zrobiono z tego coś w rodzaju „próby sił”. Istotnie, wywołało to manifestacje studenckie i parodniowe wystąpienie młodzieży (przeważnie szkolnej) na ulicach Warszawy rozpędzane przy użyciu skutecznych środków — bardzo głośnych petard. Ten sposób uczczenia rocznicy października został dobrze zrozumiany — nie tyle jeszcze przez społeczeństwo, ile przez aparat, który znowu poczuł się u siebie.

Dalszy rozwój potoczył się już samoczynnie. Ogólny kierunek procesu obejmującego wszystkie dziedziny intelektualnego życia kraju szedł w kierunku systematycznego zacieśniania kręgu zagadnień dopuszczanych do publicznej dyskusji, zwężanie zakresu informacji w prasie, radiu, telewizji, stopniowe obsadzanie środków masowego przekazu ludźmi związanymi z konserwatywnym nurtem i policyjnie sprawdzonymi. W 1962 roku następuje likwidacja dwóch pism literacko-społecznych (*Przegląd Kulturalny* i *Nowa Kultura*) i powołanie na ich miejsce nowego, którego obsada gwarantowała posłuszeństwo wobec realizowanej linii.

Walka z rewizjonizmem miała przysłonić właściwy sens zachodzącego procesu — zwycięstwa i umacniania się na wszystkich pozycjach sił konserwatywnych i wstecznych. Tzw. ideologiczne plenum w lipcu 1963 roku było generalnym atakiem na wszystkie dziedziny umysłowego i artystycznego życia. Ostro zaatakowano socjologów i historyków, potępiono film (który *nota-bene* w tym właśnie okresie miał najciekawsze w swej socjalistycznej historii osiągnięcia). Ostry atak skierowany został na wydawnictwa za ich brak bojowości w walce z rewizjonizmem. Dyrektywa tego plenum rozciągała obowiązki cenzora na same wydawnictwa i ich kierowników.

Ze strony świata intelektualnego — sterroryzowanego i coraz bardziej zdeintegrowanego — pojawiały się rzadkie i nieśmiałe próby oporu. Jedną z takich prób był głośny „list 34”. Grupa intelektualistów i pisarzy, wśród których znalazły się najgłośniejsze nazwiska, podpisała list — nawet nie protest, a nieśmiałą petycję — do władz, sygnalizującą niebezpieczeństwa i trudności,

w jakich znalazła się kultura (np. brak papieru dla wydawnictw) i prosząca władze o przeciwdziałanie tym zjawiskom. Przyszłym historykom nie łatwo będzie zrozumieć dlaczego niewinny parozdaniowy apel do władz podpisany przez poważnych ludzi, wywołał wręcz wulkaniczny wybuch. Uruchomiono całą propagandową maszynę, rozpetano kampanię, w której użyto najcięższych dział — z zarzutami zdrady państwa włącznie. Wywierano presję zbiorowe i indywidualne, szkalowano poszczególnych sygnatariuszy listu, zmuszano ludzi do podejmowania i podpisywania potępiających uchwał, sięgano do zwyczajnych kłamstw (patrz „wymianę” listów między Marią Dąbrowską a sekretariatem KC) itd., itd.

Oczywiście zagadki nie rozwiąże nam niewiele mówiący tekst podpisanego listu. Ważny był sam fakt, że jacyś obywatele ośmielili się *zbiorowo* wystąpić do władz (czyli przeciw władzom!). Było to niebezpiecznym symptomem, który trzeba było zmiażdżyć w zarodku i w taki sposób, aby nikomu na przyszłość podobna myśl do głowy nie przyszła. Skrętnie wykorzystano tę okazję dla sterroryzowania i wewnętrznego rozbitcia grup intelektualistów.

VI Zjazd partii w czerwcu 1964 roku był jawną manifestacją antyinteligentkich nastrojów panujących i świadomie podsycanych w całej partii i w całym państwowym aparacie. Symboliczną wymowę miał fakt, że jedna z terenowych szeregowych działaczek za brutalną (*nota-bene* dość głupawą) napaść na inteligencję została natychmiast awansowana na członka KC.

Przykładowe znaczenie dla zachodzących procesów miał rozpoczęty w 1964 roku atak na Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Wydawnictwo to po roku 1956 rozwinęło się do roli czołowego wydawnictwa w kraju, nawiązało szeroką współpracę z ruchem wydawniczym w Europie, wykazywało się poważnymi osiągnięciami w popularyzowaniu polskiego dorobku naukowego za granicą i w przyswajaniu naszej nauce obcej myśli także filozoficznej i społecznej. Zrozumiałe, że w klimacie lat 60-tych dla takiego wydawnictwa miejsca nie było. Rozpoczęto na nie atak na wielu frontach równocześnie. Dyrektorowi tego wydawnictwa (jednemu z najlepszych znawców zagadnień wydawniczych) zarzucono wszystko — od zdrady państwa, poprzez szerzenie burżuazyjnej ideologii, rewizjonizm, do nadużyć finansowych i „syjonistycznych knowań” włącznie. Proces, w który osobiście angażowały się najwyższe osoby w państwie, toczył się przez wiele lat, stanowił pożywkę dla masowych kampanii, przygotowujących społeczne tło dla wydarzeń marcowych. Szczególną rolę odegrały prowadzone przez koła kombatanckie ataki na Encyklopedię PWN. W ciągu tego czasu parokrotnie zmieniano akt oskarżenia, więziono i zwal-

niano oskarżonego — aby w roku 1970 okazało się, że paroletni trud organów zbierających „dowody” poszedł na marne i sprawę z braku podstaw trzeba umorzyć. Ale i tu główny cel sił reakcyjnych został osiągnięty — dyrektor zlikwidowany a wydawnictwo sprowadzone do „właściwej” roli z przewagą druku skryptów dla studentów i czarnosecinnych „polityczno-wychowawczych” broszur.

Losy głównego wydawnictwa naukowego dość wiernie odzwierciedlają drogę, jaką przebywała w tym czasie nauka polska. Ewolucja instytucji naukowych i szkół wyższych w ciągu czterech nastoletnia konsekwentnie szła w kierunku podporządkowania ich czynnikom administracyjnym, które coraz wyraźniej utożsamiały się z policyjnymi. Od 1965 do 1970 roku parokrotnie zmieniano i nowelizowano ustawy i przepisy o szkołach wyższych i Polskiej Akademii Nauk, za każdym razem rozszerzając uprawnienia władz administracyjnych szczególnie w zakresie obsadzania i usuwania ze stanowisk oraz zmniejszania roli czynnika samorządowego, pozbawienia wpływu pracowników naukowych na życie szkół wyższych i instytutów. Pomarcowa ustawa z 1968 roku zamykała ten proces likwidując praktycznie ostatnie ślady samorządności i wydając szkoły i instytuty naukowe na całkowitą samowolę władz, a w praktyce wszelakiego rodzaju na wespół zakonspirowanych lokalnych klik i mafii.

Polityka ta — trzeba podkreślić — bynajmniej nie była wywołana potrzebą złamania jakiegoś oporu świata naukowego w stosunku do zamierzeń władz. Takiego oporu po prostu nie było, środowisko naukowe było dostatecznie sterroryzowane i uległe. Mimo to ze strony władz partyjnych manifestowano wobec niego nieufność, traktowano je jako ideologicznie obce i wrogie. Zadaniem jakie sobie postawiono było przy pomocy nowych ustaw wprowadzenie do kierowniczych organów placówek naukowych „swoich” ludzi odpowiadających policyjnym kryteriom „pewności”. Najwymowniejszym votum nieufności, jaką władze Polski Ludowej zamantestowały wobec całego świata nauki, była ustawa z 1967 roku uprawniająca władze do mianowania docentów bez habilitacji. Miało to wieloraką wymowę: że szczeble normalnej kariery naukowej ustawione są tak, aby nie przepuszczać pożądanym dla reżymu ludzi, że ważniejsze są kwalifikacje uznawane przez władze, niż zdobywane poprzez stopnie naukowe, że istnieje zasadnicza sprzeczność między celem, do którego dąży władza a tymi, które realizują placówki naukowe. Można to wreszcie tłumaczyć jako zwyczajny policzek wymierzony nauce i naukowcom polskim. Przepis o mianowaniu docentów miał być wyłomem w murze otaczającym wrogą twierdzą, czy też koniem trojańskim, którego

załoga ma tę twierdzę opanować. Wprowadzenie tego przepisu w 1967 roku mogłoby wskazywać na przemyślane, długofalowe działanie, ponieważ istotnie po wydarzeniach marcowych ci ludzie wprowadzeni do nauki bocznym wejściem odegrali ważną rolę w opanowywaniu szkół i placówek naukowych.

Charakteryzowane tu zjawiska były częścią ogólnego procesu uwstecznienia, jakiemu podlegał kraj. Nauka coraz silniej krępowana biurokratycznymi przepisami i kierowana z reguły przez czynniki mało kompetentne popadała w stan dezorganizacji i marazmu, coraz większą część pracy naukowców pochłaniało opracowywanie planów i sprawozdań. W dziedzinach technicznych kurczyły się — nigdy zbyt wielkie — możliwości wpływu nauki na produkcję. Widoczny był zastój w rozwoju szkolnictwa wyższego. Pod względem ilości studentów w stosunku do liczby mieszkańców, Polska z wysokiego miejsca w 1955 roku spadła w dziesięć lat później na jedno z ostatnich miejsc w Europie. Według obliczeń jednego z profesorów stan 10 % fachowców z wyższym wykształceniem wśród ogółu zatrudnionych — co Związek Sowiecki osiągnął w 1964 roku — Polska przy swoim tempie rozwoju szkolnictwa mogłaby osiągnąć dopiero pod koniec stulecia. Opracowywane przez Komisję Planowania zapotrzebowanie na kwalifikowaną kadrę wyraźnie nastawione było na tradycyjną, zacoфанą gospodarkę.

Wysoce niepokojące czy wręcz groźne dla przyszłości kraju były kryteria stosowane przy doborze młodej kadry naukowej. Szczególnie od marca 1968 roku z cyniczną jawnością zaczęto przy powoływaniu asystentów preferować ludzi dobrze notowanych przez odpowiednie organa. Zdolni i obiecujący absolwenci, jeśli tylko odznaczeni się skłonnością do samodzielnego myślenia musieli ustępować miejsca polecanym przez zakulisowe czynniki miernotom. Rolę profesorów przy doborze kadry naukowej ograniczono niemal do zera. Jeśli uprzytomnić sobie, że dzisiejsi asystenci to za 10-15 lat nasza kadra profesorska, muszą nasunąć się niewesołe prognozy dla przyszłego stanu nauki polskiej.

## KOMENTARZ DO WYDARZEŃ MARCOWYCH

Wszystkie scharakteryzowane powyżej procesy jak wzbierające potoki zlewały się w jedno łożysko prowadząc nieuchronnie do powodzi, do wylania się ze starego koryta, w którym spiętrzone wody pomieścić się już nie mogły.

Istnieje w ewolucji systemów socjalistycznych prawidłowość, którą można by nazwać żelaznym prawem rozwoju dyktatury — każda władza autorytatywna startująca jako dyktatura polityczna, przekształca się stopniowo w dyktaturę typu policyjnego. Czynniki policyjne odgrywający w pierwszej fazie rolę pomocniczą i podporządkowaną władzy politycznej i jej kryteriom — nieuchronnie zdobywa przewagę, narzuca władzy politycznej własne kryteria ocen i własne metody, podporządkowuje sobie czynniki polityczne sprowadzając je do roli dekoracyjnego parawanu.

We wszystkich jednak znanych przypadkach okazywało się, że proces ten nie może w pełni dokonać się w drodze ewolucji. Eskalacja metod policyjnych natrafia na pewien próg, którego nie można przejść w sposób „pokojowy”, trzeba dokonać jakiegoś wstrząsu, jakiejś „rewolucji”. Na ów próg składa się wiele czynników, które są pozostałościami poprzednich faz, są tu i resztki systemu prawnego ocalałe z pogromu, są zakorzenione głęboko zwyczajnie krępujące swobodę radykalniejszych posunięć (jak np. masowe rugi ze stanowisk prawnie chronionych). Poza przypadkiem Stalina, który w swej jednoosobowej dyktaturze skupił obydwie te czynniki — polityczny i policyjny — we wszystkich innych przypadkach władza polityczna wobec zachodzącej ewolucji znajdowała się w sytuacji wybitnie dwuznacznej. Z jednej strony akceptowała i posługiwała się systemem policyjnym i sprzyjała lub co najmniej godziła się z jego eskalacją. Z drugiej jednak nie mogła

nie odczuwać zawężania się swej swobody, widziała, że popada w coraz większą zależność i skrępowanie. W przeblyskach świadomości odczuwała swą sytuację ucznia czarnoksiężnika bezradnego wobec uruchomionych przez siebie żywiołów.

Aby to niezdecydowanie, czy nawet próby oporu pokonać, trzeba władzę polityczną postawić w sytuacji przymusowej — postawić ją wobec groźby, obrony przed którą może szukać tylko w siłach policyjnych. Trzeba ją przestraszyć widmem spisku, zamachu, kontrrewolucji.

W polskim przypadku doszedł czynnik niemało ważny: opisana powyżej penetracja organów bezpieczeństwa w życie kraju, ich oparcie się na dość masowej organizacji społecznej oraz szerokie ideologiczne przygotowanie, którego jądrem była propaganda „antysyjonistyczna” odwołująca się do całego kompleksu reminiscencji — pozwoliły nadać tym posunięciom pozory masowego społecznego ruchu. Nie była to już zatem czysto sztabowa rozgrywka aparatu policyjnego z politycznym czyli próba „rewolucji pałacowej” — uruchomiono tu głębokie społeczne rezerwy, stworzono wszystkie pozory żywiołowego, masowego odruchu.

Nie jest zamierzeniem tej pracy analiza przebiegu i mechanizmów wydarzeń marcowych (autor odsyła czytelnika do swoich wcześniejszych prac). Tu wypada tylko wskazać na niektóre osobliwości tych wydarzeń.

Nasylenie zarówno całego aparatu partyjnego i państwowego, jak również wielu dziedzin, instytucji, zakładów, środowisk — ludźmi wykonującymi zlecenie organów bezpieczeństwa, bądź też działającymi bez instrukcji w pożądanym przez nie kierunku, było tak silne, że niesposób odróżnić, gdzie kończyły się jakieś samoczynne, żywiołowe poczynania jednostek czy grup, a zaczynały działać elementy przez nie inspirowane. Rozróżnienie to jest tym trudniejsze, że ludzie aparatu bezpieczeństwa posługiwali się niezwykle zróżnicowanymi metodami i przywdziewali najrozmaitsze maski. Pewne jest, iż metoda prowokacji od wznoszenia okrzyków aż do organizowania grup i demonstracji była tu dość szeroko stosowana.

Cechą wydarzeń marcowych zasługującą na podkreślenie, było staranne przygotowanie głównego uderzenia po „zwycięstwie” na ulicy — szturm na wszystkie pozycje, w których chroniły się resztki „zgniętego liberalizmu”, które były wylęgarniami „rewizjonizmu” — przede wszystkim na szkoły wyższe, placówki naukowe oraz inne skupiska inteligencji. Rozgromienie tych placówek przez elementy czarnosecinne osłonięte było (wypróbowaną już wielokrotnie metodą) parawanem walki ze „syjonistami”. Uderzała żelazna konsekwencja w tej czystce — usuwano wszystkich, Żydów

i nie Żydów, wszystkich kogo podejrzewano o brak sympatii do czarnoseciny reakcji, bez względu na to jak niezbędnymi i nieraz niezastąpionymi byłiby specjalistami nawet w tak odległych od ideologii dziedzinach jak mechanika czy chirurgia. Z niezwykłą starannością przygotowano spisy „syjonistów” zatrudnionych w poszczególnych instytucjach, zawierające nieraz życiorysy, wykazujące dużą inwencję sporządzających.

Dalszą osobliwością, którą należy podkreślić, była sytuacja w jakiej znalazło się polityczne kierownictwo. W toku zajęć i w okresie, jaki po nich nastąpił, czuło się ono jak sztab pozbawiony armii — jego siła: aparat partyjny przeszedł w swej większości na stronę sojusznika, reszta zaś była w stanie dezorientacji i wyczekiwania. Nigdy dotąd w dziejach państw socjalistycznych główny organ władzy nie został w takim stopniu pozbawiony wpływu i autorytetu, a autorytet i egzekutywa przywódcy partii nie przekraczała progę jego gabinetu. Zwycięstwo sił marcowych nie mogło się, rzecz prosta, wyrazić zmianą kierownictwa — na to nie pozwalały ani wewnętrzne ani zewnętrzne warunki. Trwał stan: u dołu — wykorzystywanie zwycięstwa, dalszego zdobywania i oczyszczania terenu — u góry stan inercyjnej równowagi, podziemnego mocowania się i wyczekiwania na okazję.

Rozstrzygnięcia nie mógł również przynieść Zjazd. Wprawdzie przygotowywany był przez siły marcowe, które zapewniły sobie zdecydowaną większość — ale nie był to wystarczający warunek dla dokonania przewrotu u góry. Sytuacja polityczna była dość paradoksalna: o ile gomułkowski trzon kierownictwa był wodzem bez armii — o zwycięskich siłach można powiedzieć, że były armią bez wodza. To znaczy miały wielu pułkowników i obfitą kadre subalternów ale jedyny domniemany wódz był pozycją ze wszech miar niewygodną, mówiąc językiem sportowym — stał na spalonych pozycjach.

Z tego stanowiska, podtrzymywanego inercją układu, przywódca partii usiłował opanować sytuację, odzyskać część utraconego terenu, ocalić trochę ze swojego autorytetu. Udało mu się przez narzucenie nadzwyczajnych rygorów opanować salę zjazdową, zapobiec demonstracjom i utrzymać niezmienny w zasadzie skład kierownictwa. Za główny polityczny sukces osiągnięty na Zjeździe można uważać stworzenie wrażenia akceptacji istniejącego układu sił, wrażenia podporządkowania się kierownictwu.

Były to jednak zwycięstwa pozorne. Procesy wewnętrzne przekroczywszy punkt krytyczny rozwijały się z przyspieszoną szybkością — rozkład w aparacie władzy, dezorganizacja życia gospodarczego i społecznego, zniecierpliwienie mas, które utraciły wiarę, że kierownictwo potrafi wyprowadzić kraj z pogłębiającej się



depresji. Wszystko to wskazywało, iż kraj zbliża się do jakiegoś kryzysu, o którym wiadomo, że jest nieunikniony — nie wiadomo tylko kiedy i gdzie wybuchnie i jaką przybierze postać. A główny protagonista tego dramatu coraz bardziej oderwany od ziemi, zagrożony w fikcjach niewiele mających wspólnego z rzeczywistością — nie był zdolny do zrozumienia ani sytuacji kraju ani swojej własnej — a tym samym do jakiegoś manewru, który mógłby chociaż odwlec ostateczną klęskę. Przeciwnie — posunięcia ostatniego roku robiły wrażenie, że dokonuje ich człowiek siedzący w swoim gabinecie przy szachownicy, dla którego nie istnieje ani rzeczywista sytuacja kraju, ani takie problemy: jak żyją, za ile żyją, co myślą i co odczuwają milionowe masy ludzi pracy. Ostatnie gospodarcze reformy były jakby umyślnym zepchnięciem leżącego na stromiźnie kamienia.

Jeśli wydarzenia marcowe nazwano Waterloo Gomułki — grudzień był już tylko popełnieniem harakiri. Lawina strącona sławnym przemówieniem o „piątej kolumnie” w czerwcu 1967 roku przetoczyła się niszczącą nawałą przez kraj, aby w końcu zmieść również swego sprawcę.

## PRODUKTY ROZKŁADU

Obserwatorów wydarzeń 1968 roku musiało uderzyć pojawienie się na politycznej widowni czegoś, co można by nazwać „nową siłą”. Wyłynęła na powierzchnię falanga ludzi średniego pokolenia, którzy w swoje ręce wzięli ideowe przewodnictwo w wydarzeniach marcowych i w wewnętrznych przeobrażeniach jakie dokonywały się w następnym okresie. Ludzie spod tych znaków stanowili grupy szturmowe zdobywające poszczególne placówki — przede wszystkim naukowe, uczelnie wyższe, a również środki masowego przekazu (telewizja, radio), organizowali tam swoje junty, które obejmowały dyktatorską władzę i przeprowadzały energiczne (ideologiczno-rasistowskie) czystki.

Z tego samego środowiska wyłoniła się spora grupa bojowych pisarzy, publicystów i rozmaitych pseudo-naukowców, którzy w ciągu następnych miesięcy zalewali czasopisma, prasę codzienną, wszystkie środki upowszechnienia setkami wystąpień, artykułów i rozpraw a nawet „naukowych” dzieł, głoszących marcową ideologię. Przedziwna była to mieszanina hasel czerpanych z najrozmaitszych źródeł: od zwyczajnego antysemityzmu, nawiązującego do przedwojennego ONR-u, poprzez ideologię kombatancko-partyzancką, aż do elementów swoistego społecznego „radykalizmu”, w którym wyraźnie dźwięczały echa maoistowskiej „rewolucji kulturalnej”. Podobne pochodzenie zdradzały tendencje do pełnego egalitaryzmu, zniesienia „prywatnej inicjatywy” itp.

Oczywiście za kulisami działali reżyserzy, inspicjenci i sufletry — na scenie ci, którzy wygłaszali podpowiadane hasła, wymachiwali sztandarem „ideologii”. Zza kulis dostarczano im ideowej broni, przy pomocy której denuncjowano wszystko, cokolwiek w naszym życiu kulturalnym, w naszej nauce odbiegało od

obskuranckich, czarnosecinnych tendencji. Dla nadania całemu ruchowi bardziej strawnego dla mas posmaku — głoszono, iż celem marcowych wydarzeń była „kontynuacja października”, który swego dzieła nie dokończył.

Oczywiście ruch ten był wielostopniowy. „Ideologiczna” walka rozgrywała się na jego górnym i najbardziej jawnym piętrze — była najbardziej skryzalizowanym owocem zachodzących od szeregu lat procesów rozkładu. Na niższych piętrach ruch ten nie zdradzał większych ideowych ambicji — był po prostu walką o zdobywanie stanowisk, o likwidację ludzi nie pasujących do nowej fazy, dążył do zdobycia przewagi w poszczególnych ogniwach aparatu partyjnego, w placówkach państwowych, szczególnie środkach masowego przekazu, instytucjach społecznych, itp.

Geneza tej „nowej siły” była złożona. Niewątpliwie powstała ona na skrzyżowaniu trzech nurtów oficjalnego życia: organów bezpieczeństwa, części aktywu partyjnego i ruchu kombatanckiego. Organizacyjny rozkład i pogłębiający się marazm ideologiczny stwarzał próżnię, która czekała na wypełnienie. Impuls antysemityzmu nadany w związku z wydarzeniami na Bliskim Wschodzie był niezwykle wdzięcznym ośrodkiem krystalizacji — odegrał rolę kamienia pociągającego za sobą lawinę.

Najbardziej dynamiczną częścią w tej składance była część ZMP-owskiego pokolenia, z niej wywodziło się wielu przywódców i doboszów tego ruchu. Pokolenie ZMP-owskie przeżyło kryzys 1956 roku bardzo niejednakowo. Część najbardziej intelektualnie aktywna musiała poddać weryfikacji wpajane jej w tamtym okresie elementy światopoglądu, skonfrontować je z pierwotną postacią myśli marksistowskiej, tzn. dokonać „rewizji” rozpowszechnionych teorii i praktyki. Znakomita większość popadała w stan rozczarowania i zniechęcenia do odgrywania aktywnej roli. Ta część weszła w życie jako „normalni” ludzie chcący po prostu pracować i mieć prawo do prywatnego myślenia i oceniania zjawisk. Wreszcie trzecia grupa byłych ZMP-owców składała się z ludzi, dla których potrzeba działalności politycznej i organizacyjnej, ambicja zrobienia kariery, były znacznie mocniejszym bodźcem niż ideologiczne przekonania, czy wiara we wzniosłość celów, do których dąży. Ta część wychowanków ZMP z natury skłonnych do oportunistyzmu i konformizmu stanowiła kierowniczy trzon ruchu młodzieżowego w okresie czterdziestolecia. Procesy uwsteczniania, zdobywanie w kraju przewagi przez reakcyjno-konserwatywne siły — ta przechodząca w wiek dojrzały młodzież akceptowała, ponieważ dostrzegła w nich dla siebie szansę odegrania roli. Ona wszak stanowiła główną wyszkoloną ideologicznie kadre, która mogła objąć ideowe przywództwo. Skoro postulowana „re-

wolucja” wyrzuci poza nawias te elementy, które stawiają opór wzbierającej fali, oczyści życie z „rewizjonistów”, „syjonistów”, z niezdecydowanych, skoro odmłodzi się kierowniczą kadre, stworzy się miejsce dla ich pokolenia.

O ideologicznej mieszance jaką sobie stworzono za podszeptem aktualnych prądów i tendencji — wspomnieliśmy. Zresztą ideologia dla tego nurtu była czynnikiem drugoplanowym, czysto instrumentalnym, odgrywała rolę osłony wyraźnie praktycznych celów. Droga, jaką to pokolenie przebyło oduczyła je od przywiązywania zbyt dużej wagi do ogólniejszych koncepcji — toteż rzecz charakterystyczna, iż przy całej bojowości i agresywności wystąpień, nie znajdziemy tam śladu jakiegoś programu, co zreformować, jak zorganizować, jak poprawić czy udoskonalić — po prostu wyrzucić przeciwników i „wrogów” i zająć ich miejsce. Dążenia ich były całkiem realistyczne: *chcieli być potrzebni* — nie mieli nawet ambicji rządzenia krajem i urządzania go po swojemu — ambicją ich było stać się *czyimś narzędziem*. Niestety dotychczas nie mogli znaleźć tego, kto by się nimi posłużył. Ponieśli w swym życiu już dwie porażki — pierwszą w ZMP, drugą w okresie popaździernikowym, który nie sięgnął do młodych rezerw, oparł się na starszej generacji, im zaś przeznaczył marginesowe role z rzadka i tylko pojedynczo kogoś awansując. Cała nadzieja skupiła się na reakcyjno-policyjnym „przewrocie”, którego szanse już od 1965 roku zarysowywały się wyraźnie. W ich programie dźwięczał również konflikt ze starym pokoleniem, tym, które niemal nieodmładzane świeżym dopływem zajmowało kierownicze pozycje od początku Polski Ludowej.

Trzeba stwierdzić, że była to najbardziej nieszczęsna grupa swego pokolenia. Wyjałowiona w procesie ogólnej selekcji jaka się dokonywała, odpłynęły od niej elementy mające skłonność do samodzielnego myślenia, inwencji czy oryginalności, wykruszyli się wszyscy niedość elastyczni, którzy swemu konformizmowi stawiali jednak jakąś granicę. Ci, którzy pozostali składali się w części z wyraźnych „nieudaczników”, ludzi, którzy błakali się po peryferiach różnych dziedzin, przeważnie intelektualnych, nauki, nie mogąc się tam wybić, często przebrnąć bariery naukowych stopni, lub tkwiący w partyjnym czy państwowym aparacie nie widząc tam dla siebie perspektywy. Do tego doszłusowało sporo ludzi niepozbawionych zdolności i obrotności, bojowa grupa rycerzy szczęścia, która dostrzegła w zachodzących w kraju przeobrażeniach szansę dla siebie.

Zjawisko społeczne, które tu omawiamy jest klasycznym produktem stagnacji i rozkładu w całym funkcjonalnym systemie. Spowodowało to znaczne zwolnienie wchłaniania młodszego poko-

lenia, stąd na linii startowej do politycznych i społecznych karier powstał tłok kandydatów, którzy czekali już dość długo (pokolenie to zbliżało się do 40-stki) i czuli się dostatecznie doświadczeni, aby zastąpić „starych”.

Szukając historycznych analogii, można by dostrzec spore podobieństwa do tych młodych grup, które buntowały się w latach 30-tych przeciwko rządowi sanacji: grup młodo-sanacyjnych które nie zerkwały ku lewicy i przede wszystkim faszystowskiego ONR.

Ten wielopłaszczyznowy nurt, który potocznie nazywano ruchem „hunwejbiniów”, wspierany zza kulis przez różne organy bezpieczeństwa (w tym okresie przejawiały one wiele cech „decentralizmu” i mafijności) był bojową siłą marcowego „przewrotu”. Jedne grupy opanowały środki informacji głośiły, że uratowały kraj przed „rewizjonistyczno-syjonistycznym spiskiem”, który przygotowywał zamach na ustrój dążąc do przywrócenia kapitalizmu, drugie zdobywały szturmem uczelnie i placówki naukowe i obsadzały stanowiska swoimi ludźmi, której to akcji nadano dźwięczną nazwę: „procesu integracji marksistowskiej kadry naukowej”. Na innych płaszczyznach opanowywano całe organizacje partyjne — z łódzką i warszawską na czele — które tej „rewolucji” patronowały i wspierały ją swoimi siłami.

Stanowisko ówczesnego kierownictwa partii (kierowniczej grupy) było niezwykle znamienne. Z jednej strony poczuło się ono zaskoczone i bezradne wobec rozgrywających się wydarzeń — jedyne co mu pozostało to akceptować, czego nie można było zmienić. Być może nawet, iż przy tym stopniu poinformowania, jakim dysponowali ludzie z kierownictwa, uwierzyli w groźbę spisku. Wszak cała taktyka organów bezpieczeństwa zmierzała do przekonania kierownictwa, że ono jedno jest pewnym oparciem dla władzy, jedyną pewną siłą socjalizmu. Wydaje się jednak, że przywódcy partii wiązali z rozgrywającymi się wydarzeniami również głębsze nadzieje — widzieli w nich jakieś wyjście czy odsunięcie trudności gospodarczych i społecznych, odwrócenie uwagi społeczeństwa ku innym problemom. Tym tylko można tłumaczyć skwapliwość, z jaką poparto hunwejbiniowską rewolucję kulturalną torując jej drogę szybkimi zmianami ustaw o nauce i szkolnictwie wyższym, wydając je całkowicie na samowolę rozzuchwalonym grupom czarnosceńców.

Było to jednak zaciskanie pętli na własnej szyi. Wydarzenia marcowe mogły wprowadzić na krótko odwrócić uwagę społeczeństwa, być rodzajem zniczulającego zastrzyku, ale nie tylko nie mogły powstrzymać procesów rozkładu, lecz przeciwnie, musiały je przyspieszyć i rozszerzyć na dalsze dziedziny życia. Po drugie, ruch marcowy niedwuznacznie wymierzony był w samo gomu-

kowskie kierownictwo. W kraju w większości organizacji partyjnych zwyciężały siły marcowe — jeśli nie ilością, to impetem, one wszak jedne miały jakiś „program”: „czegoś” chciały. Te siły przygotowywały V Zjazd partii, spod ich znaków wyszła znaczna część delegatów, którzy jechali na Zjazd z wyraźnymi instrukcjami. Jeśli na Zjeździe nie doszło do zasadniczej rozgrywki, przyczyny leżały poza intencjami zjazdowej sali.

Omówione tu po krótko zjawisko społeczne, które nazwaliśmy „siłami marcowymi”, czy ruchem „hunwejbínów”, jest chyba najsmutniejszym owocem ewolucji, jaka w naszym życiu społecznym i wewnątrz samej partii dokonywała się w ciągu czternastolecia. Jest to zjawisko wysoce niepokojące dla najbliższej przyszłości. Ludzie tego nurtu, po wyeliminowaniu elementów które zachodzącym przeobrażeniem stawiały choćby bierny opór — stali się główną rezerwą kadry aktywistów, polityków i działaczy, oni będą wchodzili w aktywne życie i zajmowali w nim kierownicze stanowiska. Ich „idee”, czy ściślej ich bezideowość będzie ciągnęła w stronę utartej w naszym systemie drogi konserwy i wstecznicstwa, będzie ich czyniła wrogami wszelkich prób poszukiwania sensownych rozwiązań stojących przed krajem trudności, wszelkiej śmielszej myśli i śmielszego działania.

Oczywiście, w nowych warunkach istnieje możliwość ewolucji części tych elementów, które w obozie marcowym znalazły się złudzone siłą tego ruchu i brakiem innych wyjść. Ewolucji takiej może sprzyjać ukazanie sensownej perspektywy — ale drogą do tego musi być stworzenie w partii i w kraju atmosfery wymiany myśli, w której mogłaby się krystalizować idea i program, jaki chcemy postawić przed całym społeczeństwem.

## RACHUNEK SPOŁECZNEGO SUMIENIA

W jednej ze swych wypowiedzi — już po grudniowym dramacie — Władysław Gomułka wskazał jako na główną przeszkodę, o którą się potykał, narodowe cechy Polaków: anarchiczne skłonności, brak dyscypliny społecznej odbijający się fatalnie na stosunku do pracy, do wykonywanych zadań. Z tej to cechy — tak jaskrawo odróżniającej Polaków od np. Niemców — wynikają wszystkie trudności gospodarcze, polityczne, społeczne.

Nie pierwszy to wypadek, kiedy polityczny przywódca szuka wytłumaczenia swej klęski w przyczynach ukształtowanych przez fatalizm dziejów, leżących poza zasięgiem jego oddziaływania — a za takie przecież uważa się cechy własnego narodu. Wyznanie takie w ustach głównego aktora i w jednej osobie reżysera historycznego dramatu rozgrywającego się w ciągu czternastu lat musi i zdziwić i zaniepokoić. Wiele oznak wskazuje, że w poglądach swych nie jest on bynajmniej odosobniony, że wielu naszych działaczy — nie zawsze to wypowiadając — w „narodowych cechach” polskiego społeczeństwa szuka wytłumaczenia trudności i usprawiedliwienia niepowodzeń.

Wynika to z najfatalniejszej szkoły politycznego myślenia wpajanego partyjnym aktywistom w ciągu dziesięcioleci. Podstawą tego myślenia jest przyjęte *a priori* założenie, że wszystko, co postanawiamy i robimy jest słuszne, ponieważ opieramy się na słusznej teorii i szlachetnej ideologii — wątpić o tej słuszności może tylko klasowy wróg. Konsekwencją tego myślenia jest, że nie musimy słuszności tego co robimy sprawdzać w działaniu, bo jest ona dana z góry. Jeśli zatem coś w naszym działaniu nie wychodzi, jeśli rezultaty nieraz daleko odbiegają od zamierzeń, oczywiście wina leży nie w planach, nie w metodach, nie w partii — lecz w społeczeństwie, w narodzie, w jego poszczególnych warstwach czy klasach, w reliktach dawnej epoki, w braku dyscypliny i zro-

zumienia słuszności naszych zamierzeń. Jak głęboko takie rozumowanie weszło w krew naszych polityków, dostatecznie dokumentuje fakt, iż nawet wykrywanie raz po raz — zawsze, niestety, z grubym opóźnieniem — ciężkich błędów w naszym myśleniu i wręcz wynaturzeń w naszym działaniu bynajmniej nie podważa tezy, że partia ma zawsze rację, nikogo nie skłania do gruntowniejszej nad tą racją refleksji.

Autor niniejszego jest zdecydowanym przeciwnikiem odwoływania się do „ducha narodu”, „narodowych cech” i „narodowych wad”. Wszelkie tego typu rozważania są przeważnie pozostałością XIX-wiecznego metafizycznego myślenia, kiedy jeszcze mechanizmy społecznego życia stanowiły nieprzenikloną zagadkę, kiedy nie istniał jeszcze marksizm, nie śniła się socjotechnika ani pedagogika społeczna. Nad społeczeństwami unosił się tajemniczy twór dziejów „duch narodu”, który kształtował ich oblicze.

Oczywiście istnieją narodowe cechy i można mówić o „duchu narodu”. Można wymienić co najmniej kilkanaście takich osobliwości w postawie, zachowaniu, reakcjach, które na ogół wyróżniają Polaków wśród innych narodów. Ale i charakter i pochodzenie tych odmienności są o wiele mniej mistyczne niż się potocznie myśli.

Cechy uważane za „narodowe” można podzielić na dwie zasadniczo odmienne grupy. Pierwszą stanowią będą cechy ukształtowane w długim procesie dziejów, które nabrały już trwałości, stały się niejako cechami *charakterologicznymi*, podlegającymi bardzo powolnym przeobrażeniom. Do drugiej grupy należą cechy, które kształtują się jako bezpośrednie reakcje na otaczającą rzeczywistość — stanowią *przystosowanie jednostek do warunków społecznego życia*, są *cechami adaptacyjnymi*. Ta grupa cech z konieczności odznacza się dużą plastycznością a każdorazowy ich układ jest jakby odzwierciedleniem struktury i mechanizmów funkcjonujących w społeczeństwie — można je przeto nazwać *cechami ustrojowymi*.

Dyscyplina społeczna, poczucie obowiązku i odpowiedzialności za wykonywane zadanie — to wyraźnie ta druga, adaptacyjna grupa „narodowych cech”. Spróbujmy przyjrzeć się zasadności oskarżenia społeczeństwa polskiego o niedorozwój tych właśnie tak niezbędnych dla społecznego życia cech. Zanicznijmy od postawienia pytania. Dlaczego robotnik polski jest dobrym robotnikiem w Anglii, Ameryce, w Niemczech a złym w Polsce? Dlaczego polski inżynier jest ceniony za inwencję, rozmach, koncepcje w innych krajach a w swojej ojczyźnie te cechy go opuszczają? Można dla celów heurystycznych postawić pomocnicze pytanie: dlaczego w szkole na jednej lekcji klasa zachowuje się w sposób



zdyscyplinowany a na innej w tej samej klasie panuje nieporządek i wrzawa a nauczyciel rady sobie z uczniami dać nie może? A nawet w tej samej Polsce znalazłby wśród zakładów i instytucji takie dwa krańcowe przykłady, z których w jednym panuje względny porządek i dyscyplina a w drugiej chaos i bałagan? Nie metafizyczne „narodowe” cechy objawiają się w tak dziwny i nieskoordynowany sposób.

Każdemu, kto by chciał przypisywać nasz niezwykle niski poziom dyscypliny społecznej, nieodpowiedzialny stosunek do obowiązku, do pracy, skłonność do bałaganu itd. naszym „narodowym cechom” — trzeba przypomnieć że w toku naszej socjalistycznej historii dokonaliśmy wielkiego wysiłku nie tylko, aby unieвозмоwić ukształtowanie się pożądaných cech ale aby wytrzebić te skromne załączki dobrych nawyków, które w tym społeczeństwie tkwiły. Czy zastanowili się nasi politycy ilu ludzi poddaliśmy prześladowaniom za to tylko, że mieli nawyk odpowiedzialnego stosunku do powierzonych im zadań, nawyk „dobrej roboty”? Ilu zdolnych organizatorów — kierowników, dyrektorów, którzy potrafili przewyciężyć bałagan, wyrzuciliśmy a nawet posadziliśmy za kratkami? Ilu dobrych fachowców, majstrów, wykwalifikowanych robotników zmuszano do odejścia, jeśli nie potrafili przystosować się i pogodzić z bałaganem, brakerobstwem a nieraz wręcz z różnego rodzaju „kantami” i nadużyciami?

Wśród tysięcy rozmaitego rodzaju aktów normatywnych, jakie wydaliśmy w ciągu przeszło ćwierćwiecza niewiele dałoby się wskazać takich, które nie przyczyniały się — bezpośrednio lub pośrednio — do dezorganizacji, złej roboty, nieodpowiedzialności. Niech nikt nie ośmieli się obruszyć na powyższe stwierdzenie, powołując się na szlachetne intencje tych aktów — że były one uzasadnione a nawet konieczne. Na pewno nikt nie miał *intencji* pogłębiania organizacyjnego chaosu — ale rezultatów polityki nie mierzy się intencjami.

Nie o znajomość „narodowych” cech tu idzie, lecz o zwyczajną wiedzę o zasadach i mechanizmach społecznego życia. Aby w jednostce, grupie, zbiorowości ukształtować pożądanе społeczne zachowania, musi istnieć elementarna konsekwencja, prawidłowość w następstwie zjawisk. Człowiek postępujący właściwie musi być pewny nagrody (choćby symbolicznej), człowiek postępujący niewłaściwie, niezgodnie ze społecznym interesem powinien być pewny kary (choćby symbolicznej). Jeśli w życiu społecznym ta zasada nie będzie przestrzegana, jeśli można zyskać na zachowaniu złym a stracić na dobrym, nie tylko nie wdrożymy dyscypliny a przeciwnie — wpoimy przekonanie, że solidność i uczciwość są przeszkodą w życiu jednostek.

I znowu pytanie pod adresem odpowiedzialnych polityków — ileż to razy (tysiący, milionów) nagradzaliśmy i awansowaliśmy ludzi, którzy w pojęciu swego środowiska nie zasługiwali na to, byli złymi pracownikami i bezwartościowymi jednostkami — i ile razy piętnowaliśmy i nawet karaliśmy ludzi, którzy w pojęciu swego środowiska zasługiwali na nagrodę i awans, byli dobrymi pracownikami, uczciwymi ludźmi, ale czymś się tam komuś narazili? Często narazili się krytyką rzeczy ewidentnie złych? Czy nie miała demoralizującego i dezorganizującego wpływu cała nasza polityka kadrowa w ciągu ćwierćwiecza preferująca wszędzie nie ludzi przedstawiających najlepsze społeczne wartości — lecz szukającą ludzi „swoich”, „pewnych” według rzekomo ideologicznych kryteriów, które dawały pierwszeństwo jakże często bezwartościowym karierowiczom a nie rzadko wręcz społecznym odpadom? Czy jeśli to wszystko dzieje się na oczach narodu w ciągu długiego czasu, czy nie musi ukształtować „narodowej” cechy? I czy nasi działacze sądzą, że zapomniana zasada dawno głoszona przez Lenina — aby bezpartyjna załoga wypowiediała się, czy dany kandydat zasługuje na to, aby go przyjąć do partii — była tak bardzo bezsensowna?

To my, nasza polityka, nasze kryteria oceny społecznej wartości i przydatności ludzi, nasze kryteria doboru kierowniczej kadry dla wszystkich dziedzin i szczebli podważały systematycznie i nieustannie ten grunt, na którym wschodzi i rozwija się roślina zwana społeczną dyscypliną, organizacją, poczuciem odpowiedzialności za wykonywane zadanie.

Amerykańscy psychologowie prowadzący doświadczenia na szczurach, stwierdzili ciekawą prawidłowość. Jeśli zostawimy szczurom dwa przejścia, z których w jednym dostają „nagrodę” a w drugim spotyka je „kara”, szczury mogą się pomylić tylko raz, po czym zachowują się w sposób prawidłowy i „zdyscyplinowany”. Jeśli zorganizujemy tak, że kara lub nagroda może je spotkać i tu i tam według nie dającej się przewidzieć prawidłowości — szczury popadają w ostry rozstrój nerwowy, apatię, chudną i zdychają. Oczywiście człowiek jest istotą o wiele doskonalszą od szczura — zakres jego zdolności adaptacyjnej jest nieporównanie szerszy. Człowiek — na tym również polega jego geniusz — potrafi nawet w chaosie wykryć jakąś prawidłowość, którą można wykorzystać, przystosować się, aby żyć.

W naszej socjalistycznej historii po pierwszym okresie umacniania się fundamentów ustrojowych i budowania aparatu władzy, nie było pilniejszego zadania nad uruchomienie wszystkich sił i całej wiedzy dla podnoszenia poziomu organizacji naszego życia, organizacji wszystkiego — od najniższych wykonawczych komórek

aż do centralnych organów władzy. Byłaby to jedyna droga kształtowania socjalistycznego społeczeństwa — uczenia go socjalistycznej ideologii. I właśnie w tym czasie od 1949 roku rozpoczęliśmy wielki wysiłek w kierunku diametralnie przeciwnym — niweczenia i wyrzucania na śmietnik wszystkiego, co mogło stanowić jakiś zażątek dla stworzenia podstaw zorganizowanego społeczeństwa. Otworzyliśmy szeroko wrota, przez które do wszystkich dziedzin życia napływało i zajmowało przodujące pozycje nieuctwo, nieudolność, obłuda, cwaniactwo, wazeliniarstwo — wszystko to przybrane w ideologiczną szatę klasowej gorliwości. Stawialiśmy pod pręgierzem, wtrącaliśmy do więzień ludzi jakże często tylko dlatego, że byli uczciwi. Nie da się obliczyć materialnych ani wyrazić moralnych strat, jakie zadaliśmy krajowi i narodowi w ciągu kilku tzw. stalinowskich lat.

Dlaczego ten bolesny okres trzeba dziś jeszcze wspominać? Oto dlatego, że nigdy właściwie nie rozliczyliśmy się z tych strat. Nie o porachunki tu idzie — idzie o rewizję metod, formy i treści naszego kierowania społeczeństwem. Prawda, odrzuciliśmy wiele z brutalizmów tamtej epoki. Ale zaprogramowane w tym okresie „komputory” rozwiązujące podstawowe problemy władzy działają nadal. Nie zmieniliśmy kryteriów oceny ludzkiej wartości i przydatności — w dalszym ciągu w doborze kadry do wszelkich funkcji (z naukowymi włącznie) dzielimy 32-milionowy naród na niewielką grupę „wypróbowanych”, „swoich”, „pewnych”, mających dobre świadectwa w policyjnych kartotekach — i tę resztę, wobec której zachowujemy ostrożność, nieufność, jako do obcej, potencjalnie wrogiej siły. Zadaniem partii jest zorganizowanie samoczynnego procesu nieustannej selekcji, nieustannego doboru spośród wielomilionowej masy społecznej najbardziej przydatnych do poszczególnych funkcji w naszej socjalistycznej budowie. Tego właśnie najważniejszego zadania partia nie wypełnia — wydaje się, iż go w ogóle nie rozumie. Okopała się na swych pozycjach, których broni przed zalaniem ich przez obce morze.

Jak staraliśmy się wykazać, gomułkowskie czternastolecie odrzucając metody stalinowskie w jednej dziedzinie, spotęgowało je w innych, nie zasypało — a bodaj czy nie pogłębiło, przepaści między partią a społecznymi masami — wydarzenia grudniowe były błyskawicą, która na jeden moment oświetliła ten nigdy niebadany kontynent. To migawkowe zdjęcie powinno wstrząsnąć każdym partyjnym działaczem.

Przeglądając uchwały najwyższego organu partii za całe 27-letnie bodaj nie znajdziemy takiej, która by nie zawierała zdania

o „konieczności wzmocnienia kierowniczej roli partii”. Postulat ten wysuwały uchwały KC po 1945 roku i w latach 50-tych w okresie „błędów i wypaczeń”, tak samo formułowano go w latach 60-tych, tymi samymi słowami określano zadania partii po marcu 1968 roku. Lektura tych uchwał dziś — po tylu latach tak rozmaitych doświadczeń — napawa głęboką melancholią. Czy w ciągu tych 27 lat był ktoś, kto by próbował zadać pytanie — co to znaczy? Hasło to jak poranny pacierz odmawiany przez całe 27 lat i jak przy pacierzu dawno przestaliśmy myśleć, co te wypowiedane słowa mają oznaczać, na czym ma polegać „kierowanie” i czym ma się wyrażać owe „wzmacnianie”? I czy pomyślał ktoś, dlaczego te słowa musimy stale powtarzać? Czy wymaga tego rytuał, czy rzeczywiście o coś nam chodzi? — a jeśli tak, to o co? Żeby partia rządziła? Ależ rządzi! nie ma w kraju żadnego konkurenta — w ciągu ostatnich 25 lat nie zdarzyło się aby jakaś siła spoza partii miała chęć, ambicje czy szansę sięgnięcia po władzę! (Nie mówimy tu o ambicjach wewnątrz samej partii). Czy idzie o to, aby rządziła mocniej, lepiej, sprawniej? Ba — ale jak to zrobić, tego przecież nikt jej nigdy nie uczył. Mocniej, owszem, uczono — w różnych okresach „zamordyzmu” — ale jak wiadomo wyniki dawało to nie najlepsze. — Dla porównania — co byśmy powiedzieli, gdyby dyrekcja jakiegoś dużego zakładu powzięła uchwałę: wzmocnić kierowniczą rolę dyrekcji — wprawdzie przypomina to „masło maślane”, ale nie znaczy tego samego, co „poprawić jakość masła”.

Można podchodząc od wielu stron wykazywać, że postulat ten pozbawiony jest konkretnej treści, że jest tylko rytualną formułą. Ale byłaby to nieprawda. Aparat wykonawczy interpretuje to po swojemu najprościej i naprzymitywniej — wzmocnić kierowniczą rolę, to znaczy wziąć wszystko w swoje ręce, pobudować na potoku społecznego i gospodarczego życia tysiączne zastawki i samemu regulować ich zamykanie i otwieranie. Praktyka narzuca jeszcze jedną interpretację „wzmacniania kierowniczej roli partii” — wzmocnić ją trzeba przeciwko komuś i czemuś! A zatem trzeba się bronić przed wyrwaniem z rąk kierowniczej roli, robić wszystko przy pomocy najbardziej zaufanych i wypróbowanych „swoich” ludzi, nie dopuścić, aby cokolwiek i gdziekolwiek działało się bez nas, naszej decyzji, naszego zezwolenia i pod naszym kierownictwem. W ten oto sposób niewinna teza o „wzmocnieniu kierowniczej roli partii” przekształca się w hamulec rozwoju, w zapórę na potoku życia a ponadto staje się programem nieufności do wszystkiego, co znajduje się poza partią. Oczywiście, nikt z głoszących to hasło nie miał tego wszystkiego na myśli, być może nie przychodziło mu to nawet do głowy — ale wszędzie, gdzie

my czegoś nie domyślmy, uzupełnia to z nawiązką samo życie, ono jest kamieniem probierczym wykazującym prawdziwość i fałszywość dźwięku naszych postulatów i haseł.

Jaki wypływa stąd morał? Ten oto, że trzeba rzeczywiście wzmocnić kierowniczą rolę partii. Ale, na litość boską, wyjaśnić, co to ma znaczyć, jak trzeba tę rolę zmienić, aby nie była hamulcem, ale motorem — aby skupiała i organizowała milionowe masy — a nie spychała ich w bierność, apatię i wrogość.



Dotknęliśmy niektórych cech społecznej zbiorowości, które nazwaliśmy cechami adaptacyjnymi i niektórych czynników, te cechy kształtujących. Te właśnie cechy tworzą najbardziej zewnętrzny i uchwytny kształt społecznej świadomości, wyrażającej się w codziennym zachowaniu. Cechy te powstają pod bezpośrednim wpływem zewnętrznych warunków — w zakładzie pracy, w styczności z władzą, z całym zorganizowanym systemem, w którego ramach toczy się nasze życie. Wskazaliśmy, iż są one niezwykle plastyczne, cały organizm ludzki przystosowuje się do warunków środowiska niezwykle szybko — ci, którym trudno idzie przystosowanie, zostają odrzuceni poza nawias. Często kilka lat pracy i życia w zorganizowanym środowisku wystarcza dla wdrożenia pożądanых społecznie nawyków, zburzenie tych nawyków następuje o wiele szybciej. Każdy, kto patrząc na obecne niedyscyplinowanie, organizacyjny bezwład twierdzi, że są to stare kapitalistyczne pozostałości — popęlnia świadome oszustwo — to niestety już nasze dzieło i tej zasługi nikt nam nie odbierze.

Ale oprócz tych są jeszcze cechy, które niewątpliwie można nazwać narodowymi, które utrwaliły się w psychice społeczeństwa w długim procesie historii i których przeobrażenia są o wiele powolniejsze. Nie mamy w tej dziedzinie żadnych badań, nie sprawdzamy stosunku społeczeństwa, jego poszczególnych warstw i grup — do wielkich problemów naszej polityki, do posunięć naszych władz, z założenia nie istnieje dla nas sprawa popularności czy niepopularności poszczególnych działaczy i przywódców — jednym słowem nie mamy i nie potrzebujemy polskiego Gallupa. Toteż w rozważaniach na te tematy kierować się trzeba wewnętrzną obserwacją zachowań i reakcji społecznych na zjawiska i wydarzenia i uzupełniać to „intuicyjnym wyczuciem”. Mimo zawodności tych metod jest to jednak potrzebne, ponieważ w polityce naszej nazbyt często zachowujemy się tak, jakbyśmy świadomie chcieli lekceważyć i obrażać powszechne społeczne uczucia.

Niewątpliwie narodową cechą jest, iż Polacy nie lubią władzy

despotycznej. Jest to bezpośredni wynik naszej historii. W odróżnieniu od obydwu naszych sąsiadów ze wschodu i z zachodu, którzy mieli czas takie formy wykształcić i przywyknąć do nich, w Polsce władza despotyczna zawsze będzie się kojarzyła z zaborcą i okupantem.

Oczywiście nonsensem są powtarzane często twierdzenia, że społeczeństwo nasze chciałoby „anarchii”, „integralnej demokracji” itp. Wiele można by wskazać dowodów, że Polacy lubią władzę silną i zdecydowaną, musi ona jednak spełniać dwa (przynajmniej, dość trudne) warunki: musi być rozsądna i sprawiedliwa oraz musi utrzymywać kontakt ze społeczeństwem, coś w rodzaju „intymnego porozumienia”, aby masy czuły, że ta władza spełnia się *w ich imieniu*. Nasza władza tego warunku nie spełnia z zasadniczego powodu: wykonywana jest przez wyobcowany i odcięty od społeczeństwa aparat. Aparat ten zbudowany jest i ustawiony w taki sposób, że odgrywa rolę bariery między masą społeczną a władzą, której dyktatura przestaje być sprawowana *w imieniu* społeczeństwa a staje się dyktaturą *nad* społeczeństwem — staje się czymś obcym, wyalienowanym.

Rezultatem tego jest niezmiernie charakterystyczne zjawisko uderzające zwłaszcza cudzoziemców — w tym kraju nikt nie mówi „my”, zawsze „oni”. Znany angielski dziennikarz po dłuższym pobycie w Polsce, tak opisywał swoje wrażenia: „Dziwny kraj. Rozmawiałem z zamiataczami ulic, z robotnikami, chłopami, z wyższymi urzędnikami, z ministrami — wszyscy wskazując kciukiem w górę mówili 'oni'. Rozmawiałem z Władysławem Gomułą — on również mówił 'oni', tylko z kciukiem skierowanym w dół”.

Wynika stąd druga narodowa cecha — Polacy nie lubią systemu policyjnego. Oczywiście prawdopodobnie nie lubi tego żadne społeczeństwo i żaden naród, ale jest zdecydowana różnica stopnia i charakteru tego niechętności. Dla społeczeństwa polskiego system policyjny zawsze będzie się kojarzył z metodami stosowanymi przez zaborców i okupanta. Ponadto Polacy mają zbyt zakorzenioną tradycję oporu i psychicznej samoobrony przed tymi metodami. Najistotniejszym elementem systemu policyjnego jest penetracja społeczeństwa i rozkładanie go przez rozbudowaną sieć konfidentów, szpicliów i donosicieli. Jest to niewątpliwie najgroźniejsza rakowata narośl zatruwająca cały społeczny organizm. Zjawisko na pozór paradoksalne: nie wynika stąd iżby w Polsce brakowało konfidentów i kandydatów gotowych na usługi — ale w pojęciu społeczeństwa, wszystkich jego warstw i grup społecznych, konfident, człowiek oddający poufne usługi temu aparatowi jest nawet nie „zdrajcą” a po prostu śmieciem, społecznym odpadem, budzącym pogardę i wstręt. Stąd trudności, na jakie

natrafiają funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa w werbowaniu zwyczajnych uczciwych ludzi, stąd „dobór naturalny” informato-  
rów, którymi się posługują nasze organa — dobór uzasadniający  
okazywaną im odrazę. Ta infiltracja aparatu bezpieczeństwa, który  
wciska się we wszystkie szpary społecznej budowli i wywołuje tam  
gnilne procesy, jest najpotężniejszym środkiem deprawacji społec-  
zeństwa i narzędziem dezorganizacji wszystkich dziedzin życia.

Dla tych, którzy by skłonni byli widzieć w tym stwierdzeniu  
przesadę, czy osobistą niechęć autora do tego potrzebnego przecież  
aparatu — małe wyjaśnienie (była już o tym wyżej mowa). W roz-  
winiętym systemie policyjnym sieć konfidentów bynajmniej nie  
służy doskonaleniu informacji o tym, co się dzieje wewnątrz spo-  
łeczeństwa — można by nawet powiedzieć, że tym najmniej się  
ten aparat interesuje (stąd tak często ważne społecznie wydarzenia  
zaskakują go). Sieć ta jest przede wszystkim narzędziem realizo-  
wania własnej polityki. Informacje zbierane są pod określonym  
kątem, są świadomie deformowane i wręcz fałszowane dla określo-  
nych politycznych celów. Sieć agentów służy do rozkładania po-  
szczególnych środowisk i grup ludzkich, przekształcania ich w  
węzowiska skłóconych i zwalczających się nawzajem klik, służy  
do terroryzowania i paraliżowania tych, którzy na swych stano-  
wiskach chcieliby coś pożytecznego zrobić, służy jako system  
„głośników” kolportujących określone wiadomości, oceny, opinie  
mające stworzyć sprzyjający klimat dla zamierzonych posunięć, sta-  
nowi wreszcie kadre „swoich” i „pewnych” ludzi, zasilających  
aparat władzy.

Jedną z najboleśniejszych stron tego procesu jest deprawacja  
młodzieży, szczególnie studenckiej. Czyżby tak trudno było zro-  
zumieć, że z punktu widzenia społecznego, politycznego, wycho-  
wawczego — jest to zwyczajnym przestępstwem? Ze młody człowiek,  
który najczęściej mimo swej woli nakloniony czy wręcz  
zmuszony został do szpiegowania i donoszenia na swych kolegów,  
staje się osobnikiem moralnie przetrąconym — kaleką na całe  
życie? Ze awansowany potem (jako „swój” i „pewny”) na dzia-  
łacza — będzie działaczem złym o spaczonym i zdegenerowanym  
widzeniu świata i międzyludzkich stosunków? Są to prawdy oczy-  
wiste dla psychologa, pedagoga, społecznika — a dla polityka?

Wreszcie jedna jeszcze cecha nie tyle „narodowa” ile ogólno-  
ludzka. Prawdopodobnie żadne społeczeństwo, żaden naród nie  
lubi, aby jego przywódcy okazywali mu lekceważenie. Uczulenie  
naszego społeczeństwa na tę stronę naszej władzy można było  
obserwować gołym okiem w ciągu całego czternastolecia. Niewraż-  
liwość naszego kierownictwa na to, co czują i myślą, jak reagują  
masy społeczne — była wręcz zastanawiająca. Poza krótkim okre-

sem października nikt nigdy z tym społeczeństwem nie rozmawiał, nikt do niego nie mówił ludzkim, zrozumiałym dla mas językiem, nie poruszał spraw te masy obchodzących. Wielogodzinne wystąpienia przywódcy partii były drętwą, rytualną mową, powtarzającą te same okrągłe frazesy i przytaczającą te same „procenty”, które każdy mógł znaleźć w codziennej prasie — ludziom, społeczeństwu, masom pracującym przywódcą partii nie miał do powiedzenia nic. Społeczeństwo traktowano jak niedorozwinięte dziecko, któremu na kłopotliwe pytanie odpowiada się bajeczką lub wykrętem. Już nie lekceważenie a wręcz pogardę okazywano społeczeństwu w dziedzinie informowania go o elementarnych sprawach — sytuacji, faktach, ludziach — o tym przeciętny obywatel dowiadywał się z obcych rozgłośni, z pokątnych źródeł, z krążącej plotki. Nauczyliśmy ludzi nie wierzyć temu, co mówimy i piszemy w naszych gazetach. To nie zagraniczne obce i wrogie rozgłośnie prowadzą przeciwko nam „ideologiczną ofensywę”, to nie one podważają zaufanie do naszych władz — *to my to robimy*, własnoręcznie i z premedytacją!

Jest coś paranoicznego w naszych wysiłkach nad zwalczaniem wrogich kampanii ideologicznych — organizujemy międzynarodowe narady, wzywamy „uczonych doktorów”, aby pomogli nam zdemaskować i przeciwdziałać wpływom obcej propagandy. Tylko żadnemu z tych „uczonych” nie przyjdzie do głowy, aby doradzić zmianę stosunku do własnego społeczeństwa, aby nie taić przed nim tego, co i tak zataić się nie da, aby jednym słowem, przestać traktować własne społeczeństwo jako stado baranów, jak średnio-wieczny feudał traktował swoich pańszczyźnianych chłopów.

Prawda, socjalistyczni przywódcy nie muszą zabiegać o popularność, nie staną przecież do wyborów, które mogłyby zadecydować, czy pozostaną u władzy, czy będą musieli odejść. Ale choćby elementarne wyczucie społeczne winno podpowiedzieć, że popularność przywódcy oznacza uznanie władzy, akceptację jej polityki, a to oznacza stworzenie zaufania, z którego wynika stosunek do zadań, do pracy — wiara w perspektywę. W tym punkcie można było najjaskrawiej obserwować ewolucję zachodzącą w ciągu czter-nastolecia. Wystąpienia Władysława Gomułki przyjmowano z żywiołowym entuzjazmem w ciągu pierwszych miesięcy, następnie z wyrozumiałością a potem szła już gradacja — z obojętnością, zniecierpliwieniem, aby wreszcie ludzie przestali słuchać w ogóle, pełni niezyczliwych nastrojów — często żalu: co się z tym człowiekiem stało?!

Mimo, że partia, jej kierownictwo nie stawia sobie jako głównego czy ważnego zadania — zdobycia popularności w społeczeństwie — warto przypomnieć elementarną (leninowską) zasadę:



jeśli 30 milionów ludzi w Polsce myśli inaczej niż kierownictwo partii, niż jej przywódca — rację ma 30 milionów! — niezależnie od wszelkich dowodów i statystyk. Tym różni się *racja społeczna* od wszelkich racji wymyślanych w gabinetach i na zamkniętych naradach.



O społeczeństwie polskim, jego narodowych cechach i wadach można powiedzieć wiele rzeczy złych i na pewno prawdziwych i głupotą byłoby te niechwalebne strony tać lub wywoływać święte oburzenie przeciwko tym, którzy by je wypominali. Przy tym wszystkim, ma to nasze społeczeństwo i cechy niezwykle. Jego narodową cechą jest zdolność do entuzjazmu, ofiarności i poświęcenia. Jesteśmy narodem, który w wielkim tyglu nowoczesnej cywilizacji nie zdążył jeszcze roztopić swej indywidualności wyróżniającej go chyba większym niż gdzie indziej przywiązywaniem wagi również do „niematerialnych” wartości. Jeszcze w tym kraju „dobre słowo” wiele mogłoby znaczyć, gdyby ktoś zechciał użyć tej wyszłej z obiegu monety. Mówi się wyraźnie, że zapał Polaków jest słomiany, że zdolni jesteśmy do wspaniałych zrywów, ale nie do systematycznej, uporczywej pracy. Prawda. Ale czy ktoś próbował stworzyć takie warunki, które by umożliwiły trwałe wykorzystanie tej wybuchowej siły, takiej przekładni, która by zapał przekształciła w ciągły napęd? Dotychczas, niestety, robiono wszystko, aby po każdym wybuchu entuzjazmu i zapału pozostał tylko przykry śwąd rozczarowania i zawiedzionych nadziei.

Są rzeczy, których ten naród nie lubi i nie będzie lubił. Są takie metody rządzenia, których nie uzna, które nie mogą stworzyć żadnego pomostu, żadnego porozumienia między władzą a nim. Społeczeństwo polskie — w tym tkwi jedna z jego osobliwości — na pewno chce silnej i zdecydowanej władzy, ale nie uzna takiej, która je będzie traktowała „z pozycji siły”. Niechaj siła i zdecydowanie władzy przejawiają się w sposobie rozwiązywania zadań a nie w metodach traktowania społeczeństwa — obywateli.

## KILKA WNIOSKÓW

1. Nie odwoływaliśmy się w toku naszej analizy do psychologicznych właściwości człowieka sprawującego w ciągu czternastu lat kierowniczą funkcję. Interesowały nas przede wszystkim procesy społeczne, próbowaliśmy wskazać te przesłanki, które pozwalają zrozumieć ich sens, ich źródła i następstwa. Aby ominąć psychologiczne sugestie, staraliśmy się w toku rozważań używać terminu „kierownictwo”, aczkolwiek treść tego pojęcia niewątpliwie ulegała w ciągu czternastu lat ewolucji. Jeśli mówiło się o trudnościach współpracy w kierowniczym zespole, o „paraliżu kolegalności”, to nie idzie tu o psychiczne właściwości człowieka, lecz o określone założenia i metody układające się w system organizacyjno-funkcjonalny. Nie w osobliwościach psychiki Stalina (jak by chcieli niektórzy) tkwiła istota stalinowskiego systemu i nie prawa psychologii wpływają na kształtowanie form i metod władzy w postalinowskim okresie.

Oczywiście, osobiste cechy mogą odgrywać rolę, łagodzić lub zaostrzać niektóre zewnętrzne, spektakularne cechy systemu, mogą wpływać na klimat wewnątrz kierowniczego zespołu. Jednakże ci, którzy ze zgorzeniem podkreślają, iż w łonie kierowniczej grupy nie było dyskusji, nie było atmosfery umożliwiającej swobodę wypowiedzi, zdają się nie widzieć związku tego zjawiska z sytuacją, w jakiej znajdował się cały kraj, wszyscy obywatele. Jeśli w kraju wytepiamy prawo do krytyki, do wypowiedzania poglądów, uznamy to za zjawisko wrogie, dobre dla burżuazji i kapitalizmu, ale trujące dla proletariatu i socjalizmu — następstwa muszą być takie, jak opisane powyżej. Jeśli zwykły obywatel i szeregowy członek partii nie będzie mógł wypowiedzieć tego co myśli bez strachu przed oskarżeniem o siedem grzechów głównych z „rewi-

zjonizmem” na czele — to samo będzie się odnosiło również do sprawujących władzę.

*Jeśli prawa do krytyki nie będzie miał zwykły obywatel — nie będzie go miał również członek Biura Politycznego.* To żelazne prawo socjologiczne należałoby spizowymi głoskami wypisać na siedzibach naszych władz. Stan taki musi degenerować władzę, rozkładać psychikę władców, prowadzić do choroby zwanej „kaligulizmem”. Kaligulizm rodzi się z charyzmatu władzy i ludzkiej (nadmiernej?) zdolności do „przystosowania”. Najpierw uznajemy autorytet władzy, potem nie sprzeciwiamy się jej w imię utrzymania „jedności”, następnie z obawy, aby się nie „wychylić”, a później już ze zwyczajnego oportunistycznego, życiowego wygody, strachu przed upadkiem z rozkręconej karuzeli. W miarę zaangażowania po tej drodze, dołącza się lęk przed naruszeniem systemu, przed konfrontacją z rzeczywistością, przed wszystkim, co mogłoby naruszyć świat, w którym się jakoś ułożyliśmy.

Można by tu postawić metafizyczne pytanie: czy ludzie odpowiadają za system, czy też system ponosi odpowiedzialność za to, co z ludzi robi — oto jedna z nieuwzględnionych przez Kanta „antynomii czystego rozumu”.

2. Przyczyny i przebieg wydarzeń grudniowych są klasycznym (można rzec, podręcznikowym) przykładem zjawiska „blokady systemu funkcjonalnego”. Można tę blokadę obserwować w gospodarce makroskali, można ją oglądać w tysięcznych szczegółach naszego codziennego życia. Tryby wielkiej maszyny nawet się obracają, ale zawodzą ich styki i przekładnie — jeden tryb bynajmniej nie zmusza drugiego do zgranych, zsynchronizowanych z nim obrotów. Stąd np. nasze nieustanne lamenty nad kooperacją. Jeszcze groźniejsze następstwa pociąga za sobą całkowity brak „przekładni” między maszyną gospodarczą a systemem społecznym. W tej dziedzinie przecięte zostały sprzężenia zwrotne, nie działają żadne samoregulatory ani nawet sygnały alarmowe. Przed nadmiernym ciśnieniem w społecznym kotle nie chroni żaden zawór, a dla zapobieżenia wybuchowi wolimy z zewnątrz nakładać obręcz bezpieczeństwa. Co gorsza, nie funkcjonuje nawet żaden manometr, którego strzałka sygnalizowałaby niebezpieczeństwo. Nasz system — powiadamy — nie musi ciśnienia mierzyć, my ciśnienie planujemy!

To, co o przyczynach zająć na Wybrzeżu wiadomo, pozwala obalić uproszczony pogląd, że wywołało je nieprzemyślane posunięcie w postaci podwyżki cen. Zarzewie tliło się już od dawna i miało wiele przyczyn — tliło się w warunkach stałego wzrostu „społecznego ciśnienia”. Podwyżka cen mogła odegrać rolę stwo-

rzenia przeciagu, który ułatwił rozszerzenie się pożaru. Można by stąd wyciągnąć następujący morał: Gdyby tam na Wybrzeżu istniał jakiś czynnik znający sytuację i rozumiejący, że interes kraju (zwłaszcza w naszym socjalistycznym ustroju) nie jest czymś sprzecznym z interesami ludzi, że interes zakładu produkcyjnego to także interes jego załogi — mógłby nieznacznie i nawet niekosztownymi korektami usunąć główne przyczyny zadrażnień. Potrzebny był ktoś, kto by *chciał* z załogami rozmawiać, kto by *mógł* podejmować decyzje i brać na siebie odpowiedzialność. Niestety takiego kogoś — człowieka, instancji, instytucji — nie było.

Analogii można by tu szukać tylko z taką koncepcją organizacyjno-funkcjonalną: wyposażamy strażę ogniową w sikawki, ale klucze do szop, w których się mieszczą, ma w ręku główny komendant straży, — który wydaje je po zasięgnięciu opinii sztabu ochrony przeciwpożarowej. Nonsens takiej koncepcji organizacyjnej jest oczywisty. A przecież w naszym codziennym życiu co krok napotykamy sytuacje analogiczne. Wprawdzie nie zawsze grożą one pożarem czy eksplozją, ale ciążą, hamują, utrudniają, opóźniają, utrudniają. Co gorsza, przywykliśmy do tego i nawet jesteśmy skłonni uważać to za nieuniknioną cechę „planowego” działania.

3. Eksplozja grudniowa doprowadziła do zmian w kierowniczej sferze państwa. Jej akustyczny efekt wywołał chwilowy wstrząs, jakiś błysk świadomości — ale przecież sama eksplozja nie usunęła i usunąć nie mogła całego złożonego kompleksu swoich przyczyn, nie naruszyła niczego w układach instytucjonalnych, w strukturze i funkcjach całego państwowego organizmu. Nie zmieniła i zmienić nie mogła stanu dezorganizacji i bezwładu — nie przerwała żadnego z dokonujących się procesów, którym poświęciliśmy niniejsze rozważania. To zadanie dopiero stoi przed nami. Wymaga ono głęboko przemyślanego, systematycznego, zdecydowanego i ostrożnego zarazem działania. Musimy mieć świadomość, że wszystkie formy instytucjonalne będą miały naturalną tendencję do kontynuowania tych samych działań, stosowania tych samych metod, że nawet zmuszane do zmian, będą stosowały wybiegi, uniki, będą próbowały osłaniać się dekoracyjnymi posunięciami i deklaracjami — nie zmieniającymi w niczym istoty rzeczy.

Byłoby katastrofą dla kraju, dla naszej przyszłości, gdyby również z tego kolejnego doświadczenia próbował ktoś wyciągnąć wniosek, iż dla zapobieżenia podobnym wydarzeniom na przyszłość, trzeba na ten niespokojny kocioł społeczny nałożyć wzmocnione obręcze bezpieczeństwa. Nie potrzeba być specjalistą od wysokich ciśnień, aby rozumieć, że ta droga mogłaby prowadzić tylko

do nieszczęścia narodu, do następnej klęski tych, którzy z najlepszą nawet wolą chcieliby usunąć blokadę sterowniczego koła.

4. Problemem budzącym najgłębszą troskę, najbardziej zaciemniającym horyzont, jest ta spuścizna czternastolecia, która stanowi podstawę wyjściową do dzisiejszych i jutrzejszych poczynañ. Idzie nie tylko i nawet nie głównie o sytuację gospodarczą. Idzie o ogólną sytuację społeczną z jednej strony, z drugiej zaś o oblicze tych elementów, do których mogłyby się odwołać próby uzdrowienia, tego społecznego czynnika, który mógłby się stać napędową siłą trudnych zadań reformy.

Najtragiczniejszym spadkiem po tej fazie naszych dziejów jest społeczny rozkład oraz dezintegracja i dezorientacja tych sił, na których mogłyby się oprzeć celowe działania. Osobliwością kryzysu jaki przez ostatnie dziesięciolecie narastał w partii było, iż uniemożliwiona została jakakolwiek krystalizacja poglądów, jakakolwiek próba stworzenia programu, który wynikałby z rzetelnej analizy rzeczywistości. Za to stwarzał on niezwykle żywną głebę dla zamaskowanej, rozkładowej działalności wszelakich tajemniczych tendencji, grup i mafii.

Takim owocem czternastoletniego rozkładu był nurt, który doszedł do głosu w 1968 roku na fali tzw. wydarzeń marcowych. Próbowaliśmy powyżej dać pobieżną charakterystykę tego tworu ewolucji czternastolecia, podkreśliliśmy, że ten produkt procesów rozkładu pozostał na naszej społeczno-politycznej widowni główną siłą, do której mogą się odwołać czynniki podejmujące reformę. Ci, którzy z całą gorliwością przyczyniali się do dezorganizacji i rozkładu, mają teraz organizować i uzdrawiać, ci, którzy wykazali tyle zajadłości w niszczeniu ośrodków nauki i w opluwaniu naukowców, mają teraz organizować naukę i jej udział w społecznym i gospodarczym życiu kraju.

Tej rzeczywistości musimy spojrzeć w oczy. Już w dniach grudniowych zarysowała się groźna sprzeczność: stało się oczywiste, jeśli nie dla wszystkich, to dla uczciwej większości, że w tym kraju trzeba coś zmienić, przestawić, przeorganizować, szukać nowych form i metod, a jednocześnie odezwał się strach — nie zmieniać, nie „rewidować”, kontynuować to co było! Jest coś wstrząsającego w fakcie, że w niewiele dni po tragedii grudniowej — mogli się znaleźć ludzie wołający z wysokiej trybuny, że największym niebezpieczeństwem jest „rewizjonizm”! A więc nie sytuacja kraju, nie położenie i nastroje mas pracujących, nie sytuacja w partii niepokoiły ich — pierwszym zadaniem było rzucenie hasła, które tak wydatnie pomogło sparaliżować próby reformy

po 1956 roku i które służyło za narzędzie rozkładu przez całe czterdzieści lat.

Szczególny strach wykazują niektóre grupy przed „rewizją marca”. Daje się to porównać tylko z postawą szajki, która zagrabiła łup: nie można się przyznać do grabieży, bo chce się z łupu korzystać, trzeba przeto zająć pozycję integralnej obrony — nie było szajki, nie było grabieży — wszystko było zgodne z prawem i ideologią, należy iść dalej po tej drodze.

Można mówić o tragedii tej generacji uosobionej w „hunwejbrowskim” nurcie która przeszedłszy długą i zawiłą drogę poszukiwań i błędzeń wylądowała w obozie zastoju i reakcji, stała się po grudniu 1970 roku dokładnie tym samym, czym tzw. obóz „natoliński” był po październiku 1956 roku. Subiektywnie to dramat pokolenia, któremu nie pozwolono znaleźć dla siebie drogi, które chciało otworzyć sobie okno na jakąś perspektywę. Niestety okno, które otworzyło, wychodzi na historyczne śmietnisko. Obiektywnie — to dramat kraju, w którym nie było takiego miejsca i takiego hasła, pod którym mogłoby się skupić to wszystko, co żyje troską o społeczeństwo, naród, o jego przyszłość, o socjalizm.

Wyraziliśmy nadzieję, że w tym pokoleniu i wśród jego protagonistów są ludzie, których na ślepy tor zwiody szczególne okoliczności tamtej epoki, ludzie nie pozbawieni społecznego sumienia, że nowe warunki umożliwią ewolucję pozytywną, tak jak poprzednie sprzyjały negatywnej.

Przed wszystkim jednak pamiętać trzeba, że zasady ludzkiej energii, wiedzy, zdolności, inicjatywy są w naszym społeczeństwie, w tym samym wychowanym już w Polsce Ludowej pokoleniu, niewyczerpane. Trzeba tylko znaleźć do nich drogę, sięgać do tych, którym dotąd uniemożliwiano wykazanie swej troski i swych talentów. Musimy raz wreszcie przełamać zaklęty ciasny krąg, w którym w tym samym zespole kręcimy się w miejscu — łudząc się, że krocymy naprzód. Jeśli nie zdołamy tego dokonać, nie stworzymy takich warunków — losy kraju znów potoczą się po równi pochyłej a grudniowy epizod historia zapisze jako jeszcze jeden odruch rozpacz.

## ANEKSY

OPRACOWANIE I AKTUALNEJ SYTUACJI KRAJU

W 1963

Wydawnictwo Państwowe Naukowe, Warszawa, 1963, 120 stron, 1 zł 50 gr. (z 10% podatkami).  
ISBN 83-05-00111-1

Wydawnictwo Państwowe Naukowe





## Aneks 1

### UWAGI O AKTUALNEJ SYTUACJI KRAJU

(r. 1965)

W październiku 1963 roku praca ta przesłana została Władysławowi Gomułce. Zawierała następujące rozdziały: 1) *O społecznym klimacie*, 2) *O podstawowej sprzeczności w funkcjonowaniu władzy*, 3) *O metodach pracy centralnych organów partii*, 4) *Władza z związanymi oczami*, 5) „Dialog” ze społeczeństwem, 6) *O problemach kadrowych i personalnych*, 7) *W sieci wiejskich sprzeczności*, 8) *Problem organizacyjnej sprawności*, 9) *Sprawa postępu technicznego*, 1) *Pro domo sua*, 11) *Postowie*.

Poniżej krótkie fragmenty.

#### Z rozdziału I

Najbardziej uderzające jest stałe od kilku lat pogarszanie się „atmosfery społecznej”, tzn. nastrojów wśród szerokich mas społeczeństwa, które to nastroje w ostatnim roku przybierają charakter manifestowanego zniechęcenia czy wręcz rozdrażnienia. W szerokiej świadomości społecznej narasta to, co najtrafniej można by nazwać kryzysem zaufania do władzy, niewiara, że ludzie rządzący potrafią skutecznie przeciwdziałać licznym anomaliom naszego życia, potrafią znaleźć wyjście z gospodarczych trudności i wykorzystać ekonomiczne i społeczne siły kraju dla zapewnienia mu rozwoju. W szerokiej świadomości społecznej utrwała się poparte licznymi dowodami przekonanie, że władze nasze coraz mniej rozumieją sytuację, że brak im wszelkiej koncepcji a długofalowe działania zastępują doraźnymi, często nie-

konsekwentnymi i nieskutecznymi posunięciami, przybierającymi charakter szamotania się wśród sprzeczności.

Od razu na wstępie trzeba odeprzeć próby tradycyjnej argumentacji, że nastroje te właściwe są pewnym kręgom malkontenckim (przypisuje się je zwłaszcza inteligencji), że kształtują się pod wpływem „wrogiej propagandy”. Paroletnia obserwacja pozwala piszącemu te słowa stwierdzić, że jest wręcz przeciwnie, że po pierwsze nastroje te kształtują się pod wpływem zjawisk zachodzących wewnątrz kraju oraz że są najsilniejsze w środowiskach robotniczych..., że coraz silniej dają się one odczuć również w samym aparacie kierowniczym, w średnich, a nawet górnych jego kręgach...

Najbardziej uchwytne przyczyny tych nastrojów leżą nie bezpośrednio w sferze ekonomiki — w sytuacji ekonomicznej mas — acz ta musi, rzecz prosta, stanowić uzupełniające tło i w poszczególnych momentach dochodzić do głosu. Główne przyczyny leżą w sferze organizacji naszego życia i jej często rażących niedomagań. Ludzie obserwujący funkcjonowanie naszej maszyny państwowej z różnych punktów i szczerbli wszędzie widzą nazbyt wiele przykładów nieudolności, nieporadności, chaosu i dezorganizacji, jakże często bezmyślności i złej woli... Widzą ponadto, że tym stanem rzeczy na serio nikt się nie interesuje, nie podejmuje z tym walki, która by dała nadzieję na powolną choćby poprawę. W nazbyt wielu wypadkach widzą zjawisko przeciwne — próby podejmowane przez jednostki czy grupy są przyjmowane niechętnie, nieraz traktowane wręcz jako wroga dywersja a niewcześni inicjatorzy podlegają różnego rodzaju szykanom. Ludzie widzą ponadto, że dzieje to się często z aprobatą władz różnych instancji, które jeśli niekiedy nawet uznają słuszność takich potępionych inicjatyw — nie są w stanie potępionym autorom okazać nic więcej prócz współczucia.

Zrozumiałe, że wynikiem tego musi być pogłębianie się atmosfery zniechęcenia i obojętności, niechęci do wszelkiej inicjatywy i angażowania się... musi być zmniejszenie się zaufania do bezpośrednich i pośrednich kierowników, niewiara, że chcą i mogą poprowadzić do zmiany tego stanu rzeczy.

[...] Nie ma już dzisiaj chyba (rozsądnego) człowieka, który by nie rozumiał jak doniosły wpływ ów „klimat społeczny” wywiera na wszystkie funkcje wykonywane przez społeczeństwo — a funkcje produkcyjne w pierwszym rzędzie. Wystarczy obserwować zjawiska zachodzące w dziedzinie *wydajności pracy* w ciągu ostatnich lat, wystarczy porozmawiać z robotnikami i inżynierami — aby zrozumieć jak istotną rolę odgrywa tu „klimat społeczny”. Setki rozmów odbytych (i podsłuchanych) z robotnikami sprawdzają się do jednego stwierdzenia: wiemy, że pracujemy źle, że moglibyśmy w tych samych warunkach technicznych pracować o wiele lepiej — ale nie stwarzają nam do tego możliwości...

Dziś robotnik czy inteligent wzruszeniem ramion kwituje przy-

taczane dowody wyższości socjalizmu nad kapitalizmem — albowiem nie o to już dziś idzie. Dziś więcej niż 90 % robotników i inteligentów w ogóle nie podejmuje takiej dyskusji i zżyma się na naiwne dyrdymałki naszej propagandy. Żyjemy w fazie, w której ludzie socjalizm przyjęli... i interesuje ich sprawa, *jak ten socjalizm funkcjonuje*, interesują ich poszczególne posunięcia, decyzje, ich słuszność i celowość, interesuje ich, czy sprawy w zasięgu ich doświadczeń załatwiane są dobrze, czy potrafimy dobrze kierować, sprawnie organizować i mądrze przewidywać...

Pod żądaniem, aby obywatel „przekonał się do socjalizmu” raz na zawsze kryje się żądanie, aby uwierzył, iż wszystko, cokolwiek w imię socjalizmu będzie robił — będzie słuszne i dobre, innymi słowy jest to żądanie, aby obywatel przestał interesować się tym, co robi jego socjalistyczna władza — wystarczy jeśli będzie wykonywał co mu każą...

Aby sięgnąć do jaskrawego a niedawnego przykładu nieumiejętności „rozmowy ze społeczeństwem” i bezradności w przekonywaniu go o słuszności naszych poczynań, wystarczy wziąć sprawę niedawnej podwyżki cen energetycznych i przemówienie, jakie w tej sprawie przez radio i telewizję wygłosił Pierwszy Sekretarz KC.

Sposobu rozumowania i typu argumentów zawartych w tym przemówieniu nie można inaczej nazwać jak żalosnym nieporozumieniem, a efekt społeczny jaki wywołało, każe je uznać za ciężki błąd polityczny. Godzinę trwające buchalteryjne wyliczenia ile kto zyska i ile kto straci... były czystą fikcją nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością. Tylko włączenie na godzinę żelazka do prasowania (a żelazko jest prawie w każdej zelektryfikowanej izbie) obala całą tę bzdurną kalkulację. Trzeba było słyszeć komentarze odnośnie argumentu, że podwyżka dotknęła głównie więcej zarabiających — mianowicie posiadaczy telewizorów i lodówek. Elementarna znajomość naszego życia powinna podpowiedzieć, że... telewizory posiadają również ludzie o najniższych zarobkach... a ci, którzy jeszcze nie mają, marzą o jego posiadaniu i odkładają na ten cel oszczędności...

Nieprzyjazny ton, w jakim potraktowani zostali posiadacze telewizorów i w ogóle konsumenci prądu został silnie odczuty i to właśnie przez „szarych” ludzi... Powszechnie słyszało się wśród robotników: dlaczego częściej nas wykrętami, które ośmieszają naszych rządców?

[..]. Niestety nasz ustrój nie stworzył barometrów dla badania klimatów i ciśnień społecznych. Nie wiemy, i wolimy nie wiedzieć, jak ludzie reagują na nasze działania, na naszą propagandę, na wypowiedzi wodzów. Ciekawą próbką tej niechęci była prowadzona swego czasu dyskusja na temat badań ankietowych. Skoro badania nastrojów dawały odmienne wyniki niż sobie życzyliśmy — po prostu ich zakazano, a usłudni pseudomarksieści „teoretycznie” to uzasadnili. Jako jedyna sonda w społeczne na-

stroje pozostały nam policyjne meldunki i raporty donosicieli, które zawsze w każdym ustroju odznaczają się tą samą cechą — robione są według gustów i życzeń władzy.

## Z rozdziału II

Aby móc racjonalnie i skutecznie działać w określonej rzeczywistości społecznej, trzeba tę rzeczywistość możliwie wszechstronnie i możliwie obiektywnie znać — używając do jej poznania wszystkich środków, jakich dostarcza współczesna wiedza. Jest to szczególnie ważne w ustroju socjalistycznym, który z podstawowych dziedzin życia usunął żywiołowe niekontrolowane procesy i zastąpił je (w założeniu) świadomym kierowaniem. Wynika stąd, że pierwszym warunkiem skutecznego działania jest rozporządzanie *nowocześnie zorganizowaną i sprawnie działającą informacją*... Drugim koniecznym warunkiem musi być *gruntowna krytyczna analiza* posiadanych informacji...

Zrozumiałe, że w takiej krytycznej analizie winni brać udział najlepsi fachowcy, jakich posiadamy, że fachowcy ci w ocenie zjawisk i wyciąganiu z nich wniosków muszą mieć *całkowitą i bezwzględną swobodę* [...] Okazuje się jednak, że nie tylko szersze ujawnienie, analizowanie i krytykowanie tzw. „błędów” jest niebezpieczne ze względu na wpływ na społeczne nastroje. Niebezpieczne może być również zajmowanie się tym u góry, w samych kierowniczych ciałach i organach... Powstaje niebezpieczeństwo rozbicia jedności poglądów, co może prowadzić do wewnętrznego rozbicia, do frakcyjnych tarć i walk.

[...] Lęk, że wszelkie swobodne dyskusje mogą osłabić „jedność działania”, zagrozić rozbiciem, ukształtował... postulat „ideologicznej jedności” jako najwyższy imperatyw, któremu zostało podporządkowane wszystko inne. Na rzecz tego postulatu odstąpiono od najbardziej kardynalnych warunków, jakim musi odpowiadać każde racjonalne działanie [...] Przede wszystkim eliminuje się krytyczną ocenę istniejącego stanu rzeczy. Obraz rzeczywistości zaczyna się przystosowywać do naszych własnych życzeń, nie gardząc takimi środkami jak zniekształcenia i fałszowanie faktów, łącznie z naciąganiem i fałszowaniem statystyk.

Informacje dochodzące do kierowniczych ośrodków z reguły są „przystosowane”, preparowane tak, aby rządzącym jak najmniej zakłócały spokój, aby nie stwarzały podstaw do różnicy zdań i ocen...

Raporty policyjne i różnego rodzaju poufne doniesienia są na pewno rzeczą potrzebną i żadne państwo w żadnym ustroju się ich nie wyrzeknie. Dobrze jednak byłoby pamiętać, że są one krzywym zwierciadłem rzeczywistości... System raportów i poufnych doniesień stwarza ponadto szczelną warstwę izolującą władzę od społeczeństwa. Poprzez tę warstwę nie przedostanie się żadna

informacja czy opinia nie harmonizująca z ukształtowanymi już ocenami...

Dalszym następstwem zwycięstwa „ideologicznej jedności” nad potrzebą krytycznej analizy jest proces odsuwania fachowców-specjalistów [...]. W warunkach, w których nie ma możliwości (i potrzeby) swobodnego wypowiedzania poglądów przez powołanych specjalistów — ci stają się zbędni — *ich wartość bowiem tkwi w tym, że reprezentują własny pogląd*. Fachowiec, który w imię ubocznych celów — oportunistu życiowego, troski o „ideologiczną jedność” itd. przestanie wypowiadać to, co na podstawie swojej wiedzy o danym zagadnieniu sądzi — przestaje być fachowcem, staje się nie tylko nieużyteczny, ale wręcz szkodliwy. Można obserwować jak w naszym mechanizmie dokonuje się proces selekcji fachowców — odpadają wszyscy, którzy mają własny pogląd..., pozostają ci, którzy potrafią się dostosować, którzy dla życiowej wygody gotowi są poprzeć i uzasadnić każde stanowisko... dorobić teorię do wszystkiego...

### *Z rozdziału III: O metodach pracy centralnych organów partii*

Niemожność rozwiązania rzekomej sprzeczności między potrzebą dyskusji a koniecznością zachowania jedności najdotkliwiej odbija się na metodach pracy centralnych organów partii...

Dostatecznie przekonującej ilustracji dostarczają metody pracy KC i BP. Plenarne posiedzenia KC dawno przestały być (obecne pokolenie nie pamięta już czasów, kiedy były) terenem rzeczywistej oceny sytuacji wewnętrznej, ciałem, które by oceniało pracę głównych organów partyjnych oraz dyskutowało nad poważniejszymi projektami. Istotna rola tego ciała sprowadzona została do „manifestowania jedności z kierownictwem”. Każda próba krytycznej analizy jakiegoś posunięcia, projektu — staje się automatycznie naruszeniem jedności, godzeniem w linię partii i autorytet kierownictwa. Ludzie biorący udział w tych posiedzeniach zdają sobie sprawę, wiedzą, że każde tu wypowiedziane słowo nabiera swoistego znaczenia niezależnie od intencji wypowiadającego. Toteż nikt na tych posiedzeniach nie ośmieli się powiedzieć tego, co rzeczywiście myśli..., dyskusje na plenach KC ograniczają się do ubocznych wypadów i maskowanych porachunków — najczęściej zaś są defiladą jałowych deklaracji, którymi poszczególni ludzie chcą poprawić swoją notę w ocenach kierownictwa. Biuro polityczne traktuje plena KC jako zebrania informacyjne, komunikuje swoje stanowisko i żąda aprobaty traktując „dyskusję” jako dekoracyjną wstawkę.

Nie byłoby w tej sytuacji nic anormalnego. Plenum KC jest organem politycznym i choćby z tego powodu nie nadaje się do *merytorycznego* rozpatrywania i oceny zjawisk gospodarczych, organizacyjnych i wszelakich innych, w których sąd musi być

oparty na dokładnej znajomości sprawy, a często na wysokim przygotowaniu fachowym...

Pozostaje jednak pytanie, gdzie, w jakim punkcie, w jakim ogniewie naszego aparatu władzy istnieje i działa taki młyn, który by wszystkie projekty przepuszczał przez twarde kamienie krytycznej analizy. Okazuje się, że w całej strukturze naczelnych władz partii i państwa takiej komórki nie ma [...]. Skutki tej metodologii i tej techniki pracy nazbyt często ujawniają się w dotkliwej dla kraju formie. Doświadczenie wskazuje, iż w większości wypadków wady i błędy decyzji (np. w sprawach gospodarczych), które usiłujemy naprawiać, gdy maszyna została już w tym kierunku nakręcona — powiększając w ten sposób chaos organizacyjny i powodując straty — te błędy i ich następstwa znane były z góry, tylko nikt nie chciał o tym słuchać, a ludzi podnoszących nieśmiało zastrzeżenia traktowano niemal jak wrogów socjalizmu. [...]

#### *Z rozdziału IV: Władza z zawiązanymi oczami*

W warunkach wykluczenia krytyki całe dziedziny zjawisk muszą zniknąć z pola widzenia — przede wszystkim muszą pozostać niezauważone wszystkie zjawiska i procesy negatywne, powstające bądź jako rezultat naszych błędów, bądź jako niezamierzone i nieprzewidziane uboczne konsekwencje naszego nawet słusznego działania. [...]

Jaka taka sprawność została osiągnięta w informacji statystycznej. Sama jednak statystyka to dopiero surowy materiał dla oceny zjawisk i procesów. Przy pomocy statystyki, podobnie jak i przy pomocy Biblii lub cytatów z klasyków marksizmu dowieść można wszystkiego. Natomiast panują mistyczne ciemności w sferze zjawisk jakościowych, tam gdzie trzeba dostrzegać i oceniać fakty, zjawiska, procesy, ludzi, szukać przyczyn lub przewidywać skutki.

Istnieje w całym aparacie partyjnym rodzaj uświęconej już długoletnią praktyką konspiracji — żaden sekretarz KW (a jest przecież paru rozsądnych) nie ośmieliłby się przedstawić sytuacji w swoim województwie tak, jak ją rzeczywiście widzi i ocenia — i podobnie jest na niższych hierarchicznie szczeblach. Uświęcony schemat takich ocen każe na pierwszym miejscu przedstawiać „osiągnięcia”, potem w ściśle wymierzonych słowach wspomnieć o „niedociągnięciach i brakach”, z solennym zapewnieniem, że „partia te braki widzi i z nimi walczy, choć ma trudności”. Schemat ten znakomicie nadaje się, aby przy pewnej wprawie, bez większego odbiegania od prawdy, dać obraz niewiele mający wspólnego z rzeczywistością. Takie, w uproszczeniu tu przedstawione, działanie aparatu stanowi doskonałą warstwę izolacyjną między wierzchołkiem kierownictwa a naziemną gospodarczą i społeczną rzeczywistością. Z reguły kierownictwo jest informo-

wane o „wybranych” zagadnieniach w sposób „dostosowany” do potrzeb. Innymi słowy: system informacji zastąpiony został systemem dezinformacji. [...]

Prostym następstwem takiej sytuacji jest zawsze poszukiwanie „pewnych” informacji poprzez aparat policyjny oraz system raportów delatorskich. Znamy z niezbyt dawnych doświadczeń, jak taki system działa, jak potrafi się rozbudować, opłacać całe życie społeczne, stworzyć stan, w którym wszyscy donoszą na wszystkich. Podkreślono wyżej, że żadne państwo nie może się wyrzec tego źródła informacji [...] Tam jednak, gdzie policyjne informacje stają się podstawą oceny zjawisk społecznych, decydują o ocenie ludzi, gdzie stają się przesłanką politycznych posunięć — tam należy widzieć znamiona rozkładu. Polityk, który w ocenie zjawisk opiera się na delatorskich doniesieniach, wszedł na drogę, z której odwrót jest niezwykle trudny i która zawsze w historii prowadziła do katastrofy. [...]

*Pierwsza zasada* systemu policyjno-delatorskich doniesień polega na tym, że zawsze informowany otrzymuje takie informacje i takie oświetlenie faktów jakich sobie życzy...

*Druza zasada* systemu policyjno-delatorskiego to tworzenie opinii, iż oni jedni — delatorzy — są pewnym oparciem dla rządzących, oni jedni odkrywają prawdę, podczas gdy w reszcie społeczeństwa nurtują tendencje, przed którymi trzeba się mieć na baczności...

*Trzecią zasadą* policyjno-delatorskiego systemu informacji jest, iż w swej ukształtowanej już postaci przestaje być tylko biernym narzędziem... Informacje i oceny zaczynają się układać w logiczny system, aparat informacji przejmuje inicjatywę w wyszukiwaniu „odpowiednich” informacji, zaczyna odgrywać rolę czynnika politycznego, który dostarcza gotowych przesłanek do politycznych posunięć.

Na tej drodze, jak wiemy z doświadczeń, można zejść bardzo daleko, a drogi, o których tu mowa były dobrze wydeptane i bynajmniej trawą nie zarosły<sup>1</sup>.

Jest rzeczą oczywistą, że informacja pełna i obiektywna *zostawia decyzję temu, komu jest udzielona*. Informacja delatorska („poufna”) musi logiką rzeczy być niepełna, tendencyjna i jeśli nawet, co się rzadko zdarza, wolna od kłamstwa — zawiera w sobie już przesłanki wyboru — *zawiera gotową decyzję*. Informowany nie ma możliwości sprawdzenia, zweryfikowania delatorskiej informacji, „weryfikacja” jest możliwa tylko w tym samym kręgu informatorów, co da, oczywiście, potwierdzenie... Gdyby informowany chciał wyjść poza ten krąg... musiałby zakwestio-

---

1. Piszący te słowa stwierdził z *całą pewnością*, że metody fabrykowania zeznań przez organa bezpieczeństwa i prokuratorów, zmuszanie ludzi do podpisywania podszywanych im oskarżających kogoś oświadczeń, zbieranie „dowodów” przeciwko niewygodnym ludziom — wróciły i uprawiane są z całą cyniczną bezkarnością.

nować wiarogodność całego swojego aparatu informacyjnego — a to byłoby już posunięciem niemal rewolucyjnym. Jedynym i przymusowym wyjściem w tym systemie jest wierzyć swemu aparatowi informatorów i postępować zgodnie z jego sugestiami. [...]

W ten oto sposób między rządzącymi a społeczeństwem, między władzą a rzeczywistością narasta coraz silniejsza warstwa izolacyjna, przez którą już nie przenikają żadne echa. Z wysokości swej wieży rządzący z zawiązanymi oczami i zaklejonymi uszami wydają oceny, wyroki i rozkazy.

Niezwykle pomocnym narzędziem w likwidowaniu w zarodku każdej próby sensownego myślenia i działania jest słówko „rewizjonizm”. Wszystko, co komuś nie odpowiada, jest mu z jakichś względów niewygodne, każda inicjatywa, próba naprawy zła może być ocechowana piętnem „rewizjonizmu”, od którego nie wymyślono jeszcze odwołania. Tę samą rolę, jaką w długich dziejach ludzkości odgrywały posądenia o czary, oskarżenia o herezje... — tę rolę pełni dzisiaj „rewizjonizm”. Tworzy się sztuczną atmosferę zagrożenia, stwarza przekonanie, że to właśnie jest największym niebezpieczeństwem, przeciwko któremu trzeba rzucić wszystkie siły. [...] Aby uniknąć podejrzeń, że idzie tu o przemykanie antysocjalistycznych poglądów — piszący te słowa odkłada na bok wszelkie spory o marksowską teorię, wszystkie problemy ideologii. Tu już nie o ideologię idzie — lecz o sens tego co robimy, o rzeczy wymierne, nie przy pomocy cytatów, lecz liczb i faktów — o skutki naszego działania.

Metody, przy pomocy których elementy czarnosecinne, wywierają presję, terroryzują i zmuszają do milczenia wszystkich, którzy próbują myśleć, są jednym z charakterystyczniejszych znamion naszej rzeczywistości. [...] Niezwyciężonym i od dawna wypróbowanym ich orężem jest „rewolucyjność”, gorliwość w tropieniu „śladów burżuazyjnej ideologii”, „radykalizm” w rozstrzyganiu zagadnień i odwoływanie się do „woli klasy robotniczej”. [...] Nie zdarzyło się — od narad na najniższych komórkach aż do plenum KC, aby ktoś ośmielił się przeciwstawić czarnosecińcowi, zdemaskować szkodliwość i reakcyjność jego postawy. Wszyscy do naczelnych władz włącznie posłusznie ulegają terrorowi.

### *Z Rozdziału V: „Dialog ze społeczeństwem”*

[...] Dialog ze społeczeństwem odbywa się poprzez ściany wyłożone tak grubą warstwą izolacyjną..., że nie przechodzi przez nią żaden ludzki dźwięk ani w jedną ani w drugą stronę. [...]

Im bardziej oddala się możliwość porozumienia ze społeczeństwem, im bardziej społeczeństwo czuje, że kierownictwo nie zna rzeczywistego obrazu sytuacji — tym bardziej i uporczywiej podkreśla się, iż kierownictwo „wie wszystko” i „wie lepiej” —



ma przecież... tajne informacje, których zwykli śmiertelnicy nie mają.

Piszący te słowa dwukrotnie był świadkiem jak na masowej konferencji jakiś szeregowy członek partii z terenu — po raz pierwszy zapewne zabierający głos w obecności I Sekretarza partii — chciał podzielić się swoimi spostrzeżeniami. Zaczął, iż korzystając z obecności I Sekretarza chciałby opowiedzieć, bo kierownictwo na pewno nie wie... W tym miejscu przerwał mu groźny głos I Sekretarza: „kierownictwo wie!”. Sytuacja komentarzy nie wymaga. [...] Kto z kogo chce tu robić „balona”? Wszak ten człowiek z terenu wie aż nazbyt dobrze, że w zasięgu jego doświadczeń dzieją się rzeczy, o których na pewno nikt nigdy kierownictwu nie doniesie. „Kierownictwo wie” może oznaczać tylko, że kierownictwo nie chce wiedzieć...

### *Z rozdziału VI: Uwagi o problemach kadrowych i personalnych*

[...] W tym klimacie kształtują się swoiste kryteria oceny ludzi i ich przydatności. Wysoką notę... uzyskują umiemy przystosować się do każdego życzenia, ci, o których wiadomo, że inicjatywą czy myśleniem nie „sprawią kłopotu”. W konsekwencji zdobywają zaufanie i najwyższą notę z przydatności ludzie bez idei i skrupułów, gotowi zrobić wszystko, czego się od nich żąda i wszystkiego się wyprzec. Często stawia się na ludzi skompromitowanych, ponieważ to czyni ich uległymi. Trzecią grupą uzyskującą dobrą notę są różnego rodzaju miernoty lub zgoła głupcy, którzy już choćby z tego powodu dają spore gwarancje. [...] Nikt i nigdy nie analizował, kto należy i kto wstępuje do partii — choć to problem zdawałoby się zasadniczej doniosłości. [...]

Nie znaczy to, że zarówno do aparatu partyjnego, gospodarczego czy rad narodowych nie przychodzą również ludzie rozsądni, znający się na rzeczy i wewnętrznie uczciwi. Na pewno jest ich niemało, ale ostać się mogą jedynie pod warunkiem dostosowania, rezygnacji z tego, co sami w sobie uważają za najcenniejsze. Muszą nauczyć się podwójnego życia, podwójnej buchalterii własnej wiedzy i własnego sumienia. Wiele rozmów i pośrednich świadectw dowodzi, że znaczna ilość ludzi z partyjnego i niepartyjnego aparatu zachowała rozsądek i trzeźwość widzenia, rozumie błędy swego działania, często wie co i jak należałoby w danej sytuacji robić — i przeżywa wewnętrzne rozdarcie, nie tylko dlatego, że nie może zgodnie ze zdrowym rozsądkiem działać, ale nawet nie może się do swoich poglądów przyznać.

Wystarczy przeanalizować kilka posunięć personalnych w centralnym aparacie w ciągu ostatnich lat — aby zdać sobie sprawę, jaki stąd płynie wzorzec dla całego kraju. [...]

Dalszym a nie mało ważnym następstwem takiego doboru naturalnego jest jego wpływ na atmosferę społeczną. Posunięcia personalne dokonywane są jakby dla podkreślenia, że nasze wła-

dze są, przynajmniej od opinii społecznej, całkowicie niezależne. Niemal jak Kaligula mogą mianować senatorem kogo chcą [...]. Szczególnie ostro spadek autorytetu władz daje się odczuć w środowiskach inteligencji technicznej, która mocno reaguje na objawy chaosu i dezorganizacji. [...] Takie kryteria doboru kadr z góry przenoszą się na województwa, powiaty, gromady — na cały kraj. Przy typowaniu ludzi na poszczególne stanowiska przestają odgrywać rolę względy merytoryczne, na pierwszy plan wysuwa się tzw. „polityczne zaufanie”, ocenia się czy kto jest „nasz”, „swój”, „pewny”, ponieważ gdzieś, kiedyś coś powiedział, co się komuś nie podobało. W tym klimacie nie tylko mogą, ale muszą się kształtować kliki...

Poruszony tu problem jest jednym z najboleśniejszych zjawisk naszej rzeczywistości, zjawiskiem wywierającym dalekosiężny wpływ na cały klimat społeczny, na stosunek społeczeństwa do władz, na całą polityczną atmosferę kraju. Tym bardziej, że tego rodzaju zjawiska są dostatecznie częste, aby w opinii ogółu uznane były za powszechne, za stałą cechę naszego ustroju. [...] Istnieje w społeczeństwie głęboko ugruntowane przekonanie, że uczciwość nie popłaca, że człowiek uczciwy nie utrzyma się nigdzie. Wystarczy dwóch lub trzech łobuzów, którzy postanowią go zlikwidować, aby z ideowego człowieka, często zdolnego fachowca, zrobić wroga, malwersanta, złodzieja, omotać go siecią podejrzeń, oskarżeń i insynuacji, z której nie wyplącze się nigdy... Co ważniejsze... chuligan i łajdak, operujący donosem, insynuacją zawsze znajdzie jako „czujny obywatel” chętne ucho w instancjach partyjnych, w organach bezpieczeństwa, w prokuraturze. Jest tu od wieków istniejąca nierówność sił między prawdą i kłamstwem, którą tak trafnie zauważył Anatol France. Prawda jest szara i uboga, kłamstwo ma do swojej dyspozycji całą genialną ludzką pomysłowość, mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

[...] Natomiast smutny i groźny w konsekwencjach jest fakt, że w strukturze organów partyjnych, w metodach ich pracy i sposobach myślenia nie ma miejsca dla żadnej komórki, która byłaby odpowiednikiem „San-epidu”, która by stale czuwała nad stanem moralnego i politycznego zdrowia, któraby umiała zjawiska chorobowe rozpoznać i stosować wobec nich skuteczne środki leczenia i profilaktyki, która podnosiłaby ogólnokrajowy alarm po stwierdzeniu choćby jednego przypadku niebezpiecznej zaraźliwej choroby.

### *Z rozdziału VIII: Problem organizacyjnej sprawności*

Głównym czynnikiem wpływającym na społeczne nastroje jest daleko nie zadawalająca sprawność w funkcjonowaniu aparatu państwowego. Objawy indolencji i marazmu, jakie gołym okiem można obserwować, są następstwem szeregu negatywnych procesów... i same stają się przyczyną różnego rodzaju zjawisk roz-

kładowych. Na wielu historycznych przykładach można wskazać, że organizacyjna niesprawność maszyny państwowej staje się poważniejszym źródłem niezadowolenia niż bezpośrednio przyczyny ekonomiczne. Niesprawność organizacyjna i jej następstwa niezwykle silnie działają na sferę emocjonalnego stosunku obywatela do społecznej rzeczywistości. [...] Powstaje niebezpieczna moralnie sytuacja, w której obywatel *wie co i jak należy robić*, aby poprawić, ulepszyć, usunąć ujawnione wady i błędy, a *nie wiedzą tego kierujący* daną dziedziną... Sytuacja, w której szeregowy obywatel w swoim subiektywnym przekonaniu jest mądrzejszy od władzy, zawsze jest niebezpieczna — jej pierwszym następstwem jest dalsze rozluźnianie się dyscypliny społecznej lub obojętny stosunek do stojących przed obywatelem zadań [...].

Wskaźnik organizacyjnej sprawności jest wskaźnikiem syntetycznym. Spotykają się w nim cztery podstawowe elementy: 1) adekwatność form organizacyjno-strukturalnych, 2) sprawność kierowania czyli rządzenia, 3) sprawność przebiegu samych procesów zarówno produkcyjnych jak i administracyjnych, 4) czynnik społeczno-psychologiczny, którego zewnętrznym wyrazem jest społeczna dyscyplina. Dopiero współgranie tych czterech elementów stwarza warunki stałego rozwoju i postępu, umożliwia pełne wykorzystanie istniejących obiektywnych przesłanek rozwoju.

Niestety w ciągu osiemnastu lat naszej socjalistycznej historii panowała wszechwładnie filozofia, która odwracała uwagę od problemów organizacyjnych. [...] Ogromny wysiłek włożono w jałowe i absolutnie puste werbalne „przekonywanie”, jakby nie dostrzegając, że nawet wtedy kiedy okazałoby się ono skuteczne i tak by nic nie pomogło. Najbardziej przekonani ludzie nie będą dobrze pracowali w źle zorganizowanym i źle kierowanym zakładzie czy instytucji... Niestety „wskaźnik politycznej świadomości” ciągle jest tym odcinkiem, na który główną uwagę zwraca nasz polityczny aparat partyjny, pogłębiając tym w istocie organizacyjny chaos.

[...] Problem organizacyjnej sprawności jest podstawowym kluczem racjonalności naszego działania. Nasze braki w tej dziedzinie można wskazywać na każdym chyba odcinku, nie tylko gospodarczej rzeczywistości. Łatwo dojsć, że korzeniami sięga on głęboko aż do organizacji i metod pracy naczelnich organów. Mimo chodem tylko spróbujmy dotknąć głównego źródła decyzji.

[...] Od dawna już ukształtowało się, że jedynym rzeczywiście pracującym i decydującym organem jest Biuro Polityczne KC. Biuro Polityczne podejmuje decyzje w sprawach wewnętrznych i zagranicznych, gospodarczych, organizacyjnych, ideologicznych, kulturalnych. Do decyzji B.P. idą sprawy poszczególnych zakładów i instytucji, sprawy personalne i wszelakie inne. Powstała sytuacja, w której organ ten stał się „wąskim gardłem” hamującym bieg spraw i procesów, które czekają na decyzję. B.P. często zajmuje się sprawami, które w dobrze zorganizowanym państwie należą do kompetencji niższych organów administracji. Naturalną

konsekwencją tej swoistej centralizacji jest ubezwłasnowolnienie aparatu administracyjnego, jest pozbawienie całej maszyny państwowej podstawowej jej cechy-samoczynności działania w ustalonym kierunku. Doniosłą konsekwencją tego modelu jest usunięcie z pracy poszczególnych organów i komórek dwu rzeczy: *inicjatywy i odpowiedzialności*.

Jeden atoli skutek tego stanu jest najniebezpieczniejszy, żeby nie powiedzieć groźny. Oto instytucja naczelna pochłonięta łątniem tysięcy ujawniających się dziur działa metodami straży ogniowej czy pogotowia ratunkowego. Biuro Polityczne jest wszystkim: sejmem, Komisją Planowania, rządem, ministrem, dyrektorem, naczelnikiem, czasem również referentem, jest kierownikiem wydziału kadr, księgowym, cenzorem, sędzią śledczym, jednym słowem wszystkim. Ale tym samym nie jest tym, czym być powinno — organem czujnie obserwującym procesy ujawniające się w życiu społecznym i w działaniu wielkiej maszyny państwowej. Tego w tym kraju, niestety, nie śledzi nikt.

### *Z Postawia*

[...] Najwyższy czas wyjść z zakłętego koła fikcji — fikcyjnych sądów, rzekomych mniemań i zakłamanych ocen. Na pewno kierownictwo partii jest w najniewygodniejszej pozycji, jeśli idzie o obserwację nie tylko zjawisk ale i ludzi i ich poglądów. Niestety ludzie nawet z najbliższego kręgu z reguły nie ujawniają swych rzeczywistych poglądów na sprawę... Nie dlatego, iżby uprawiali fałsz — tacy na pewno są, ale nie stanowią większości..., przede wszystkim dlatego, że nie stworzono możliwości wypowiedziania własnych sądów.

Piszący te słowa wiele razy uczestniczył w dyskusjach, również z udziałem najwyższych osób z kierownictwa. Były wypadki, że choć omawiane były najbliższe mi sprawy, nie zabierałem głosu. Przecież wiedziałem, że wielu dyskutujących wyklada poglądy nie raz diametralnie sprzeczne z tymi, jakie wypowiadali w mniej oficjalnych dyskusjach i rozmowach. Z czym więc dyskutować? Z fikcją? Z dwulicowością, ze zjawiskiem społecznego rozkładu? [...]

Trzeba przypomnieć oczywistą i trywialną już prawdę, że odpowiedzialność kierowników jakiegokolwiek dziedziny i jakiegokolwiek szczebla — nie kończy się na podjęciu mniej czy więcej słusznej decyzji. Przeciwnie — wtedy się dopiero zaczyna... Jak mawiał Marks — próbą puddingu jest jedzenie, nie wystarczy że kucharz miał dobre intencje, albo że zastosował dobry przepis. Nie ma bowiem decyzji słusznych „sami w sobie”. Można pokazywać palcem dziesiątki przykładów, kiedy decyzje „same w sobie” może nawet i słuszne prowadziły w praktyce do ujemnych następstw. Bowiern co trzeba w Polsce robić, to na ogół wiedzą wszyscy (trzeba robić tak, żeby było lepiej...) tylko nikt

nie wie jak to zrobić, a większość naszych poczynań daje wyniki bądź niezadawalające, bądź przeciwne zamierzeniom...

Próbą wskazania szeregu negatywnych zjawisk i procesów są powyższe uwagi. Jedynym ich celem jest skłonienie kierownictwa do spokojnej i poważnej refleksji. Wolno mi być optymistą, że po spełnieniu tego warunku znajdują się wytyczne dla skutecznego praktycznego działania.

Władysław *BIEŃKOWSKI*

Warszawa, maj-październik 1963 r.

## Aneks 2

Michał KALECKI

### UWAGI O PLANIE GOSPODARCZYM NA LATA 1966-1970 (F r a g m e n t y)

XV Plenum KC PZPR uchwaliło „Wytyczne rozwoju gospodarczego Polski w latach 1966-1970. W dyskusji nad „Wytycznymi” zabrał głos prof. Michał Kalecki (*Życie Gospodarcze* Nr 15, 1964).

Okres ten posiada pewne bardzo istotne cechy charakterystyczne:

1. W ciągu lat 1966-70 następuje bardzo przyspieszony w stosunku do poprzedniego okresu pięcioletniego przyrost zawodowo czynnych przy pewnym (niewielkim) zwolnieniu przyrostu całej ludności. Liczba zawodowo czynnych wzrośnie w tym okresie o 10 %, a liczba ludności o nieco mniej niż 6 %. W ustroju socjalistycznym wolnym od „klęsk urodzaju” jest to objaw wysoce korzystny.

2. Okres 1966-70 następuje po okresie pięcioletnim, w ciągu którego średnie tempo wzrostu stopy życiowej było słabe. Zadaniem tego okresu jest zatem wyrównanie tego niepomysłnego stanu rzeczy przez poważną poprawę spożycia, tak jak to miało miejsce w latach 1956-60 po niekorzystnym kształtowaniu się konsumpcji w okresie planu sześcioletniego.

3. Nie ulega wątpliwości, że w rozwoju gospodarczym Polski Ludowej handel zagraniczny był stale bardzo istotnym wąskim gardłem. Otóż w okresie 1966-70 sytuacja w tej dziedzinie nie będzie z pewnością łatwa. Można nawet przypuszczać, że obiektywne trudności zrównoważenia bilansu płatniczego ulegną raczej z pewnych względów zaostrzeniu. Dlatego integralnym elementem planu na ten okres winny być środki ograniczające import lub forsujące eksport. (Nie należy jednak eliminować takiego poży-

tecznego importu, który w ten czy inny sposób przyczynia się do pokrycia go za pomocą korzystnego eksportu).

Z tych cech rozpatrywanego okresu wynikają już główne kierunki planu pięcioletniego. [...] Obfitość siły roboczej winna być mianowicie wykorzystana dla zmniejszenia kapitałochłonności inwestycji, co redukuje nakłady niezbędne dla osiągnięcia danego przyrostu dochodu narodowego, a więc wpływa dodatnio na kształtowanie się spożycia. W tej mierze, w jakiej siła robocza przyczyniać się może nie tylko do oszczędności nakładów inwestycyjnych ale i surowców, obfitość jej ułatwiać będzie również sytuację w handlu zagranicznym... To właśnie podejście służyć winno osiągnięciu naczelnego celu planu na lata 1966-70, za który uważam podniesienie spożycia na głowę ludności w tym okresie w tempie możliwie wysokim, przy zabezpieczeniu dalszego rozwoju gospodarczego.

[...] Co proponują „Wytyczne” dla osiągnięcia pełnego zatrudnienia przy najmniejszych nakładach inwestycyjnych poza lepszym wykorzystaniem istniejących zakładów? Otóż z paru ustępów „Wytycznych” oraz z przemówień na XV Plenum wnioskować można, że chodzi tu nie tyle o modyfikację *techniki* produkcji, ile o modyfikację jej *struktury*. Proponuje się mianowicie zatrudnienie w *pracochłonnych gałęziach*, jak w usługach, w przemyśle galanteryjnym, odzieżowym, zabawkarskim itp. [...] Przesunięcia takie rzutują bezpośrednio albo na strukturę eksportu albo też spożycia wewnętrznego. W odniesieniu do eksportu wchodzi od razu w rachubę kwestia zbywalności w szerokim zakresie takich produktów, które mimo wielokrotnych wysiłków odgrywały w nim dotąd rolę marginesu. [...] Ale również wąskie są granice dla modyfikacji struktury zbytu wewnętrznego. Jajek nie można na dużą skalę zastąpić zabawkami. Przy zachowaniu obecnych relacji cen zabawki nie zostałyby po prostu zakupione. Gdyby natomiast podnieść znacznie ceny na jajka a obniżyć ceny na zabawki..., to konsumenci nie uznaliby tego za spożycie równoważne „normalnemu” wariantowi...

Dlatego też uważam, że droga, na którą tu wkroczone, jest niebezpieczna, bo może się okazać nierealna lub też doprowadzić do wypaczenia struktury spożycia. Za właściwą metodę uważam modyfikację *techniki* produkcji, o której wyżej była mowa...

Nieprzystosowanie techniki produkcji do bilansu siły roboczej występuje w „Wytycznych” szczególnie jaskrawo w odniesieniu do rolnictwa. Przy założeniu niezmiennej obsady gospodarstw chłopskich nakłady inwestycyjne na mechanizację wydają się nadmierne. Do dysproporcji przyczynia się jeszcze fakt stosunkowo niewielkiego wzrostu mało kapitałochłonnej produkcji hodowlanej wynikający z ograniczenia przywozu zboża, który ma ustać w 1970 roku. W rezultacie stosunek nakładów inwestycyjnych do przyrostu produkcji czystej w rolnictwie okazuje się niezwykle wysoki. [...] Należy przy tym przypomnieć, że struktura spożycia planowana w „Wytycznych” nastęrcza pewne wątpliwości

na skutek „pracochłonnej części” masy towarowej z jednej strony i niskiego stosunkowo wzrostu produkcji hodowlanej — z drugiej...

Nasze sugestie co do odmiennego ukształtowania planu na okres 1966-1970 zaczynamy od rozważania na temat struktury i wielkości inwestycji. [...] Zaczniemy od tego, że nie zamierzamy proponować zwolnienia ekspansji gałęzi surowcowych, które to surowce miałyby być miast tego zdobywane w handlu zagranicznym w zamian za mniej kapitałochłonny eksport wyrobów gotowych. Należy bowiem uznać, że realizacja już obecnie założonego eksportu tego typu uznana być winna za zadanie bardzo trudne i że dalsze rozszerzanie planów w tym zakresie byłoby niezmiernie ryzykowne. Z tego nie wynika jednak, że niemożliwe jest poczynienie oszczędności w nakładach inwestycyjnych potrzebnych dla uzyskania *danego* przyrostu produkcji surowcowej. Szczególnie istotna jest tu sprawa zastosowania systemu czterozmianowego w nowych kopalniach węgla i miedzi (w tym jedna zmiana remontowa). Pozwoliłoby to na zmniejszenie dokonywanych w tych dziedzinach inwestycji.

Dla całości przemysłu sugerowaliśmy wyżej przejmowanie pracochłonnych i kapitałoszczędnych wariantów technologicznych. (Dużą rolę odegrać w nich może uzyskiwanie przyrostu produkcji za pomocą modernizacji starych zakładów). [...]

[W rolnictwie] przy założeniu niezmienności obsady gospodarstw chłopskich planowany efekt produkcyjny osiągnięty być może przy niższych nakładach na mechanizację. Biorąc nawet całkowicie pod uwagę niezbędne dla wykonania planów produkcji roślinnej zaopatrzenie w maszyny PGRów, spółdzielni produkcyjnych oraz kółek rolniczych przejmujących podupadłe gospodarstwa chłopskie — wydaje się, że suma nakładów w okresie 1966-1970 mogłaby być obniżona co najmniej o 25 mld. zł. Tę właśnie sumę zakładamy jako wartość oszczędności w zakresie inwestycji produkcyjnych w stosunku do obecnego planu...

Należy zauważyć, że inwestycje nieprodukcyjne założone są na poziomie bardzo niskim w stosunku do całości inwestycji i że pewna korektywa w tym zakresie byłaby pożądana. Proponuję podniesienie inwestycji nieprodukcyjnych w okresie 1966-70 o 5 mld. zł., a mianowicie w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego... Należy przewidzieć w rozpatrywanym okresie dodatkowe inwestycje produkcyjne w wysokości około 5 mld. zł. Biorąc tę korektywę pod uwagę dochodzimy ostatecznie do zmniejszenia inwestycji produkcyjnych w stosunku do obecnego planu o 20 mld. zł. i do zwiększenia inwestycji nieprodukcyjnych (na drodze podniesienia dochodu narodowego) o 5 mld. zł. Udział innych inwestycji nieprodukcyjnych w całości inwestycji byłby jednak nadal niższy aniżeli w bieżącej pięcioletce [...].

Zwróciliśmy już uwagę na fakt, że niska ekspansja tej produkcji (hodowlanej) założona w „Wytycznych” przyczynia się poważnie do bardzo słabego wzrostu produkcji czystej w rolnictwie (mn.w. 1,5 % rocznie). Należy dodać, że realizacja takiego pro-



gramu napotka w praktyce na liczne trudności. Oczywiście, że szybszy wzrost produkcji hodowlanej a mianowicie żywca świńskiego i jaj jest pożądanym z najrozmaitszych względów. Zwiększyłyby on dochód narodowy i spożycie prawie o całą wielkość nadwyżki produkcji finalnej nad paszą w porównaniu z obecnymi założeniami, ponieważ nie wymagałyby istotnych nakładów inwestycyjnych. Przyczyniłby się on również do poprawy struktury spożycia. Wreszcie na szybszym wzroście produkcji zwierzęcej skorzystałyby w dużej mierze drobne gospodarstwa chłopskie [...].

Zakładając na tej podstawie wymieniony wyżej import zbóż i podniesienie wskaźnika produkcji hodowlanej osiągamy w roku 1970 przyrost dochodu narodowego o 3,5 mld. zł. Wraz z przyrostem odpowiadającym zwiększeniu inwestycji nieprodukcyjnych wyniesie to 6 mld. zł. W rezultacie tempo wzrostu dochodu narodowego do podziału podniesie się z 5,6 do 5,8 % rocznie. [...] Spożycie będzie mogło być podniesione o 10,5 mld. zł. To pozwoli na podniesienie tempa wzrostu spożycia w okresie 1966-1970 z 4,8 do 5,8 % rocznie, a więc tempo wzrostu stopy życiowej z 3,6 do 4,3 % rocznie. Jeśli chodzi o roczne tempo wzrostu płacy realnej to... wynosiłoby ono ze względu na wzrost zatrudnienia o 2 % rocznie — 3,5 % wobec 2,8 % w obecnym planie.

[W dalszym ciągu Kalecki omawia posunięcia organizacyjne w dziedzinie: projektowania, inwestycji, oszczędności surowcowych i polityki eksportowej].

### *Uwagi końcowe*

Po przeczytaniu powyższego niejednemu nastęrczy się refleksja, że podniesienie tempa wzrostu stopy życiowej o 0,7 % nie warta jest tyle zachodu. Przede wszystkim nie gardźmy takim przyśpieszeniem wzrostu spożycia, cudów w tej dziedzinie nie ma i każde dodatkowe osiągnięcie winno być wysoko cenione. Przecież wzrost stopy życiowej założony w „wytocznych” wynosi 3,6 % rocznie w stosunku do czego 0,7 % oznacza dwudziestoprocentowe podniesienie...

Tym niemniej uważam, że powyższe propozycje skierowane są wyłącznie, czy nawet głównie na osiągnięcie dodatkowego 0,7 % tempa wzrostu stopy życiowej. Wiele z nich zmierza bowiem do urealnienia tego wzrostu przyjętego w „Wytocznych”, jak również do urzeczywistnienia postulatu pełnego zatrudnienia.

Głównym jednak celem niniejszego artykułu jest zarysowanie takiego przejścia do planowania gospodarczego, które w sposób realistyczny zmierza do osiągnięcia najszybszego postępu w zakresie stopy życiowej, zgodnego z długofalowym rozwojem gospodarczym.

(Trafność uwag Kaleckiego została w pełni potwierdzona w toku reali-

zacji planu oraz wynikiem, jakim zamknął się rok 1970. Niestety uwagi te zostały demonstracyjnie zlekceważone. Jedynym ich echem była wypowiedź na Konferencji Warszawskiej: „Profesorowie z tytułami, poważni ludzie, zamiast prowadzić prace badawcze, pomóc, pisać bzdurne tezy”).

### *Aneks 3*

#### LIST DO WŁADYSŁAWA GOMUŁKI Z DN. 11 MARCA 1970 ROKU (Fragmenty)

Sytuacja w jakiej się znalazłem, moja postawa wobec wydarzeń rozgrywających się w kraju, wobec kierownictwa partii, domagają się komentarza. Chcę na wstępie i z góry odrzucić jak najdalej od siebie zarzut „odstępstwa” czy niełojalności wobec ludzi, z którymi łączyła mnie wspólność myśli i dążeń, którzy okazywali mi zaufanie i których miałem prawo uważać za przyjaciół.

Poczucie lojalności wobec kierownictwa partii i wzdraganie się przed sprawianiem kłopotów i osobistej przykrości bliskim mi ludziom powstrzymywały mnie przez szereg ostatnich lat od zabierania głosu, od reagowania na wiele niepokojących zjawisk, które stawiały moje obywatelskie i partyjne sumienie w ciężkiej rozterce, boć przecież zdawałem sobie sprawę z groźnych następstw tego, co narastało.

Wiosna 1968 roku stworzyła nową sytuację. Ujawniły się długo dojrzewające procesy rozkładu, na powierzchnię wystąpiły nowe siły wylęgle w szczelinach naszego politycznego systemu, one opanowały sytuację, zaskoczyły kierownictwo partyjne, wytrąciły mu z ręki ster i pozbawiły wpływu na rozgrywające się wydarzenia.

Tragiczny paradoks naszego systemu polega na tym, że w imię utrzymania scentralizowanego kierownictwa zlikwidowano wszelką próbę refleksji nad zachodzącymi procesami, że zachowujemy się tak, jakby pod powierzchnią naszego społecznego i partyjnego życia nie działo się nic. W efekcie kiedy na powierzchni ujawniają się skutki powolnych i długotrwałych procesów jesteśmy zawsze zaskoczeni — zaskoczeni tym, co się ujawnia w gospodarce, tym,

co się ujawnia w partii i w wielu innych dziedzinach. To co ujawniło się w 1968 roku zdystansowało kierownictwo partyjne, postawiło je przed faktami dokonanymi. Jedyne co wam zostało, to poddać się fali, która groziła zmieceniem wszystkiego, co by próbowało stanąć na jej drodze. W ten sposób metody, które miały wzmacniać władzę i jej centralny ośrodek, żelazną logiką doprowadziły do zniweczenia jej wpływu i autorytetu. [...]

Wydarzeń 1968 roku, ich społecznego sensu, ich ideologicznej wymowy akceptować nie mogłem — były sprzeczne z ideologią, w której wyrosłem i którą wspólnie wyznawaliśmy, sprzeczne z elementarnymi pojęciami o partii i socjalizmie. Nade wszystko zaś były groźne dla przyszłości kraju i narodu, których los jest mi droższy niż własny spokój i wygoda. Stanęło przede mną pytanie, gdzie leży dopuszczalna granica biernego podporządkowania i czy może być ono niezależne od tego, jakie siły doszły do głosu i jakie cele jakimi metodami realizują?

[...] To co wyszło z podziemi i bujnie rozkwitło w 1968 roku nie mogło nie wstrząsnąć każdym, kto ma choć odrobinę poczucia odpowiedzialności za losy tego kraju, za drogę, którą go do socjalistycznej przyszłości mamy prowadzić. Rozuchwalona zgraja ludzi bez czci i wiary, zastaniając się tarczą „patriotycznego antysyjonizmu” połączyła metody hunwejbiniowskiej „rewolucji kulturalnej” z ideologią ze zgoła innych arsenałów i pod tymi hasłami roztoczyła władzę duchową nad krajem.

Każda epoka zostawia po sobie jakiś pomnik, który uwiecznia jej ideowe oblicze. Za próbę takiego pomniczka epoki pomarcowej można np. uważać nowe wydanie jednotomowej Encyklopedii PWN, która ukazała się w końcu ub. roku. Nasi domowi hunwejbini wzorem swoich prototypów postanowili przemałować kulturę narodu, wyrzucić z niej to, co im nie odpowiada. Czym wytłumaczyć wyrzucenie nazwiska Gombrowicza, jednego z najwybitniejszych zjawisk w naszej literaturze XX wieku i do którego odwołuje się niemal każdy artykuł krytyczny drukowany w naszych czasopismach? Jaką wymowę może mieć usunięcie nazwiska Heleny Boguszewskiej, zasłużonej literacko i społecznie pisarki dożywającej swoich dni? A Wierzyńskiego, Miłosza, Artura Rubinsteina? Ciśnie się na usta pytanie, kto uprawomocnił tę szajkę reakcyjnych obskurantów do traktowania naszej historii i naszej kultury, do sprowadzania naszego narodu do poziomu afrykańskiego plemienia rządzonego przez samowolnych kacyków? Jeszcze bardziej wymowne są uzupełnienia, jakimi te opuszczone nazwiska zastąpiono: miejsce Witolda Gombrowicza zajął Henryk Gaworski, a Leszka Kołakowskiego — Kazimierz Kąkol. Ostatnia szczególnie postać wyrosła do roli symbolu epoki. [...]

Nie mówi tu przeze mnie — broń Boże — nienawiść do ludzi tego typu. W każdym społeczeństwie tacy istnieją i bynajmniej nie są niebezpieczni... Groźne takie zjawiska stają się dopiero wtedy, kiedy im się powierza władzę nad duchowym i ideowym życiem społeczeństwa.

Mogę Cię zapewnić, że pisząc „Motory i hamulce socjalizmu” powstrzymywałem się oburzać, aby nie powiedzieć wszystkiego, co powiedziane być powinno. Pomijałem szczegóły, przemilczałem wiele faktów i zjawisk po prostu dlatego, że było mi wstyd, że dzieją się w moim kraju, w imieniu partii, do której należałem, pod osłoną ideologii, która jest moją ideologią. Pisząc chciałem zaalarmować, ostrzec, rozerwać zasłonę mistyfikacji i kłamstw, przy pomocy których ogłupiano społeczeństwo i wystawiano na ponure pośmiewisko Was — kierownictwo partii, ponoszące za to odpowiedzialność. Wydawało mi się, że sprawy, które poruszyłem, winny zaniepokoić umysły i poruszyć sumienia ludzi odpowiedzialnych nie tylko za władzę, ale za społeczeństwo, jego losy i przyszłość. Niestety — jedyne echa jakie się odezwały to Komisja Kontroli Partyjnej i „Wolna Europa”.

Do przerwania milczenia zmusiła mnie świadomość gigantycznego procesu deprawacji społeczeństwa i dezorganizacji jego życia we wszystkich dziedzinach. Wystarczy przyjrzeć się hunwejbinskim harcom na terenie naszej nauki, dokonywanym z błogosławieństwem partii. Nie można było nie czuć głębokiej trwogi widząc jak rozuchwalone bandy czarnosecińców wyrzucały z placówek naukowych wybitnych, nieraz zasłużonych dla nauki ludzi, tylko dlatego, że bądź nie odpowiadali aryjskim paragrafom, bądź po prostu nie podobali się hunwejbinom. Prowadzono „czystkę” bynajmniej nie tylko na tzw. froncie ideologicznym — z dzikim wyciem wyrzucano fizyków, matematyków, biologów, nawet chirurgów, pozbywano się setek młodych obiecujących naukowców i utalentowanej młodzieży. Pozwoliliśmy, aby wartości i talenty, za którymi ugania się dziś cały cywilizowany świat, nasi czarnosecińcy wyrzucali po prostu na śmietnik. Idzie nie tylko o hańbę, jaką okrywa to kraj — idzie o niepowetowane i nie prędko dające się odrobić straty, jakie poniósł i ponosi naród.

Nie masz chyba złudzeń, że nie o Żydów, nie o „syjonistów” tu szło (jak pisał jeden z przedwojennych publicystów: „Żydzi starczą na śniadanie, a co będzie na obiad?”). Szło o ubezwłasnowolnienie, o zdeorganizowanie całej nauki polskiej. Tu partia podporządkowała się całkowicie hasłom „rewolucji kulturalnej”. Pośpiesznie nadawano szlify naukowców co aktywniejszym hunwejbinom, którzy na mocy rewolucyjnych praw opanowywali węzłowe pozycje — jeżeli nie kierowników placówek, to komisarzy sprawujących nad nimi polityczną i naukową kontrolę.

Mozesz mieć noce spokojniejsze niż ja, bo Tobie nikt nie opowiada, co naprawdę dzieje się w kraju, a choćby w pobliżu — np. na Uniwersytecie, Politechnice, w instytutach naukowych czy w PANie [...]. Na tle trwającej od 1968 roku dezorganizacji i paraliżu nauki polskiej wasze obrady na Plenum o roli nauki w postępie gospodarczym brzmią jak opowieści z zagubionej wyspy Utopii. — Oto tylko drobny fragment przyczyn, które zmusiły mnie do napisania „Motorów i hamulców” — uważałem to za swój elementarny, psi obowiązek.

Jeszcze raz i z całym naciskiem podkreślam, że nie głoszę żadnej „rewolucji”, nie chcę niczego „rewidować”, nie domagam się żadnej „liberalnej demokracji” (acz za liberała i demokratę się uważam). Żądam tylko, aby to co się w tym kraju robi, zrobione było z jakimś sensem i odpowiedzialnością za następstwa, aby nad tym gdzieś — choćby przy drzwiach zamkniętych — dyskutowano, a nie parodiowano dyskusji, jak się to dzieje na waszych obradach i plenach, gdzie każdy zwraca uwagę tylko na to, aby się w niewłaściwym kierunku nie wychylić; aby wyrzucano na zbity pysk każdego, kto na wszelką niewygodną dla siebie myśl ma jeden argument: że to jest „rewizjonizm”. Przy pomocy tego jednego słówka oddalicie władzę w ręce obskurantów i czarnosecinców. [...]

Wiele razy zwracałem uwagę i pisałem o tym, że władza dyktatorska jest najtrudniejszą formą władzy, ponieważ wyzwolona spod wszelkiej kontroli najłatwiej ulega degeneracji, uwstecznieniu, najłatwiej prowadzi do utożsamienia interesów rządzących jednostek z interesami władzy, a interesów władzy z interesami społeczeństwa. Nie są to niestety, i być nie mogą, interesy tożsame. Władza nazbyt często kieruje się kryteriami i potrzebami doraźnymi — a interesy kraju i socjalizmu są interesami długofalowymi. Nazbyt często za doraźne posunięcia dyktowane faktycznym czy rzekomym interesem władzy społeczeństwo ciężko płaci przez długie dziesięciolecia.

[...] Trudno się oprzeć przekonaniu, że z punktu widzenia tego kryterium nasza władza w ciągu 25-lecia nie zrozumiała swego głównego fundamentalnego zadania. Nie chcę, broń Boże, pomniejszać osiągnięć tego ćwierćwiecza, jego heroicznych wysiłków — ale czy rozwój, który jednocześnie nie jest doskonaleniem organizacyjnej sprawności we wszystkich dziedzinach życia — nie jest rozwojem na wątłych podstawach? Czy nie gromadzi w sobie trudności i hamulców, które muszą się kiedyś ujawnić w sposób dramatyczny? [...]

Węgry i Polska w 1956 roku, Czechosłowacja w 1967-68 roku winny przecież czegoś nauczyć. Każde społeczeństwo (tak jak kocioł parowy) wytrzymuje tylko pewne ciśnienie. Jeśli ciśnienie przekroczy punkt krytyczny kocioł wybuchu i nie zawsze pomaga opasywanie go policyjnymi obręczami — jeśli rządząca grupa nie zechce i nie potrafi rozładować tego ciśnienia w sposób kontrolowany i sensowny. [...]

Dyktuje mi te uwagi, chaotycznie cisnące się pod pióro, głęboka troska o losy i przyszłość mojego kraju i mojego narodu — troska tym większa, im bardziej zanikają jej ślady w zajętych rozgrywkami o władzę rządzącym aparacie. Nie zechcesz mnie chyba zapewniać, że w czasie ostatniego Zjazdu partii (że nie wspomnę sławetnego zebrania w Sali Kongresowej w marcu 1968 roku), większość na sali stanowili ludzie, którzy dobro kraju, społeczeństwa, socjalizmu stawiali ponad swoje ciasne, klikowe interesy. Z niepokojem patrzę w przyszłość. Zwycięstwo, jakie

w partii odniosły siły reakcyjne, rozkładowe ich działanie we wszystkich dziedzinach naszego życia, brak załączków na odrodzenie się tego, co można by nazwać zdrowym rozsądkiem i elementarną uczciwością w myśleniu i działaniu — wszystko to zasnuwa ciemną mgłą nasz horyzont — mgłą, w której już sami przestaliśmy się orientować, jaka droga dokąd prowadzi. [...] Wszystko dzieje się tak, jakby dominujące obecnie siły zaplanowały sprowadzenie Polski do roli małego, biednego kraiku, wlokącego się w ognie krajów Europy i pocieszającego się, że są przecież na świecie kraje jeszcze bardziej zacofane. Dlatego mi tak głęboko żal, że zmarnowaliśmy wielką szansę, jaką dla rozwoju Polski zdawał się otwierać ustrój socjalistyczny, żal mi zmarnowania tej roli, jakiej możliwość dała w Twoje ręce historia.

Piszę bez nadziei, że uwagi te spotka inny los niż wszystko co do tej pory pisałem. Piszę z wewnętrznej potrzeby, żeby zachować ślad troski napętniającej dziś serca i umysły wielu, wielu ludzi — choćby dla historii.

(—) *Władysław BIEŃKOWSKI*

P.S. Jednocześnie posyłam Ci egzemplarz pracy na temat rolnictwa — po raz drugi w Polsce Ludowej postanowiłem zabrać głos na te tematy.

## Aneks 4

### REFLEKSJE NAD DYSCYPLINĄ (List do *Trybuny Ludu* z 5 lutego 1971)

Można w pełni akceptować stanowisko *Trybuny Ludu* (Nr z dn. 2. II. br.), która na pytanie czytelnika, czy postępował słusznie „wykonując w ramach tegoż centralizmu wytyczne, które w wielu sprawach okazały się błędne i egzaminu nie zdały”, odpowiada, iż słuszna jest „obowiązująca w naszej partii zasada jedności i dyscypliny, wyrażającej się w aktywnym działaniu na rzecz realizacji postanowień partii... Świadoma dyscyplina, jedność w realizacji określonych przez partię zadań jest czynnikiem, który warunkuje wypełnienie przez partię swej roli”. *Trybuna Ludu* wyjaśnia dalej, że „państwo socjalistyczne wydaje prawa — ich przestrzeganie jest powszechnie obowiązujące, na tym zasadza się praworządność”.

Podkreślając konieczność jedności i dyscypliny w podporządkowaniu się obowiązującym normom i dyrektywom, redakcja *TL* wypowiada tu pierwszą literę, od której zaczyna się alfabet wszelkiego zorganizowanego życia społecznego (nie tylko w państwie socjalistycznym).

Nie jest to jednak odpowiedź na główną wątpliwość czytelnika, który pyta o coś całkiem innego, mianowicie: „jakie są gwarancje, że w przyszłości znów nie zostaniemy zobowiązani do wcielenia w życie decyzji, które się potem nie sprawdzą?”. Z pytania tego bynajmniej nie wynika kwestionowanie potrzeby jedności i dyscypliny — idzie o to, co dalej? Jak używać tej jedności i dyscypliny, aby służyły dobrej sprawie, pomagały rozwojowi a nie szkodziły i tego rozwoju nie hamowały? Idzie zatem o to, jak mają brzmieć dalsze litery złożonego społecznego alfabetu. Gdyby jedność i dyscyplina wystarczały do rozwiązywania problemów społecznego życia — społeczeństwa ludzkie nie różniłyby się od spo-



łeczeństw mrówek, termitów czy pszczół i zajmowałyby się nimi biologia, a nauki społeczne w ogóle by nie istniały (o ile w ogóle miałyby się kto takimi społeczeństwami zajmować).

Czytelnik w przytoczonym zdaniu pyta o rzecz elementarną: jeśli dróżnik zauważy uszkodzony tor, sygnalizuje, aby zatrzymać pociąg i tor naprawić. Co ma robić obywatel (członek partii), jeśli widzi, czy zdaje mu się, że sprawy w państwie idą fałszywym torem, że zwrotnica została źle nastawiona, że grozi jakieś niebezpieczeństwo? Jak się zachować, aby nie naruszyć zasady jednności i dyscypliny wobec tych, którzy pociąg na ten tor skierowali? Jeśli będzie wołał, że grozi katastrofa, to po pierwsze — naruszy owe zasady, po drugie — nie uwierzą mu (katastrofy społeczne ujawniają się dopiero po dłuższym czasie), po trzecie — zostanie ukarany za łamanie dyscypliny, dywersję, rewizjonizm itp. Jeśli uda, że nie widzi — ponosi moralną odpowiedzialność za następstwa.

*TL*, acz niezbyt przejrzyście, daje na pytanie dwie odpowiedzi. Pierwsza mówi o „uczestnictwie w wytyczeniu linii partii, w kształtowaniu jej decyzji”. Jak?

„Za pośrednictwem wypowiedzi na partyjnym zebraniu, dokładnie i z szacunkiem przekazywanej w trybie informacji przekazanej w górę. W postaci rzetelnego przekazu panujących wokół nastrojów i opinii... W formie krytyki, gdy zauważona zostanie postawa sprzeczna z kryteriami naszej pracy czy w fabryce czy niezgodności decyzji z prawem najwyższym — realiami i potrzebami życia w fabryce, na wsi, w instytucji... Przez odwołanie się do instancji, gdy członek partii uzna taką potrzebę”.

No właśnie! Ale o to przecież pyta czytelnik: jakie są gwarancje, że opisana tu procedura będzie w ogóle możliwa? *TL* przytoczyła tylko (w złagodzonej postaci) punkty statutu partii. Statut ten obowiązywał cały czas i, jak wiadomo, nic z tego nie wynikało. Wiadomo, że nie tylko szeregowy członek partii, ale również odpowiedzialni aktywiści — sekretarze powiatowi i wojewódzcy nie przekazywali rzetelnych informacji o nastrojach i opinii (nawet, jeśli je znali), ponieważ to pociągało za sobą następstwa niezbyt dla nich przyjemne. Wiadomo, że na zebraniach partyjnych nawet z „szacunkiem” i ostrożnie wyrażane wątpliwości postawa elementarnej uczciwości była tępiona z całą zajadłością. Wiadomo, że wielu rzetelnych ludzi, cennych specjalistów zostało większość partii po marcu 1968 roku z „szacunkiem” wyrażana postawa elementarnej uczciwości była tępiona z całą zajadłością. Wiadomo, że wielu rzetelnych ludzi, cennych specjalistów zostało wyrzuconych bez żadnych podstaw z partii i z życia społecznego i do dziś nikomu nie przyjdzie na myśl, aby te oczywiste bezceństwa naprawić.

Próba drugiej odpowiedzi idzie po nieco innej linii. Czytamy: „dziś, gdy dokonuje się odnowa, gdy dokonywana jest korekta założeń, które rozmijały się z socjalistycznym ideałem, nie paso-

wały do rzeczywistości... dziś te zasady nie tylko mogą, lecz i powinny bez reszty służyć słusznej sprawie”.

Nikt w kraju nie wątpi w słuszność poczynań nowego kierownictwa i jego najlepszą wolę wyprowadzenia kraju z trudności. Ale idzie o to, aby już u startu nie stwarzać kierownictwu sytuacji, która może (czy nawet musi) przekształcić się w kłódę na jego drodze. Co wynika z odpowiedzi *TL*? Oto, że dotychczas jedność i dyscyplina nie zawsze służyły słusznej sprawie, od dziś natomiast będą służyły tylko słusznej. Intencje *TL* są wspólne z intencjami całego społeczeństwa, wszystkich członków partii, ale czytelnik pyta, jak to zrobić, jakie są gwarancje? Odpowiedź *TL* przypomina przysłowiową już odpowiedź aktywisty na wątpliwości członka partii: „Partia ma zawsze rację”. „A czy zdarza się, że partia nie ma racji?” — „Owszem, ale tylko w przeszłości”.

Jest w artykule *TL* ustęp, który musi obudzić głęboką zadumę:

„Cechą ostatnich lat była narastająca również w nas, w ludziach partii, fala rozterek, wątpliwości, wahań. Nie był od nich wolny centralny aktyw. Życie z przemożną siłą wskazywało bowiem, że słowa często rozmiągają się z faktami, a wyniki stają się niewspółmierne do wkładanego trudu. Jeśli mówimy o dojrzałym, rozumnym społeczeństwie — mamy tym bardziej prawo mówić o dojrzałej, rozumnej partii, jej aktywie. Ta partia nie była poza obrębem narastającego kryzysu — narastał on również w niej. VIII Plenum było na drodze do przezwyciężenia trudności krokiem wielkim i niezbędnym”.

Implikacji wynikających z tych kilku zdań wystarczyłoby na gruby tom rozpraw o strukturze i funkcjonowaniu systemu społecznego. Ograniczmy się do paru leżących na samym wierzchu. Piszecie, że „partia nie była poza obrębem narastającego kryzysu”, „była narastająca fala rozterek, wątpliwości, wahań”. — I co? Gdzie pozostały ślady tych wątpliwości — w dyskusjach na najwyższym szczeblu — w Biurze Politycznym, na Plenach KC, na zjeździe partii (wszak dwa lata temu istniały już wszystkie przesłanki obecnego kryzysu)? Czy rozdarci wątpliwościami wszyscy, wraz z członkami centralnego aktywu czekali na sygnał z Wybrzeża? A gdyby ten sygnał nie nastąpił? (wszak tragiczne i krwawo przypłacone wydarzenia były wynikiem szczególnego zbiegu okoliczności). Czy brnęliśmy po fałszywej drodze? Jak długo?

I co gorsza, kiedy zjawił się na długo przed tragicznymi wydarzeniami głos, który osmielił się sygnalizować niebezpieczeństwo, charakteryzować sytuację, ostrzegać przed następstwami i wskazywać drogi wyjścia — głos ten został zdławiony, a jego autor potępiony i wyrzucony poza nawias życia. Działo się to w obliczu całej partii i w jej imieniu. Jak w tym całym kontekście brzmi zdanie, że „tym bardziej mamy prawo mówić o dojrzałej, rozumnej partii, jej aktywie”?

Osobnym rozdziałem tego problemu jest wiele mówiąca aluzja, że „partia nie była poza obrębem narastającego kryzysu — narastał on również w niej”. To święta prawda. Ale redaktorzy *TL* są doświadczonymi praktykami społecznymi i dobrze wiedzą, że

kryzys w takiej organizacji jak masowa partia, jeśli nie wyrazi się w żadnej jawnej krystalizacji poglądów, w programie wynikającym z krytycznej oceny rzeczywistości — musi nieuchronnie przybrać charakter wewnętrznego rozkładu, stwarza niezwykle żywną glebę dla zamaskowanej, dezintegrującej i anarchizującej działalności wszelkich tajemniczych grup i mafii. Konsolidować się mogła partia tylko wokół jawnie sformułowanego programu naprawy tego, co było złe. A takie sformułowanie było niemożliwe, ponieważ kłóciło się z pierwszą literą alfabetu: z jednością, dyscypliną, podporządkowaniem. Jak wybrnąć z tej matni? *TL* nie tylko nie szuka z niej wyjścia — ale przeciwnie, zagania do niej.

Jedną z podstawowych trudności przed którą stoi nowe kierownictwo, jest właśnie dezintegracja partii, są rozliczne, nieujawnione na powierzchni, anarchizujące wpływy, jest właśnie nieprzygotowanie do zadań, jakie przed partią, jej aktywem stanęły. A przecież takie przygotowanie — o tym redaktorzy *TL* dobrze wiedzą — nie dokonuje się „na stojąco” — wczoraj tak, dziś inaczej... Dojrzałość, o której piszecie nie powstaje w wyniku wysłuchania przemówienia, czy przeczytania instrukcji.

Idzie przecież o to, aby po tragedii grudniowej spróbować zerwać z utrwaloną już tradycją, że rozwój kraju odbywa się od wstrząsu do wstrząsu, że w momentach szoku mamy przyływ jasnowidzenia, stajemy się mądrzy, wiemy co było złe... i potem znowu toczy się wszystko „normalnie” aż do następnego szoku. Czy zawsze dopiero katastrofa ma być sygnałem do przejrzenia, do rozwiązania języków, do stwierdzenia, że „dawno już wiedzieliśmy”? O to przecież chodzi czytelnikowi i to powinno być najgłębszą troską każdego człowieka, obywatela, członka partii, któremu naprawdę leżą na sercu losy kraju i socjalizmu.

Akceptując potrzebę jedności i dyscypliny, musimy koniecznie dopowiedzieć co te pojęcia mają oznaczać, aby w praktyce nie przekształcały się w bezmyślne i szkodliwe głupstwo. Jedna nuta nie wystarczy do skomponowania symfonii, a jedna litera do ułożenia sensownego zdania. Ludzi, którzy z całego alfabetu nauczyli się pierwszej litery, nazywać przecież będziemy analfabetami.

Władysław BIEŃKOWSKI

## Aneks 5

### PRZED UŻYCIEM WSTRZĄSNAĆ (Refleksje nad zastosowaniem nauki)

*Trybuna Ludu* poruszyła jeden z kluczowych problemów naszej epoki — sprawę efektywnego zastosowania nauki w gospodarczym i społecznym rozwoju (Nr z dn. 22. II. br.). Słusznie pisze *TL*, że „nabiera to szczególnego znaczenia w okresie rewolucji naukowo-technicznej, kiedy wiedza i technika stały się głównym elementem sił wytwórczych decydujących o dobrobycie społeczeństwa i jego prężności rozwojowej. [...] Każde odejście od naukowych metod, każde wahnięcie w stronę subiektywizmu i woluntaryzmu pociąga za sobą — jak dowiodły grudniowe wydarzenia — skutki groźne i bolesne”. Poza drobnym sprostowaniem, że od naukowych metod raczej nie mielibyśmy okazji odchodzić, ponieważ, jak dotąd, nigdyśmy się do ich zastosowania zbyt zbliżali — stanowisko *TL* jest całkowicie słuszne.

Sprawa jest jednak tak ważna i pilna a jednocześnie tak złożona i w wyobrazeniach ludzkich tak zagmatwana, że chyba przyda się kilka wstępnych metodycznych i metodologicznych wyjaśnień.

Przed wszystkim rozróżnić należy *dwa całkowicie różne* znaczenia pojęcia „zastosowania nauki”. W pierwszym znaczeniu idzie o wykorzystanie wiedzy o procesach gospodarczych i społecznych, o prawach tymi procesami rządzących i o wzajemnych zależnościach między poszczególnymi dziedzinami społecznego życia. Ten zakres wiedzy pozwala nam na wybór możliwie trafnych (optymalnych) decyzji co do kierunków gospodarczego rozwoju, podpowiada nam, jakie mamy zastosować strukturalne i organizacyjne formy i metody sterowania procesami, ponadto pozwala nam na *ciągłą kontrolę* i na jej podstawie na *korekturę* zachodzących procesów. W tym znaczeniu idzie przede wszystkim

o *nauki społeczne* z ekonomią na czele, z poważnym udziałem socjologii, psychologii i szeregu innych nauk.

Słuszny jest pogląd, że bez zastosowania wiedzy społecznej nasze działanie jest ślepe, jest przysłowiowym łapaniem czarnego kota w ciemnym pokoju. Podejmujemy decyzje na „wyczucie” a rezultaty zależą już od mocy niebieskich, poruszamy żywoły, których ani znać, ani tym bardziej opanować nie jesteśmy w stanie. Drugie znaczenie „zastosowania nauki” odnosi się do bezpośredniego wykorzystania osiągnięć nauk technicznych w rozwoju sił wytwórczych a także w organizacji niektórych innych dziedzin życia. Burzliwy rozwój techniki, niezliczone ilości odkryć i wynalazków zrewolucjonizowały gospodarkę człowieka, postawiły społeczeństwa wobec „rewolucji naukowo-technicznej”. W tym przypadku idzie przede wszystkim o *nauki przyrodnicze* i ich praktyczne wykorzystanie w *dyscyplinach technicznych*. Te dwa tak odmienne zakresy ludzkiej wiedzy i praktycznych umiejętności muszą się zejść w rękę współczesnego człowieka, aby mu umożliwić efektywne wykorzystanie oddanych do jego dyspozycji sił i środków.

Dlaczego rozróżnianie tych dwu dziedzin jest tak ważne? — Ponieważ obie one dla swego rozwoju wymagają *odmiennych warunków*. *Nauki techniczne oprócz wyposażenia wymagają zapotrzebowania*. Dawno minęły czasy, kiedy Watty i Edisony rzucali swoje wynalazki na los szczęścia — może się kiedyś komuś na coś przyda. Szybkość technicznego postępu polega m.in. na tym, że na wynalazki się nie czeka, że się je planowo organizuje, aby natychmiast włączyć do zespołu sił wytwórczych. Otóż plagą z którą nie umiemy sobie poradzić jest fakt, że naszej świadomości o potrzebie postępu technicznego nie towarzyszy zapotrzebowanie ze strony naszego przemysłu, że przeciwnie nawet, broni się on przed zmianami, jakie musi za sobą pociągać każde poważniejsze udoskonalenie.

Nie będzie żadnym prorocstwem stwierdzenie, że dopóki nie stworzymy warunków, w których nie kierująca góra a sam przemysł będzie żywotnie zainteresowany w chwytaniu każdej technicznej nowości — dopóty będziemy się wlekli w ogonie postępu, a „rewolucję techniczną” będziemy realizowali wtedy, kiedy ta dawno już rewolucją być przestanie.

Natomiast *organizacja* procesów rozwoju, *kontrola i sterowanie* nimi — to dziedzina wchodząca w zakres przede wszystkim *nauk społecznych* — acz i tu technika dostarcza pomocniczych narzędzi. Nauki te nie wymagają wprawdzie kosztownego wyposażenia, za to *warunkiem absolutnie koniecznym* dla ich rozwoju jest *swoboda myślenia*. Ten prosty i tani zdawałoby się warunek okazał się w praktyce — jak mieliśmy możliwość niejednokrotnie się przekonać — niezmiernie trudny do spełnienia.

Trudność polega na tym, że nauki społeczne działają na obszarze, do rządów nad którymi pretenduje kilka potężnych mocarstw. Ideologia podkreślająca swój prymat, polityczna praktyka chcąca

władać poprzez różnego rodzaju układy i kompromisy z ideologią — nad nimi zaś oboma ciąży najpotężniejsza siła: inercja istniejącego stanu rzeczy, do której obie poprzednie starają się dostosować. W ścieraniu się tych trzech potęg nauki społeczne wypierane są na coraz węższy margines, mogą zdobywać prawo do suchotniczej vegetacji pod warunkiem nie narażania się żadnej z nich. Mogą również poprawiać swój byt przez schlebianie im — przestając oczywiście w ten sposób być naukami.

W sytuacji, którą tu lekko tylko zmetaforyzowaliśmy, ludzie uprawiający nauki społeczne mają do wyboru jeden z dwu kierunków: nonkonformistycznego marginesu albo usługowej apologetyki. Pierwszy uprawia małe niekonfliktowe pólka, wystrzega się wchodzenia na obszary, którymi władają tamte groźne potęgi. Drugi z pogardą dla szczegółów, operuje wielkimi syntezami, zaprawianymi hołdowniczym kadzidłem. Oczywiście reprezentuje naukę i rządzi nią ten drugi kierunek, on to utwierdza społeczeństwo i jego przywódców w przekonaniu, że wszystko jest w porządku i w zgodzie z nauką.

Aliści co pewien czas zdarza się, że społeczeństwo w swym marszu uderza głową w mur, następuje wstrząs, błyska świadomość, że jednak potrzebne jest lepsze rozpoznanie drogi, którą idziemy. Wołamy wtedy, że potrzebna jest pomoc nauki, o niekorzystaniu z niej w minionym okresie, popełnia wielką niesprawiedliwość. Przecież w ciągu ostatnich kilku lat dałoby się wyliczyć setki artykułów, rozpraw i dzieł napisanych przez utytułowanych naukowców (niektórym nawet przyśpieszano nadawanie tytułów, aby się mogli wypowiedzieć), którzy właśnie oceniali, radzili, chwalili, z impetem i skutecznie atakowali tych, co chcieli nas sprowadzić na złe drogi. Wszyscy oni działają nadal — czy do nich mamy się zwrócić teraz o radę? Aby znów przestawiwszy zwrotnicę chwalili i kadzili?

Być może okazemy się śmiali i zwrócimy się przede wszystkim do tych, co się nie ugięli, którzy mieli odwagę, jeśli nie wypowiedzania, to przynajmniej zachowania własnych poglądów. Można sądzić, że *TL* takich naukowców ma na myśli pisząc, iż „bez udziału uczonych, specjalistów, ekspertów nie można sobie wyobrazić prawidłowego i efektywnego kierowania żadną dziedziną naszego życia”.

Tylko tu od razu na wstępie trzeba rozwiązać niebezpieczne złudzenie. Dotkliwie zawiódłby się ten, kto by sądził, że ci eksperci i specjaliści mają w kieszeni gotowe odpowiedzi na pytania, jakie stawia obecna sytuacja, jakie im zadadzą polityczni kierownicy państwa. Na to, aby odpowiadać na pytania, muszą najpierw sami wiedzieć — muszą mieć swobodę badania i myślenia, swobodę wymiany zdań i prawo do dyskusji, muszą o całości naszego gospodarczego i społecznego życia wiedzieć o wiele więcej niż im, uprawiającym małe specjalistyczne pólka, wiedzieć było wolno. Opinia specjalisty może mieć wartość tylko pod dwoma warun-

kami: że miał on możliwość swobodnego badania interesujących go zjawisk, oraz że wypowiada to, co rzeczywiście myśli.

Tutaj właśnie natrafiamy na najtrudniejszą barierę. Co zrobić, jeśli pogląd specjalisty będzie się różnił od poglądów kierowniczych czynników politycznych? W *normalnych warunkach* czynniki te rozważą zdanie specjalisty i nagrodzą go nawet, jeśli z jakichś nieuwzględnionych przez niego powodów zadecydują inaczej. W *nienormalnych warunkach* specjalista ten może zostać oskarżony o niebezpieczne odchylenie, mogą spaść na niego sankcje aż do utraty naukowego stanowiska. Otóż pod tym względem warunki, jakie panowały u nas w ciągu wielu ostatnich lat, były wybitnie nienormalne. Nie tylko najważniejsze decyzje w doniosłych dla społeczeństwa sprawach podejmowano bez konsultacji ze specjalistami (ściślej: radzono się często tych, którzy potakiwali), ale nawet ostrożne, krytyczne aluzje spotykały się z wrogością i prześladowaniami. Atmosfera ta sprzyjała pojawieniu się całej czeredy „naukowych” chuliganów, którzy specjalizowali się w tropieniu podejrzanych poglądów, węszyli za każdą oryginalniejszą i śmielszą myślą, organizowali przeciwko ich autorom formalne nagonki. (*T.L.*, niestety, nieraz udzielała swoich szpalt takim właśnie chuliganom).

Wystarczy dla ilustracji powołać się na jeden tylko przykład. Zmarły już, niestety, prof. Michał Kalecki (jeden z najwybitniejszych ekonomistów naszej epoki) napisał swego czasu rzeczową, ostrożną i taktowną krytykę założeń planu na lata 1966-70 (patrz: *Życie Gospodarcze*, 1964, Nr 15).

Krytyka ta w świetle ujawnionych w 1970 roku wyników była nie tylko trafna — można ją uznać za proroczą, a przedstawione przez niego propozycje zmian — to właśnie to, co dojrzeli wszyscy po niewczasie — w grudniu 1970 roku. Propozycje te zostały obelżywie skwitowane przez ówczesne kierownictwo — a do dziś dnia różni „naukowi rycerze” koniunktury dosługują się rang i pozycji atakami na „wrogie” poglądy Kaleckiego. Nie chcemy mnożyć przykładów, aby do tych refleksji nie wciągać nazwisk ludzi żyjących.

W klimacie, jaki w całym środowisku naukowym zapanował szczególnie od marca 1968 roku ustały dyskusje, można by rzec ustało myślenie. Masowe wyrzucanie z katedr i stanowisk wybitnych nawet specjalistów stworzyło nastrój terroru — naukowcy nauczyli się cennej cnoty: nie zdradzania tego, co myślą. W dodatku brak badań, krytyki, dyskusji nad kluczowymi problemami naszej rzeczywistości stworzył próżnię. Jak głęboka i groźna dla naszej przyszłości jest ta próżnia pokazał styczniowy zjazd ekonomistów: w obliczu głębokiego wstrząsu, jaki przeżył kraj — a nasza gospodarka w pierwszym rządzie — ludzie ci nie mieli do powiedzenia dosłownie nic. Jak dalece naukowcy przekształcili się w dyplomatów, których specjalnością pono jest ukrywanie myśli, świadczy fakt, że nawet gdy polityczne kierownictwo chce ich rzeczywistego zdania, ludzie ci wolą je, dla pewności, zachować

dla siebie (np. w czasie niedawnego spotkania Kierownictwa z Prezydium PAN). Co myśli naprawdę dany naukowiec może się dowiedzieć tylko jego najbliższe grono w czasie prywatnych rozmów.



W świetle tych (raczej wstrzemięźliwych) refleksji zaniepokojenie musi obudzić taki passus w artykule *Trybuny*:

„W ostatnich latach, zwłaszcza po V Zjeździe, dokonywano licznych prób bezpośredniego wiązania się możliwości nauki z potrzebami przemysłu, rolnictwa i innych dziedzin gospodarki, wprzęgnięcia nauki w służbę ekonomiki i kultury narodowej. Były to próby niewystarczające, m.in. dlatego, że cechował je wąski praktycyzm, że dotyczyły spraw trzecioplanowych [...]. Mimo tych zastrzeżeń, widoczny był postęp w rozszerzeniu i aktywizacji naukowo-badawczego zaplecza gospodarki”.

Prawdę w tym stwierdzeniu jest tylko to, że w tamtym okresie dość często poruszano rolę nauki w publicystyce i deklaracjach. Reszta natomiast z prawdą wyraźnie się rozmija — sytuacja bowiem zarówno przed jak i po V Zjeździe była dla nauki polskiej najniepomyślniejsza — żeby nie powiedzieć katastrofalna. Faktem jest, że w tym właśnie okresie ustawowo ubezwłasnowolniono naukę i oddano ją w dzierżawę różnym jawnym i skrytym czynnikom administracyjnym, faktem jest, że wtedy właśnie grasowała grupa wolnych od skrupułów rykerzy koniunktury polujących na stanowiska po wyrzucanych naukowcach, faktem jest, że różnych „reorganizacji” placówek naukowych dokonywano, nie pytając najbardziej zainteresowanych, że reorganizacjom tym przyświecały nie potrzeby nauki, lecz kogo w nagrodę za zasługi mianować, faktem jest, że w tym właśnie okresie przy rekrutacji młodej kadry naukowej wyzbyto się naukowych kryteriów. Faktem jest również, że w tym właśnie okresie pograżono naukę polską w głębokim chaosie — takie przynajmniej jest *prywatne zdanie* prawie wszystkich naukowców. Zapyta ktoś, dlaczego nie mówią tego głośno? Ano właśnie. Przez wiele lat wdrażano im samoobronne odruchy warunkowe i rezultat osiągnięto — znakomity.

Dobrze byłoby wyjaśnić sobie, że naukowcy to nie grupa czy „warstwa” społeczna — to potencjalna czekająca na użycie siła, to narzędzie. — Można go użyć dla przyspieszenia budowy przyszłości, można nim zamiatać ulice.

Krzepiące są słowa tow. Gierka o konieczności powoływania specjalistów różnych dziedzin do rozwiązywania problemów „strategii rozwojowej”, o naturalnym „sojuszu dwóch sił postępu społecznego — klasy robotniczej oraz ludzi nauki i techniki”. Ale aby te słowa mogły się przyoblec w ciało, konieczne jest zrozumienie obecnej sytuacji, aby ją w sensowny sposób zmienić.

Trzeba potężnie wstrząsnąć naszą nauką, jej sytuacją organiza-



cyjną, kadrową, „klimatyczną”, trzeba postawić na nogach, co w ciągu ostatnich lat postawiono na głowie.

Zacznijmy skromnie: od nagradzania naukowców za oryginalność i śmiałość ich myśli, a nie, jak nazbyt często dotąd bywało, za tchórzostwo i pochlebstwo. Przywróćmy imię tym, których znieważono za poglądy, często takie, które stały się już banalną oczywistością. Będzie to obiecujący wstęp dla stworzenia atmosfery, w której może się rozwijać nauka.

Brak pomocy nauki w obecnej epoce to nieszczęście. Ale jest zło jeszcze większe, kiedy miejsce nauki zajmie przebrana za nią fikcja. Następstwa tego muszą być jeszcze gorsze.

Władysław BIENKOWSKI

WSTĘP	9
1. Program	11
2. Program — sondaż — rok pierwszy (1970-1971)	17
3. Ocena i wnioski	27
4. Ocena i wnioski (zakończony)	36
5. Kwestia „Kultury i sztuki w szkole”	44
6. Ocena i wnioski (zakończony)	52
7. Kwestia „Kultury i sztuki w szkole”	64
8. Kwestia „Kultury i sztuki w szkole”	70
9. Kwestia „Kultury i sztuki w szkole”	74
10. Kwestia „Kultury i sztuki w szkole”	75
11. Kwestia „Kultury i sztuki w szkole”	80

## ANEKSY

I. Uwagi o „Kulturze i sztuce w szkole”	97
II. Michał Kalecki: Uwagi o planie gospodarczym na lata 1976-1979 (Programy)	110



## SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA .....	7
<i>Pytania wstępne</i> .....	11
<i>Program — utopia — czy manewr taktyczny</i> .....	17
<i>Gospodarcze bezdroża</i> .....	27
<i>Odbudowa i rozkład aparatu partyjnego</i> .....	36
<i>Koniec jedności i „parcelacja centralizmu”</i> .....	44
<i>Eskalacja systemu policyjnego</i> .....	52
<i>Rewolucja obskurantyzmu</i> .....	64
<i>Komentarz do wydarzeń marcowych</i> .....	70
<i>Produkty rozkładu</i> .....	74
<i>Rachunek społecznego sumienia</i> .....	79
<i>Kilka wniosków</i> .....	90

## ANEKSY

I. <i>Uwagi o aktualnej sytuacji kraju</i> .....	97
II. <i>Michał Kalecki: Uwagi o planie gospodarczym na lata 1966-1970 (Fragmenty)</i> .....	110
	131

III. <i>List do Władysława Gomułki z 11 marca 1970 roku</i> (Fragmenty) .....	115
IV. <i>Refleksje nad dyscypliną</i> (List do Trybuny Ludu z 5 lu- tego 1971) .....	120
V. <i>Przed użyciem wstrząsnąć</i> (Refleksje nad zastosowa- niem nauki) .....	124



.....	PRZEDMOWA
.....	Wykaz nazwisk
.....	Program — stopa — (czyżby nie było inaczej?)
.....	Główny nurt myślowy
.....	Odwołania i źródła danych porównawczych
.....	Koniec jednostki i „kwestia ekonomiczna”
.....	Wskazywanie na system porównawczy
.....	Wskazywanie na system porównawczy
.....	Komentarz do wykładu naukowca
.....	Produkt końcowy
.....	Wskazywanie na system porównawczy
.....	Wskazywanie na system porównawczy

ANEXSY

.....	I. Uwagi o aktualnej sytuacji krajowej
.....	II. Michał Kalecki: Uwagi o planie gospodarczym na lata 1955-1970 (Fragmenty)

XXIII DOCUMENTS

- № 1 ...
- № 2 ...
- № 3 ...
- № 4 ...

IV BIBLIOTHEQUE RUSSE

- № 1 ...
- № 2 ...
- № 3 ...
- № 4 ...
- № 5 ...
- № 6 ...
- № 7 ...
- № 8 ...
- № 9 ...
- № 10 ...
- № 11 ...
- № 12 ...

**ACHÈVE D'IMPRIMER**  
**LE 20 SEPTEMBRE 1971**  
**SUR LES PRESSES DE**  
**L'IMPRIMERIE RICHARD**  
**24, RUE STEPHENSON,**  
**PARIS (XVIII<sup>e</sup>)**

Dépôt légal : 3<sup>e</sup> trim. 1971

- № 13 ...
- № 14 ...
- № 15 ...
- № 16 ...
- № 17 ...
- № 18 ...
- № 19 ...
- № 20 ...
- № 21 ...
- № 22 ...
- № 23 ...
- № 24 ...
- № 25 ...
- № 26 ...
- № 27 ...
- № 28 ...
- № 29 ...
- № 30 ...
- № 31 ...
- № 32 ...
- № 33 ...
- № 34 ...
- № 35 ...
- № 36 ...



SERIA „DOKUMENTY”

- Nr 1 *O kulcie jednostki i jego następstwach* (1 F)  
 Nr 2 *Przemówienie I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21. X. 1956.* (1 F)  
 Nr 3 *Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha* (wyczerpane)  
 Nr 4 *Warszawa-Kijów* (1 F)

W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Nr 5 *Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista”* (8 F)  
 Nr 6 *Kultura Masowa* — Praca zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)  
 Nr 7 Wiktor Sukiennicki: *Kolumbowy Błąd* — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)  
 Nr 9 Adam Ciołkosz: *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska* (wyczerpane)  
 Nr 10 Andrzej Stawar: *Pisma ostatnie* (wyczerpane)  
 Nr 11 *Sześć lat temu...* (Kulisy polskiego Października) (10 F)  
 Nr 12 Witold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)  
 Nr 13 Wiktor Sukiennicki: *Biała księga* (wyczerpane)  
 Nr 14 January Grzędziński: *Maj 1926* (9 F)  
 Nr 15 *Dialog polsko-niemiecki* (wyczerpane)  
 Nr 16 *Sąd idzie!* Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela (7,50 F) (wyczerpane)  
 Nr 17 J. Kuroń i K. Modzelewski: *List Otwarty do Partii* (wyczerp.)  
 Nr 18 *Schizmy* (wyczerpane)  
 Nr 19 Alicja Zawadzka-Wetz: *Refleksje pewnego życia* (16,50 F)  
 Nr 20 Wiktor Sukiennicki: *Legenda i Rzeczywistość* (9 F)  
 Nr 21 Leon Mitkiewicz: *Z generałem Sikorskim na obczyźnie* (23 F)  
 Nr 22 Julian Kulski: *Stefan Starzyński* (12 F)  
 Nr 23 Andrej Sacharow: *Rozmyślenia* (wyczerpane)  
 Nr 24 Eugenio Reale: *Raporty. Polska 1945-1946* (18,50 F)  
 Nr 25 *Wydarzenia marcowe 1968* (15 F)  
 Nr 26 *Ukraina 1956-1968* (18,50 F)  
 Nr 27 *Polskie przedwiośnie* (wyczerpane)  
 Nr 28 *Komunizm z ludzką twarzą* (wyczerpane)  
 Nr 29 Władysław Bieńkowski: *Motory i Hamulce Socjalizmu* (12 F)  
 Nr 30 *Znasz-Li ten kraj?* (24 F)  
 Nr 31 Andrzej Amalrik: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (10 F)  
 Nr 32 Władysław Bieńkowski: *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (9 F)  
 Nr 33 *Głosy Stamtąd* (18,50 F)  
 Nr 34 O. N. Burba-Kochański: *List do emigranta* (12 F)  
 Nr 35 *Poznań 1956 - Grudzień 1970* (18,50 F)  
 Nr 36 Władysław Bieńkowski: *Drogi wyjścia* (10 F)





Odkwaszone

19-09-2008

---

Kuttana  
Mesnil le Roi  
15.XI.71

**Cena 14 F (dol. 3,25; £. 1.25)**